ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

MARIAN JAKÓBIEC
ANDRZEJ JOCHELSON
JULIUSZ KLEINER
RYSZARD SKULSKI
ZDZISŁAW HIEROWSKI
HELENA SŁONIEWSKA

*

ZOFIA SZMYDTOWA
MARIAN ŁODYŃSKI
AZORIN
W. SOMERSET MAUGHAM

*

DIDEROT
TADEUSZ BOROWSKI
WOJCIECH ŻUKROWSKI
JULIAN PRZYBOŚ
GUILLAUME APOLLINAIRE
JAN PIERZCHAŁA

*

PLASTYKA WROCŁAWSKA
KRONIKA

WROCŁAW

ROK 2 LIPIEC—WRZESIEŃ 1948 Nr 3

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

WROCŁAW

ROK 2 LIPIEC—WRZESIEŃ 1948 Nr 3

Nakład 1000 egz. Stronic 160 + 10 tablic. Papier drukowy 80 gr. 70×100,
Październik 1948

Zam. 408. *Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu* F 33457

MARIAN JAKÓBIEC

RADZIECKA NAUKA O LITERATURZE

1

Radziecka nauka o literaturze, mimo krótkiego, bo trzydziestoletniego istnienia, ma za sobą bogatą i różnorodną historię, której fragmenty i najważniejsze fakty nie są obce polskiemu czytelnikowi, nie koniecznie rusycyście czy specjaliście w zakresie teorii literatury. W oparciu o fundament ideologiczny marksizmu-leninizmu z jednej strony oraz o świetne tradycje przedrewolucyjnego rosyjskiego literaturoznawstwa z drugiej, osiągnęła ona zarówno w kierunku teoretycznym, jak i historyczno-literackim poczesne miejsce w nauce światowej. Pewne zagadnienia teoretyczne, jak stosunek sztuki i rzeczywistości, sztuki i ideologii, formy literackiej i treści, problemy stylistyki poetyckiej, rodzajów poetyckich i ich kompozycji, treści poetyckiej, a wreszcie cała sprawa realizmu socjalistycznego, stanowią domeny, w których literaturoznawstwo radzieckie zdobyło sobie w okresie międzywojennym palmę pierwszeństwa. Rozpracowane przez radzieckich formalistów kwestie poetyki i stylistyki znane były dobrze w Polsce przed wojną dzięki przekładom cennego dzieła B. Tomaszewskiego (Teoria literatury. Poetyka. Przekład z rosyjskiego pod redakcją Tadeusza Grabowskiego. Poznań 1935) i W. Żirmunskiego (Wstęp do poetyki. Warszawa 1934).

Dzisiaj sytuacja na gruncie naszej nauki jest taka, że każdy, kto pragnie zaznajomić się bliżej z zagadnieniami ideologii literatury nie może pominąć studiów A. W. Łunaczarskiego (Lenin i litieraturowiedienije, Moskwa 1935), I. Winogradowa (Woprosy marksistskoj poetiki. Moskwa

1936; Borba za stil. Moskwa 1937), W. Diesnickiego (Marks i chudożestwiennaja litieratura. Moskwa 1936, W. I. Lenin o litieraturie. Moskwa 1936). Nie wiem, czy gdziekolwiek w Europie rozpracowano tak gruntownie zagadnienia kompozycji literackiej. Studia Leonida Grossmana, Wasilija Gippiusa, W. Żirmunskiego, A. Sokołowa, M. Rybnikowa, formalistyczne prace M. Pietrowskiego o morfologii noweli — stanowią istotny wkład do światowej nauki o literaturze, podobnie jak dzieła z dziedziny poetyki i stylistyki tegoż M. Rybnikowa, L. Timofiejewa i A. Szengieli.

Olbrzymimi osiągnięciami może się poszczycić radziecka przedwojenna historia literatury. Jej dorobek zasługiwałby na osobne omówienie, które by wyświetliło różnorodne jego dziedziny i wniosło bodaj garść elementu instruktywnego dla naszych polskich poczynań historycznoliterackich. Nie licząc uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych, w których poszczególne katedry historii literatury prowadziły badania naukowe i ogłaszały ich wyniki w licznych uniwersyteckich „Trudach", praca badawcza nad rosyjską i powszechną historią literatury prowadzona była w akademiach nauk, związkowej i republikańskich. W Akademii Nauk ZSRR istnieją dwa ośrodki badań literackich: leningradzki Instytut Literatury, jako część „Otdielenija litieratury i jazyka" oraz moskiewski Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego. Owoce prac tych instytutów były różnorodne. Nie zaniedbywano literatury najdawniejszej. Piśmiennictwu staroruskiemu poświęcone były znakomite „Trudy otdieła driewnie-russkoj litieratury", w których widnieją nazwiska uczonych tak zasłużonych, jak D. W. Ajnałow, M. O. Skripil, W. F. Pokrowskaja, W. N. Peretc, W. P. Adrianowa-Peretc, A. S. Orłow, J. P. Jeremin. Zwłaszcza nieśmiertelne „Słowo o pochodzie Igora" doczekało się za czasów radzieckich gruntownego przepracowania i licznych komentarzy (prace W. N. Peretca, N. K. Gudzija, A. I. Sobolewskiego, A. I. Laszczenki, W. W. Sipowskiego). Wydane drukiem wykłady o literaturze staroruskiej A. S. Orłowa, znakomity podręcznik N. K. Gudzija, tomy o starej rosyjskiej literaturze w monumentalnej, jeszcze nie ukończonej wielotomowej historii lite-

ratury rosyjskiej wydawanej przez Akademię Nauk, stanowią imponujący objaw zainteresowania uczonych radzieckich tym tematem.

Literatura rosyjska XVIII wieku, długo zaniedbywana, doczekała się w czasach radzieckich gruntownych znawców i badaczy, zwłaszcza w postaci niestrudzonego prof. G. A. Gukowskiego i D. D. Błagoja, obu autorów cennych podręczników o tej literaturze. Jej wiek XIX, okres wielkości i sławy, znalazł się na radzieckim warsztacie naukowym w całości. Poddano gruntownej rewizji literackiej i ideologicznej jej cały dorobek. Poczynając od poetów — Radiszczewców a kończąc na Czechowie i Gorkim zdołali radzieccy badacze stworzyć nowe i zwarte, głęboko historycznie i społecznie przemyślane obrazy tej literatury, wykryć jej korzenie socjalne i uzasadnić jej doniosłą rolę czynnika społecznego. Dla przykładu, jak intensywna była to praca, przytoczę dorobek nowej rosyjskiej puszkinistyki, liczącej setki książek, prac, rozpraw, tysiące fachowych artykułów. Zajęto się wreszcie wydaniem wszystkich utworów poety na podstawie całokształtu jego puścizny rękopiśmiennej, wolnej od ołówka carskich cenzorów. „Soczinienija A. S. Puszkina" w wydaniu Akademii Nauk ZSRR mogą być wzorem doskonałej roboty edytorskiej. W oparciu o nieznane i chronione przed rewolucją po archiwach materiały stworzono nowe biografie Puszkina (prace W. W. Wieriesajewa, P. J. Szczegolewa, N. Ł. Brodskiego, B. W. Tomaszewskiego, N. O. Lernera). Pojawiły się specjalne studia poświęcone twórczości poety (A. W. Łunaczarskiego, D. D. Błagoja, W. A. Diesnickiego, W. J. Kirpotina, B. S. Mejłacha, W. M. Żirmunskiego, M. Azadowskiego, L. P. Grossmana, W. W. Winogradowa, A. G. Cejtlina). Wszystkie one trafnie oceniają ogromną puściznę literacką Puszkina jako twórcy nowej literatury rosyjskiej, w aspekcie współczesnego mu układu społecznego i politycznego.

Również dla przykładu dodam jeszcze słów parę o dorobku historyków literatury rosyjskiej nad życiem i twórczością Lwa Tołstoja. Zainicjowano pierwsze pełne, krytyczne, zaopatrzone w bogaty materiał naukowy 95 tomowe wydanie jego dzieł (dotychczas wyszło ok. 40 tomów). Ogłoszono szereg naukowych monografij o pisarzu (już za

czasów radzieckich wyszły monumentalne dzieła P. Biriukowa, N. Gusiewa, B. Ejchenbauma). Ogłoszono dziesiątki tomów materiałów do biografii autora „Wojny i pokoju". Wydano kilkadziesiąt pamiętników poświęconych życiu i działalności Tołstoja, jak też dzienników i korespondencyj dotyczących jego osoby. Opublikowano szereg dzieł o jego poglądach filozoficznych i społecznych, ogólnych charakterystyk i ocen, studiów o jego stylu i mistrzostwie pisarskim, jak też monografij o poszczególnych utworach.

2

Garść faktów, jakie przytoczyłem, to tylko ogólny i ramowy dowód bogactwa radzieckiej nauki o literaturze. Nie tu miejsce i czas na jej dokładniejszą charakterystykę. Zadanie szkicu niniejszego ogranicza się do zobrazowania ostatnich wydarzeń i osiągnięć teorii i historii literatury w ZSRR, do faktów i materiałów z ostatnich kilku miesięcy.

Czas ten jest dla radzieckiej nauki o literaturze niewątpliwie przełomowy. Po słynnej i znanej powszechnie rezolucji CK WKP(b) w sprawach leningradzkich czasopism naukowych „Leningrad" i „Zwiezda" z sierpnia 1946 r. i po przemówieniu na ten temat zmarłego niedawno sekretarza CK WKP(b) Andrzeja Żdanowa, wymierzonych przeciwko bezideowości, apolityczności i hołdowaniu sztuce „czystej" w literaturze, radziecka teoria literatury, jak też krytyka literacka sprecyzowały dokładnie swoje zadania. Nowym drogom i celom, jakie stoją przed literaturoznawstwem i krytyką literacką dał wyraz sekretarz generalny Związku Pisarzy Radzieckich A. Fadiejew w odczycie na plenarnym zebraniu zarządu tego związku w czerwcu ub. roku. „Nauka o literaturze i krytyka literacka — mówił Fadiejew (Zadaczi litieraturnoj tieoriji i kritiki. Probliemy socialisticzeskogo realizma. Sbornik statiej. Sow. pisatiel, 1948, str. 48) — stanowią wielką siłę w wychowaniu narodu. Poprzez literaturę jest ona powołana do ideowego wychowywania narodu, do wychowywania w nim nowych moralnych wartości, do wychowywania smaku estetycznego". Fadiejew powołuje się

na słowa Lenina o literaturze, które posiadają swoje znaczenie także dla krytyki literackiej i nauki o literaturze: ,,Literatura powinna stać się partyjną. W przeciwieństwie do zwyczajów burżuazyjnych, w przeciwieństwie do burżuazyjnego, kramarskiego druku, w przeciwieństwie do burżuazyjnego literackiego karierowiczostwa i indywidualizmu, do ‘pańskiego anarchizmu’ i pogoni za zyskiem — proletariat socjalistyczny winien głosić zasadę literatury partyjnej, rozwinąć tę zasadę i wprowadzić ją w życie w możliwie najpełniejszej i celowej formie“. ,,Na czymże polega — pyta Lenin — zasada partyjności literatury? Nie tylko na tym, że dla socjalistycznego proletariatu praca literacka nie może być narzędziem zdobywania zysku jednostek albo grup, ona nie może być w ogóle sprawą indywidualną, niezależną od ogólnej sprawy proletariatu“... Literatura — głoszą marksiści — nigdy nie była apolityczną, ani w przeszłości, ani obecnie. Teoria apolityczności jest burżuazyjną obłudą i maską. ,,Pisarz szlachecki czy mieszczański — mówił Fadiejew (tamże, str. 8) — także zawsze coś utwierdzał i coś odrzucał, a jeśli wdziewał na siebie maskę apolityczności... to był obłudny“.

Wokół tez, rzuconych w związku z zadaniami krytyki literackiej i nauki o literaturze, radzieccy teoretycy-literaturoznawcy rozwinęli pracę nad rozbudową i pogłębieniem problematyki realizmu socjalistycznego. Czynią to nie tylko dla naukowych sformułowań. Praca ich ma doniosłą funkcję normatywną, uczy bowiem i wychowuje młode pokolenia pisarzy. Oto program radzieckiego pisarza w ujęciu Żdanowa: ,,Zadaniem każdego sumiennego pisarza radzieckiego jest pokazać nowe wysokie wartości ludzi radzieckich, pokazać nasz naród nie tylko w dniu dzisiejszym, lecz wglądnąć w jego dzień jutrzejszy, pomóc niby reflektorem oświetlić mu drogę naprzód. Pisarz nie śmie wlec się w ogonie wydarzeń, lecz winien kroczyć w pierwszych szeregach narodu, pokazując mu drogę jego rozwoju. Kierując się metodą realizmu socjalistycznego, badając sumiennie i bacznie naszą rzeczywistość, starając się głębiej wniknąć w istotę procesów naszego rozwoju, pisarz winien wychowywać naród i uzbrajać go pod względem ideowym. Wybierając najlepsze uczucia i wartości człowieka radzie-

ckiego, otwierając przed nim jego dzień jutrzejszy, powinniśmy równocześnie pokazać naszym ludziom, jakimi być nie powinni, powinniśmy chłostać przeżytki dnia wczorajszego, przeżytki przeszkadzające radzieckim ludziom iść naprzód." Najpełniejszą interpretację „roboczą", literacką, tych słów dał A. Fadiejew w artykule „Zadaczi litieraturnoj kritiki", w lipcowym numerze pisma „Okt'abr" za rok 1947, który wszedł do wspominanej książki. Nad artykułem rozgorzała nie milknąca do dnia dzisiejszego dyskusja, ogarniająca historyków literatury, krytyków i pisarzy i rozszerzająca się w ogóle na zagadnienie kultury socjalistycznej (W. Ozierow, O socialisticzeskom realizmie, Okt'abr, 1948, kniga 9).

W pracy nad gruntowaniem zasad realizmu socjalistycznego roztrząsają dziś radzieccy teoretycy literatury m. in. pierwiastki rewolucyjno-romantyczne, stanowiące nieodłączny atrybut socjalistycznego realizmu. Hasła do podjęcia tej pracy padły również ze strony Fadiejewa. Przez pojęcie rewolucyjnej romantyki rozumie on twórcze elementy nie mieszczące się w realnej rzeczywistości, lecz w pragnieniu i powinności, w „marzeniu" — występującym w dziele literackim jako żywy obraz, „jako obraz człowieka, nosiciela nowego moralnego społecznego pierwiastka" (Problemy, str. 12). Te romantyczne pierwiastki widzi radziecka krytyka literacka przede wszystkim — jeśli chodzi o twórczość klasyczną zachodnio-europejską — w dziełach Balzaca. W tej skali ocen Wiktor Hugo jest już tylko rewolucyjnym romantykiem, bez kośćca historycznego, a Flaubert — aromantycznym realistą. Dlatego „realizm mieszczański był najbardziej pełnokrwistym, gdy go przenikały, ogrzewały i oświecały idee postępu" (Fadiejew, tamże, str. 17). Tym postępowym, użyźniającym duchem romantyki rewolucyjnej przejęty był Puszkin. Wzorowe, romantyczne typy przyszłości tworzyli również Lermontow, Gogol, Turgieniew, Niekrasow, Lew Tołstoj, Sałtykow-Szczedrin, Dostojewski, Czechow — lecz dopiero Maksym Gorkij potrafił organicznie związać elementy realistyczne i rewolucyjno-romantyczne. On też uchodzi za ojca realizmu socjalistycznego.

„Siła rosyjskiego realizmu — mówił Fadiejew — daje

się wytłumaczyć siłą wyzwoleńczego ludowego ruchu w Rosji. Siła rosyjskiego realizmu spoczywa w tej jego właściwości, że w nim zawsze lub prawie zawsze istnieje pierwiastek romantyczny, dodatni, budujący, a równocześnie jest on najbardziej krytycznym realizmem spośród wszystkich, jaki znał świat". „Realizm rosyjski — mówił dalej — jest najbardziej ideowy, najbardziej zabarwiony politycznie, najbardziej tendencyjny. I właśnie dlatego realizm rosyjski jest najswobodniejszy, pełnokrwisty, bogaty i niezwykły pod względem formy". „Jest rzeczą szczególnie ważną widzieć to, aby zrozumieć, do jakiego stopnia są nieprawdziwe formalistyczno-estetyczne wymysły o tym, jakoby ideowość, związek z polityką, walka o ideały społeczne obniżały sztukę" (tamże, str. 21).

Drugą ważką dziedziną, w obliczu której stanęła radziecka nauka o literaturze, jest zagadnienie wpływów i zależności literackich. Sprawa ta wyrosła w ostatnich miesiącach w ZSRR do rozmiarów ogromnej dyskusji i polemiki, w której wzięły udział Akademia Nauk ZSRR, uniwersytety, Związek Pisarzy Radzieckich, jak też wszyscy nieomal teoretycy literatury i jej historycy. Początek tego ruchu dały recenzje wydanej jeszcze w r. 1941 książki prof. Nusinowa „Puszkin i mirowaja litieratura" oraz paru innych prac o charakterze komparatystycznym, względnie odnoszących się do literatur zachodnich (duże dzieła zbiorowe poświęcone literaturze amerykańskiej, francuskiej i angielskiej, wydane przez Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR, dzieło leningradzkiego uczonego prof. Proppa „Istoriczeskije korni wołszebnoj skazki" i parę innych). Autorzy tych prac ujawnili w mniejszym lub większym stopniu swój związek z popularną i potężną kiedyś w Rosji szkołą literaturoznawczą Aleksandra Wiesiołowskiego (1838—1906). Postać Wiesiołowskiego nie wymaga w Polsce bliższych komentarzy. Wielki, jak na swoje czasy, uczony, popularny i ceniony na Zachodzie, stworzył w Rosji ogromnie rozbudowaną komparatystykę i teorię zależności, cieszącą się fanatycznym nieomal wzięciem. Jako produkt rozrastającego się mieszczaństwa, był Wiesiołowski, jeśli chodzi o stronę polityczną jego nauki, typowym przedstawicielem mieszczańskiego liberalizmu,

dalekiego od współczesnego mu ruchu rewolucyjno-demokratycznego. Rozmiłowany w kulturze zachodniej, zwłaszcza włoskiej, spędził wiele lat w obcym środowisku i przesiąkł jego duchem. Komparatystyka i teoria zależności doprowadziły go na mało w Rosji dostrzegane a oczywiste drogi umniejszania wielkości rosyjskiej literatury, do poderwania zasady jej samoistności, słowem, do schlebiania kulturze zachodniej. Operując w swoich pracach dużym słowiańskim materiałem folklorystycznym i literackim, z reguły uznawał go za przeróbkę wątków i elementów treściowych obcych, niejednokrotnie wbrew faktycznemu stanowi rzeczy. Nawet najwięksi apologeci jego szkoły i metod badawczych byli zmuszeni przyznać, że Wiesiołowski ,,przypisywał 'nierozwiniętemu' słowiańskiemu folklorowi i 'nierozwiniętej' słowiańskiej kulturze znaczenie drugorzędne w porównaniu z zachodnim rycerstwem i zachodnim miejskim życiem" (W. Kirpotin, O nizkopokłonstwie pieried kapitalisticzeskim Zapadom, ob Aleksandrie Wiesiełowskom, o jego posledowatielach i o samom gławnom. ,,Okt'abr'", 1948, kniga 1).

Skoro recenzenci wspomnianych książek radzieckich, wyrzucając im ich hołdowniczość wobec Zachodu, wykryli źródła tej tendencji i uderzyli w puściznę naukową Wiesiołowskiego, jako niewyschłe źródło złego natchnienia, stanęli w jego obronie niektórzy epigoni komparatystyki, skądinąd znani i u nas uczeni (W. Żirmunski, W. Szkłowski, Sziszmariew, A. S. Orłow). Do polemiki użyto z ich strony nawet czołowych ,,Izwiestij Akademii Nauk SSSR. Otdielenije litieratury i jazyka" (T. VI, wyp. 2, 1947). Ci komparatyści ulegli jednakże wobec druzgocących argumentów przeciwników, udowadniających zacofanie i fałsz teorii, ubożącej dorobek kulturalny narodu rosyjskiego. Podstawą dyskusji stała się oczywista teza marksistowska o kształtowaniu się dóbr kulturalnych w aspekcie lokalnych warunków historycznych i społecznych. ,,Czas skończyć w naszej nauce o literaturze z pełzaniem na kolanach przed zachodnimi wzorami. Czas się nauczyć szczycić się jak należy wielkimi skarbami naszej rosyjskiej klasycznej kultury, literatury, a także kultury bratnich narodów ZSRR i pokrewnych nam narodów słowiańskich, których litera-

turę, ku wstydowi naszej nauki, nawet nie zaczęto u nas badać. Czas naszym znawcom literatury rozstać się z bredniami przeszłości" — pisał jeden z czołowych współczesnych radzieckich krytyków literackich, An. Tarasienkow (Kosmopolity ot litieraturowiedienija. „Nowyj Mir", 1948, kniga 2). „Czas zrozumieć, że nie ma pisarzy ogólnoludzkich, bez korzeni klasowych i narodowych. Czas raz na zawsze rozstać się z przeżytkami szkoły porównawczej, historyczno-kulturalnej. Czas zrozumieć, że nie sławetne 'wpływy', lecz żywa praktyka historyczna walki klasowej określała i określa historię literatury". Na uroczystej sesji oddziału literatury i języka Akademii Nauk ZSRR z okazji 30 rocznicy Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej członek-korespondent tej akademii, prof. A. M. Jegolin w odczycie „Radziecka nauka o literaturze" powiedział: „Należy poddać kontroli głęboko niewłaściwy punkt widzenia wyolbrzymiający wpływ Zachodu na literaturę rosyjską w tym sensie, że wielcy pisarze rosyjscy przedstawiani są jako uczniowie klasyków europejskich, gdy wiadomo całemu światu, jak ogromny wpływ wywarła rosyjska literatura na literaturę Zachodu" (Wiestnik Akademii Nauk SSSR, 1948, 1, str. 111). Na posiedzeniu rady naukowej moskiewskiego Instytutu Literatury Światowej im. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR w marcu b. r. prof. L. I. Timofiejew wystąpił z wykładem „Przeciw idealizacji nauki A. Wiesiołowskiego". Wykazał wówczas bezideowość i zacofanie jego teoryj oraz szkodliwość ich stosowania w nauce współczesnej, jako teoryj antyhistorycznych, oderwanych od korzeni społecznych. Rada naukowa Instytutu w uchwalonej rezolucji podzieliła najzupełniej stanowisko referenta (Wiestnik AN SSSR, 1948, 5). W miesiąc później, na posiedzeniu rady redakcyjno-wydawniczej Akademii Nauk wystąpił z podobnym referatem A. M. Jegolin i poddał najsurowszej krytyce szereg prac wydanych przez Akademię Nauk, grzeszących błędami teoryj Wiesiołowskiego (Wiestnik AN SSSR, 1948, 6).

Tak wyglądają fragmenty walki, jaka się toczy obecnie w Związku Radzieckim o marksistowsko-leninowską teorię literatury, wolną od błędów i niezdrowych osadów przeszłości. Dodać należy, że walną batalię stacza tu zawsze

czuła i odważna „Litieraturnaja Gazieta“. Niedawno ogłoszony tam cykl wnikliwych artykułów W. Jermiłowa „Za bojewuju tieoriju litieratury“ (od nru 69 z 29 sierpnia b. r.) wysuwa przed tą teorią trzy bojowe postulaty: 1. przeciw kosmopolityzmowi literackiemu, 2. przeciw oderwaniu od współczesności i 3. przeciw romantycznej gmatwaninie. U fundamentu wywodów autora stoją referowane tu deklaracje i tezy w sprawie realizmu socjalistycznego i niepotrzebnego hołdownictwa kulturalnego wobec Zachodu.

3

Jakież są ostatnie radzieckie osiągnięcia w zakresie historii literatury w aspekcie tych teoretycznych założeń i programów? Są one bogate i różnorodne, a koncentrują się wokół szeregu historycznych postaci i faktów. Zacznijmy od fragmentu sprawozdania sekretarza Akademii Nauk ZSRR N. G. Brujewicza za rok 1947 (Wiestnik AN SSSR, 1948, 2, str. 26). „Zgodnie z planem — mówił Brujewicz — w oddziale literatury i języka pracowano nad 33 zagadnieniami“. „W Instytucie Literatury zakończono tom VII „Historii literatury rosyjskiej“. Tom ten jest poświęcony badaniom nad rozwojem literatury rosyjskiej w okresie od powstania dekabrystów do wojny krymskiej. Omówiono w nim historyczną rolę Lermontowa i Gogola, wielkich następców Puszkina, a także Bielinskiego i Hercena, twórców bojowych rewolucyjnych tradycji w publicystyce i krytyce. Toczą się prace nad zagadnieniami realizmu i ludowości“.

Już w bieżącym roku wybiły się na czoło dwa nazwiska historyków literatury: Borys Sałomonowicz Mejłach, doktor nauk filozoficznych, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, kierownik sekcji Instytutu Literatury Akademii Nauk — oraz Milica Wasiljewna Nieczkina, wprawdzie nie filolog, lecz z zawodu i wykształcenia historyk, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego. Obydwoje otrzymali oni ostatnio premie Stalinowskie „za najlepsze prace z historii literatury i krytyki literackiej, ogłoszone w r. 1947“. Książka prof. Mejłacha pt. „Lenin i zagadnienia literatury rosyjskiej końca XIX i pocz. XX wieku“ poświęcona jest omó-

wieniu poglądów Lenina na literaturę i Leninowskim ocenom rosyjskiej literatury, krytyki i publicystyki. Na szerokim tle historycznym, w oparciu o ogromny materiał historyczno-literacki z czasów od lat 90-tych do wybuchu pierwszej wojny światowej — autor wyświetlił zagadnienia rozwojowe literatury rosyjskiej w związku z walką Lenina o nowy ład społeczny w Rosji. Monografia Nieczkinej przedstawia dzieje wzajemnych stosunków Al. Gribojedowa i dekabrystów. Wartość szczególna jej dzieła polega na umiejętnym, na archiwalnych materiałach opartym przedstawieniu środowiska społecznego i atmosfery towarzyszącej powstaniu komedii „Gorie ot uma". W roku bieżącym przypada 100 rocznica śmierci twórcy rosyjskiej krytyki literackiej i wielkiego demokraty-rewolucjonisty Wissariona Bielinskiego. W związku z tym ukazało się o nim w Związku Radzieckim mnóstwo prac i materiałów historyczno-literackich. Najokazalej wystąpił, oczywiście, Instytut Literatury Akademii Nauk. Na łamach reprezentacyjnego „Wiestnika" tej Akademii (1948, 6) prof. Bielczikow ogłosił artykuł „Bielinski i rosyjska literatura", J. M. Polakow pracę o politycznym testamencie Bielinskiego, A. F. Iwaszczenko o powieści społecznej E. Sue w ocenie Marxa i Bielinskiego. W najbliższym czasie, również w przygotowaniu Instytutu Literatury Akademii Nauk ukażą się 2 tomy wydawnictwa „Litieraturnoje Nasledstwo" poświęcone Bielinskiemu. Zgodnie z tradycją tego znakomitego, mającego pierwszorzędną markę w świecie pisma, znajdą się tam najlepsze prace o charakterze historyczno-literackim oraz materiały historyczno-archiwalne. Oto zadanie części artykułowej tego wydawnictwa, sprecyzowne w „Wiestniku AN SSSR" (1948, 6, str. 89): „Wykazać z pozycji marksistowsko-leninowskiej nauki o literaturze historyczną rolę Bielinskiego oraz określić znaczenie puścizny twórczej wielkiego rewolucyjnego myśliciela i krytyka dla naszej epoki, dla naszej socjalistycznej kultury, dla naszej walki o komunizm". Naukowemu opracowaniu tego postulatu poświęcone są artykuły I. Siergiejewskiego, D. Zasławskiego, A. Ławrieckiego, B. Bursowa. Ścisłą część krytyczno-literacką tworzą prace M. Azadowskiego o Bielinskim i rosyjskiej poezji ludowej, P. Bier-

kowa o Bielinskim i klasycyzmie, L. Ginsburga o Bielinskim w walce z romantycznym idealizmem, B. Mejłacha „Bielinskij o Puszkinie" itd. Także największa w Związku Radzieckim Państwowa Biblioteka im. Lenina w Moskwie uczciła jubileusz wielkiego krytyka i filozofa wydaniem sporego tomu gruntownie opracowanych i nieznanych dotychczas jego rękopisów.

Bogaty i różnorodny był również plon 125 rocznicy urodzin dramaturga rosyjskiego Aleksandra Ostrowskiego. Wymienię tu tylko ogłoszone w bieżącym roku studia prof. N. S. Durylina „Itogi i problemy izuczenija Ostrowskogo" i prof. E. S. Kulabko „A. N. Ostrowskij i Akadiemija Nauk".

W związku z 120 rocznicą urodzin Lwa Tołstoja przypadającą na 9 września b. r. Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego i Muzeum Państwowe Lwa Tołstoja odbyły dwudniową sesję naukową, która znacznie posunęła sprawę badań nad puścizną wielkiego pisarza. Szereg zagadnień tej twórczości domagał się już dawno rewizji. Referaty prof. D. Błagoja, T. Motylowej, G. Zajcewa, K. Łomunowa, S. Byczkowa, N. Gudzija — stanowią cenny wkład do wiedzy o autorze „Zmartwychwstania".

Obok dzieł Tołstoja (tu wspomnę, że do 1. sierpnia b. r. wydano w ZSRR od czasów rewolucji łącznie 29.177.000 egzemplarzy jego dzieł) — wychodzą cenne przyczynki do jego twórczości oraz nieogłoszone dotychczas fragmenty utworów, jak też listy i materiały biograficzne.

Intensywne prace prowadzą obecnie uczeni radzieccy wokół zagadnienia życia i twórczości największego rosyjskiego pisarza nowej ery, Maksyma Gorkiego. I te wysiłki koncentrują się w Akademii Nauk. O rozmachu tych badań świadczy odbyta w marcu b. r. sesja obu jej literackich instytutów z okazji 80-tej rocznicy urodzin pisarza. Prof. A. M. Jegolin referował na nim pracę o Gorkim i literaturze rosyjskiej XIX wieku, prof. B. W. Michajłowski pracę o jego twórczości młodzieńczej, prof. I. S. Nowicz o dramaturgii, J. B. Tager o zagadnieniach eposu w popaździernikowej twórczości Gorkiego, B. A. Bialik o Gorkim i Dostojewskim, K. Umbrasas o Gorkim w literaturze litewskiej, doc. Parchomenko o Gorkim i literaturze ukraińskiej i t. d. (Wiestnik AN SSSR, 1948, 5, str. 77). W roku bieżącym wyszło

wreszcie trzecie wydanie kapitalnej monografii Ilii Gruzdiewa ,,Gorkij i jego wriemia'' (T. 1).

6 czerwca 1949 roku mija 150 lat od chwili narodzin A. S. Puszkina. Praca nad jego twórczością, koncentrująca się w Komisji Puszkinowskiej Akademii Nauk, postępuje naprzód w zdwojonym tempie. Drukuje się właśnie monografia o poecie pióra prof. Błagoja (,,Tworczeskij put' Puszkina'').

Akademia Nauk wydaje także olbrzymie, trzytomowe dzieło zmarłego niedawno prof. Ciawłowskiego ,,Letopis żizni i tworczestwa Puszkina''. Ten typ monografii, nieznany u nas, a mający w Związku Radzieckim już piękne tradycje, przedstawia życie i twórczość pisarza w sposób kalendarzowy, notując dzień za dniem, od daty urodzenia do śmierci, na podstawie wszystkich dostępnych drukowanych i archiwalnych źródeł przeżycia i trud pisarski autora. Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego wypuszcza wreszcie w związku z Puszkinowskim jubileuszem zbiór prac o poecie pióra A. Jegolina, M. Chrapczenko, G. Błoka, N. Izmaiłowa, I. Rozanowa, N. Brodskiego i in.

Jeszcze słów kilka o działalności akademij nauk poszczególnych republik Związku Radzieckiego w zakresie teorii i historii literatury, na podstawie sprawozdań i planów, drukowanych w ,,Wiestniku Akademii Nauk SSSR''. Instytut Literatury Akademii Nauk Ukraińskiej SRR ogłasza naukowo opracowane teksty klasyków literatury ukraińskiej, przygotowuje krótki kurs historii literatury ukraińskiej, wydaje monografie pisarzy ukraińskich oraz studia nad rosyjsko-ukraińskimi stosunkami literackimi. W Akademii Nauk Białoruskiej SRR pracują historycy literatury nad zagadnieniami miejscowego folkloru oraz przygotowują studia i monografie o białoruskim poecie i pisarzu Janku Kupale. Instytut Literatury Azerbejdżańskiej Akademii Nauk ogłasza właśnie historię literatury azerbejdżańskiej od XIII do XVI wieku, historię literatury radzieckiej w Azerbejdżanie, dzieje poezji aszugskiej itd. Ormiańska Akademia Nauk kończy wielotomową pracę z dziedziny historii literatury ormiańskiej oraz studia o dziejach ormiańskiej dramaturgii. W Akademii Nauk Uzbekskiej SRR prowadzone są prace nad zbadaniem epoki i osobowości twór-

czej największego uzbekskiego poety, Aliszera Nawoi. Akademia Nauk Kazachskiej SRR drukuje czwarty już tom historii kazachskiej radzieckiej literatury, prowadzi szeroko zakrojone prace nad folklorem oraz studia o tradycjach Gorkiego w literaturze kazachskiej. Litewska Akademia Nauk przygotowuje nowy zarys literatury litewskiej, monografię o nowej radzieckiej literaturze oraz szeroko zakrojone studia nad folklorem; podobne prace prowadzone są na Łotwie. W Akademii Nauk Estońskiej SRR położono szczególny nacisk na badania stosunków literackich estońsko-rosyjskich w XIX wieku.

Niestety, kulejąca ciągle dostawa książek radzieckich uniemożliwia zobrazowanie osiągnięć i poczynań radzieckich uniwersytetów w zakresie nauki o literaturze. Nieosiągalne są też pewne literaturoznawcze wydawnictwa, nawet akademickie. Nie wiemy, co zawiera najnowszy V tom „Trudow otdieła driewnie-russkoj litieratury Akademii Nauk SSSR". Tylko z bibliografii, zamieszczonej w „Wiestniku Akademii Nauk" dowiadujemy się o wydaniu I tomu „Trudow otdieła nowoj russkoj litieratury". Daremne okazują się usiłowania sprowadzenia ze Związku Radzieckiego, a omawianego w „Litieraturnoj Gazietie" (nr 16 z 25 II 1948) wydanego przez Goslitizdat tomu pt. „Istoriko-litieraturnyj sbornik" poświęconego kwestiom rosyjskiej literatury XIX wieku i folkloru. Jak widać z recenzji, zawiera on szereg studiów o niezmiernej doniosłości, jak o powstaniu i rozwoju ludowego eposu rosyjskiego, o historycznej powieści Puszkina, o twórczości Lermontowa, o zagadnieniach twórczości Tołstoja. Autorami prac są uczeni o znanych nazwiskach: M. Piksanow, S. Byczkow, N. Brodskij, J. Elsberg. Studia Cziczerowa, S. Pietrowa i A. Cejtlina, pomieszczone w tym zbiorze, spotkały się z ostrą krytyką na łamach „Litieraturnoj Gaziety" ze względu na poważne wady metodologiczne.

Waga ostatnich osiągnięć radzieckiej nauki o literaturze, zwłaszcza w dziedzinie teorii literatury, nie ogranicza się do terenu Związku. Zagadnienia genetyczne dzieła literackiego, opracowane w oparciu o teorie marksizmu-leninizmu, mają swój sens i wartość także daleko poza granicami ZSRR. Postawiona w ostatnich czasach tak zdecydo-

wanie sprawa wpływów i zależności literackich, i to zarówno ze względu na prawdę naukową, jak i dumę narodową, nie może ujść uwagi polskich historyków literatury, wśród których także istnieje pewne grono „wpływologów" gotowych widzieć w naszej kulturze li tylko odblask cywilizacji Zachodu.

ANDRZEJ JOCHELSON

PLAC NANKIERA

Plac Nankiera — to jedna z najpopularniejszych nazw w sieci ulicznej miasta Wrocławia. Popularność jej nie wynikła z faktu, że szereg ważkich obiektów zabytkowych znalazł się przy tym placu, ani z powiązania nazwy placu z wydarzeniem historycznym, które tutaj przed sześciu wiekami się rozegrało, ani nawet z powodu odbywania się w domu przy tym placu „czwartków literackich", aczkolwiek z tych trzech okoliczności ostatnia najwięcej sprawie spopularyzowania nazwy placu się przysłużyła. Zawdzięcza on swą popularność znajdującej się przy nim hali targowej. Plac Nankiera — to symbol handlu, symbol najtańszego zakupu, najłatwiejszego zarobku i najbardziej tandetnego towaru.

Dziwnym zbiegiem okoliczności usytuowanie targowiska w tym punkcie samo w sobie stanowi niejako najstarszy zakątek tego miejsca. Pierwsze wzmianki, które dotyczą tego placu już z końca XII i początku XIII wieku donoszą, że tutaj był targ. Widać historia gospodarcza ma też swoje żelazne prawa, skoro po upływie siedmiu i pół wieków wszystko się odmieniło, lecz targ trwa na tym samym miejscu. Charakter targowiskowy tego placu — również dzisiaj stanowi dominantę w jego wyglądzie. Na placu stoją liczne furmanki chłopskie z końmi, gryzącymi owies, przywiązanymi do jakichś kawałków ruin. Placem przewala się niezorganizowana ciżba handlujących najrozmaitszym towarem. Wszystko to wkłębia się w wąską gardziel ulicy Piotra Włosta i w szeroką bramę hali targowej. Dzisiejsze targowisko jest rozległe i zdradza tendencję do rozszerzenia swej powierzchni. Pierwotne targowisko wedle badaczów niemieckich (Ernst Maetschke, Aus Breslaus Frühzeit)

obejmowało teren pomiędzy kościołem św. Ducha, dziś nieistniejącym, a mieszczącym się na tyłach Hali targowej i kościołem św. Jakuba, dzisiejszym kościołem św. Wincentego. Od XIII wieku wchodziło się z Wyspy Piaskowej na teren targowy mostem, bodaj najstarszym z mostów wrocławskich, dzisiaj noszącym nazwę mostu Piaskowego, wówczas zwanego mostem Najświętszej Marii Panny. Nazwa pochodziła od znajdującego się na Wyspie Piaskowej opactwa Najświętszej Marii Panny Kanoników Regularnych z Arrevoise, w większości Francuzów z pochodzenia. Rządził jednak w latach 1203-1230 zakonem Polak, opat Witosław. Po przejściu mostu tego stawało się przed murami miejskimi, które w tej części miasta powstały prawdopodobnie jeszcze przed najazdem tatarskim z 1241 roku. W murach na plac targowy wprowadzała brama, nosząca również nazwę bramy Najśw. Marii Panny, w wysokiej wieży, której sylwetę naśladuje wieża hali targowej. Niestety, o ile ówczesna wieża bramy Najśw. Marii Panny była piękna, łącząc w sobie piękno materiału, ręcznie robionej, ciemnej gotyckiej cegły, z pięknem formy, o tyle dzisiejsza wieża hali targowej jest rażąco brzydka zarówno z powodu fabrycznej cegły, jako też nieumiejętności nadawania budowlom obronnym tego wdzięku, jaki im umieli nadawać budowniczowie średniowiecza. W najdawniejszych źródłach spotyka się wzmianki, że obie parcele na prawo i na lewo od placu targowego należały do panujących książąt-Piastów. Nie tylko zresztą te, lecz także ich przedłużenia wzdłuż brzegów Odry na prawo i na lewo. Na początku XIII wieku, jeszcze przed najazdem tatarskim, św. Jadwiga, cnotliwa i bardzo pobożna małżonka Henryka I Brodatego, zapisuje sprowadzonym przez siebie i osadzonym w Trzebnicy Cysterskom dochód z kamienicy, gdzie mieszczą się sklepy kupców niemieckich. Jest to wzmianka najstarsza o kamienicy we Wrocławiu. Stała ona mniej więcej na miejscu obecnej hali. Kupcy niemieccy prawdopodobnie źle czuli się w gromadzie handlujących słowian. Woleli się wyodrębnić. Przypomina to opisywane przez Ossendowskiego miasteczka w Mongolii; w każdym z nich jest też plac targowy, na którym handluje miejscowa mongolska ludność. Chińczycy natomiast mają na takim placu jeden

dom, z kilku lub kilkunastu sklepami, często o obronnym charakterze. Dom kupców niemieckich po ulokowaniu miasta niemieckiego w 1242 roku stracił swoje znaczenie. Kupcy niemieccy wyprowadzili się z niego, a książęta odsprzedali go biskupom lubuskim, owym dziwnym biskupom, którzy tylko kilkadziesiąt lat rządzili na terytorium swej diecezji, a potem wyrzuceni przez „katolickich" Brandenburczyków, parę wieków „pokutowali" po różnych miastach Polski, aż dali początek nowej archidiecezji we Lwowie. W XIV wieku odsprzedali też tę kamienicę biskupi lubuscy miastu Wrocławiowi, które urządziło w niej arsenał.

Wracam do XIII wieku. Jak wspomniałem już, za tą kamienicą, na ziemi nieobjętej murami miejskimi stanął w XIII wieku kościół św. Ducha wraz ze szpitalem pod tym samym wezwaniem, ufundowany przez Henryka I Brodatego i oddany w opiekę Kanonikom z Wyspy Piaskowej. Kościół ten dotykał prawie brzegów Odry, mieścił się więc częściowo na terenie promenady, prowadzącej dzisiaj wzdłuż Odry w kierunku na Województwo i zamykał ją. Aż po bramy tego kościoła i szpitala sięgało targowisko. Kościół ten rozebrano w XVI wieku, a parafię przeniesiono na daleki Tarnogaj. Szpital przeniósł się na tereny tzw. Nowego Miasta i przetrwał tam bodaj aż do oblężenia w 1945 roku.

Zachodnie obramowanie placu stanowiła parcela, którą darowała Franciszkanom świętobliwa Anna, synowa św. Jadwigi, a wdowa po bohaterze bitwy na Legnickim Polu, Henryku II Pobożnym. Darowizna nastąpiła mniej więcej w połowie XIII wieku. Franciszkanów sprowadziła Anna jeszcze za życia swego męża z Saksonii. Początkowo mieszkali oni w kamienicy kupców niemieckich, potem przenieśli się do klasztoru zbudowanego po drugiej stronie placu. Na miejscu tych zabudowań klasztornych, zburzonych w XVIII wieku, stoją mury osiemnastowiecznego opactwa Norbertanów. Wiek XIII entuzjazmował się zakonami żebraczymi. Wkroczenie do miasta Dominikanów czy Franciszkanów było ówczesną sensacją. Dominikanie do Wrocławia przybyli wcześniej i składali się wyłącznie z Polaków na czele ze św. Jackiem i bł. Czesławem, który też we

Wrocławiu na stałe osiadł. Wcześniejsze przybycie polskiej „ekipy" Dominikanów było niewątpliwie wynikiem przewagi etnicznej polskiej w owym czasie we Wrocławiu. Z chwilą, gdy skład etniczny ludności miasta zaczął wykazywać coraz większy odsetek Niemców pojawili się sascy Franciszkanie. Zbudowali oni do dziś dnia stojący kościół, niestety bez sklepień i dachu, najdłuższy we Wrocławiu, w swej obecnej formie stanowiący gotycką trójnawową bazylikę z XIV wieku.

Między tym kościołem a Odrą stał ongiś gotycki klasztor Franciszkanów, w którym w pierwszych dniach sierpnia 1339 roku gościł pan i władca Śląska, król Czech, Jan Luksemburg. Właśnie przed paru miesiącami król Kazimierz Wielki ratyfikował układ trenczyński, którym zrzekł się Śląska na rzecz korony św. Wacława. Właśnie doniesiono królowi Janowi, że poskromiono zuchwalstwo biskupa Nankiera, który odmówił wydania twierdzy Milicz wojskom króla Jana, nie uznając nowej władzy na Śląsku. Opór przełamano przez zdobycie tej twierdzy. W czasie uczty, którą odbywał król Jan w asyście swej świty i najprzedniejszych przedstawicieli patrycjatu miejskiego i kleru niemieckiego, zjawił się w towarzystwie 4 kanoników-Polaków biskup Nankier i tu wezwawszy trzykrotnie króla Jana o zwrot twierdzy, rzucił na króla ekskomunikę. Działo się to w refektarzu gotyckiego klasztoru franciszkańskiego, na którego fundamentach wznieśli w XVIII wieku Norbertanie swoje późnobarokowe opactwo. Franciszkanie mieli niejedną czarną kartę w historii miasta Wrocławia, które dwukrotnie wyrzucało ze swych murów zakonników-Polaków, w trzecim dziesiątku lat XVI wieku Bernardynów z wyraźnego poduszczenia Franciszkanów, w pierwszych latach XVII wieku Polaków-Dominikanów. Franciszkanie opuścili ten klasztor i kościół św. Jakuba w XVI wieku, gdy na skutek reformacji Augustianie-Eremici, dotychczas siedzący przy kościele św. Stanisława i Doroty, zeświecczyli się i kościół ten opuścili; wówczas to Franciszkanie skwapliwie przenieśli się do św. Stanisława i Doroty, znanego z posiadania najzamożniejszych parafian. W tym też czasie namiestnik cesarski, kierując się obawą o możliwość najazdu tureckiego, nakazał zburzyć najstarszą świątynię Wro-

cławia, kościół św. Wincentego na Ołbinie, należący do Norbertanów. Norbertanie przenieśli się do opuszczonego przez Franciszkanów kościoła i klasztoru św. Jakuba. Wkrótce potem uzyskali od Stolicy św. zezwolenie na zmianę tytulacji kościoła na obecną: św. Wincentego. Był to zakon, do którego przyjmowano wyłącznie szlachtę, stąd też okres należenia kościoła św. Wincentego do nich jest okresem świetności Kościoła, opactwo zaś bogactwem ozdób wnętrza i gustowną oprawą na zewnątrz wyróżnia się spośród barokowych budowli Wrocławia. Dzisiaj skrzydło opactwa widoczne z placu Nankiera przedstawia żałosny widok. Rozwalone pociskami i bombami samolotowymi ściany ledwo trzymają się dzięki podparciu ich przez olbrzymie drewniane bele. Opactwo zlikwidowane zostało w 1810 r., a od 1815 roku pomieszczono tu sąd apelacyjny. Przed gmachem sądu był pomnik Suareza, Dolnoślązaka-prawnika, autora pruskiego ,,Landrechtu'', prawa, które przez blisko półtora wieku, bo aż do 1 stycznia 1900 r. obowiązywało w Prusiech.

Plac pomiędzy tymi budowlami kończy się za prezbiterium kościoła św. Wincentego, nad którym to prezbiterium trzyma się jeszcze nieco wiązania dachu i kilka dachówek.

Kończy się plac rozszczepieniem się w dwu kierunkach: na wprost, wąską uliczką Piotra Włosta i na prawo również niezbyt szeroką ulicą, która ku zdumieniu każdego przechodnia po raz pierwszy plac ten zwiedzającego, zwie się w dalszym ciągu placem Nankiera. Dziwny bo kształt ma plac Nankiera. Składa się on z trzech placów połączonych wąskimi uliczkami; więc wspomniany plac targowy, potem wąska uliczka między kościołem św. Wincentego a kamienicami, potem prostokątny plac, będący pewnego rodzaju gazonem przed klasztorem i kościołem Urszulanek, wreszcie mały placyk przy dojściu placu Nankiera do ulicy Szewskiej. Na rycinie z 1750 roku widać, że większą część tego placu stanowią ogrody przy klasztorach Norbertanów i Klarysek. Mieści się na tym placu jeszcze (o dziwo) sześć wąziutkich i niskich kamieniczek, oddzielających ogrody przyklasztorne od ulicy. W r. 1780 była zatem tylko ulica i to dość wąska. Zwana była ,,Rittergasse'', bynajmniej nie

od stanu rycerskiego, ale od ,,Kreuzrittrów" czyli Bożogrobców, na końcu przy ul. Szewskiej siedzących. Jeszcze wcześniej ulicę tę zwano ulicą św. Jakuba od kościoła, opisanego poprzednio. Nazwa ,,Ritterplatz" powstała dopiero w XIX wieku, gdy wąską ulicę poszerzono w ten sposób, że powstał dzisiejszy plac-dziwoląg.

Zaraz na zakręcie zwraca uwagę świeżo odbudowana kaplica rokokowa przy kościele św. Wincentego. Ufundował ją w XVIII wieku opat hrabia Hochberg ku czci Najświętszego Sakramentu na miejscu wcześniejszej gotyckiej kaplicy Najśw. Marii Panny. Pociski artyleryjskie uszkodziły kaplicę w ten sposób, że pękły wszystkie jej mury i zdawało się, że zwalą się w trzy strony świata, tak jak w te trzy strony były pochylone. Dużym nakładem dowcipu architektonicznego i pracy uratowano kaplicę, wyprostowano ściany, obmurowano je dokładnie, scementowano sklepienie kopułowe i oto kaplica ta już czeka na to, by począć pełnić swą funkcję przybytku Bożego. Na pożegnanie tego kościoła należy wspomnieć o tym, że w jego piwnicach wśród licznych pochowanych zmarłych są też szczątki Henryka VII Pobożnego. Jego tablica grobowcowa, w końcu XIV wieku rzeźbiona, kiedyś stała po środku kościoła na grobowcu, od roku 1667 wmurowana była w boczny mur, wreszcie w 1832 r. umieszczona na dawnym miejscu, na grobowcu ad hoc wyrzeźbionym. Obecnie grobowiec ten jest w Muzeum Państwowym. Muzeum przyrzeka publicznie na etykietce, opisującej grobowiec, że po odrestaurowaniu kościoła, wróci on na swe dawne miejsce.

Gdy wchodzimy na prostokątne rozszerzenie placu, w przeciwieństwie do jego części handlowej zupełnie spokojne i jak gdyby nawet uśpione w ciszy, uderza oczy kompleks zabudowań klasztoru Urszulanek, rozpoczynający się od kościoła św. Wincentego aż do poprzecznie ustawionego do ulicy budynku parafii św. Macieja. Klasztor, należący obecnie do Urszulanek, przed r. 1810 należał do Klarysek. Zostały Klaryski sprowadzone do Wrocławia, podobnie jak Franciszkanie, w XIII wieku przez księżnę Annę. Jak wiadomo, Klaryski są żeńskim zakonem św. Franciszka, stąd też w regule osiedlają się blisko Franciszkanów. Również we Wrocławiu osiadły w najbliższym sąsiedztwie

Franciszkanów. Księżna Anna, znana ze swej szczodrobliwej ręki dla kościołów i zakonów, najszczodrobliwszą rękę miała dla Klarysek. Może pośrednim powodem tego był fakt, że sprowadzone one były z Pragi, a więc z jej rodzinnego miasta, z konwentu, którego opatką była jej rodzona siostra, św. Agnieszka, może to, że sama zamierzała wstąpić do tego zakonu. Klasztorowi darowała nie tylko tereny, zajęte przez zabudowania klasztorne, lecz również sześć innych parcel, położonych w różnych częściach miasta, z których jedna leżała naprzeciw klasztoru pomiędzy dwoma rowami. Z dokumentu z 1268 roku wynika, że po drugiej stronie ulicy, noszącej dziś nazwę placu Nankiera szły dwa rowy równoległe, wykopane oczywiście w celach obronnych, niewątpliwie na długo przed założeniem miasta, które to rowy jeszcze w 1268 r., czyli w 26 lat po założeniu miasta, istniały. Dzisiejsze kamienice, oznaczone numerami 2, 3, 4, 5, 6 i 7 powstały właśnie na tej parceli między rowami. W XV wieku był proces pomiędzy posiadaczami istniejących wówczas dziewięciu domków a klasztorem Klarysek, gdyż posiadacze domów zakwestionowali obowiązek płacenia czynszu; w wyniku procesu zostali oni zasądzeni wyrokiem, wydanym przez Sąd Miejski na płacenie czynszu w wysokości od 1 wiardunku do 1 marki (marka miała 4 wiardunki). Największy czynsz: 1 markę miał zapłacić mistrz mydlarski Beda, po 3 wiardunki mieli zapłacić giser Stenzel i nieokreślonego zawodu Mikołaj Czachiewicz, po pół marki Agnieszka Paszkowa (wówczas pisano: Paszkina), Frącek Stosz (może krewniak Stwosza) i Otto Keiser, a po 1 wiardunku Zygmunt Pfeilsmed, Eitel Reichel i Henryk Recki, zwany też Tarnawa. Rozmyślnie przytoczyłem imiona i nazwiska piętnastowiecznych mieszkańców Wrocławia dla podkreślenia równowagi pomiędzy elementem niemieckim i polskim w układzie etnicznym. Czachiewicz, Paszkowa i Tarnawa-Recki są niewątpliwie Polakami. Mydlarz Beda i Stosz są trudni do określenia. Niewątpliwymi Niemcami są: Stenzel, Pfeilsmed, Keiser i Reichel. Z domów tych pozostały do dziś dnia tylko fundamenty. Z dawnych lat poza fundamentami ostały się jeszcze dwa lapidaria, mianowicie tablica epitafialna z wy-

Św. Jadwiga
Narożnik Placu
Nankiera i ul. Pokutniczej.
Rzeźba z przełomu
XVIII/XIX w.



Godło domu „Złoty kosz" przy Placu Nankiera 7



Ozdobnik z kutego żelaza nad bramą domu przy Placu Nankiera 7



obrażeniem postaci księżny z kościołem na dłoni, niewątpliwie wyrzeźbiona w końcu XV lub z początkiem XVI wieku i figura księżny z tym samym symbolem z końca XVIII lub początku XIX wieku. Tablica wmurowana jest do kamienicy na rogu placu Nankiera i ulicy Jodłowej, figura — do kamienicy na rogu placu i ulicy Pokutniczej. Ponieważ właśnie od narożnika ulicy Jodłowej aż do narożnika ulicy Pokutniczej ciągnęły się grunty, obciążone wieczystą tenutą dzierżawną na rzecz klasztoru Klarysek, na skutek wspomnianej darowizny tego gruntu Klaryskom przez księżnę Annę, należało by przypuszczać, że są to podobizny księżny Anny. Na płaskorzeźbie (epitafialnej) jest wyryty herb, którego zbadanie mogło by tę sprawę wyświetlić. Prócz księżny Anny w grę wchodziłaby oczywiście również św. Jadwiga, a może też i Jolanta, żona Bolesława II, a więc synowa księżny Anny, która darowiznę uczynioną przez księżnę powiększyła (1309). Za św. Jadwigą (o ile chodzi o epitafium) przemawia pewien dokument z XVI wieku, który wspomina, że naprzeciw wylotu ulicy Jodłowej miały parcelę Cysterski z Trzebnicy. Domy te są wszystkie w dziewiętnastowiecznej szacie, przeważnie z końca tego wieku. Z innych lapidariów jest jeszcze wmurowany kosz, prawdopodobnie jako godło domu („zum Goldenen Korb"), wykonany również w XVI lub XVII wieku. Jest on wmurowany do domu pod nr. 7, w którym odbywają się „czwartki literackie". Ale to już jest historia najmłodsza: Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu powstało w styczniu 1946 r., a w niespełna pół roku później przeniosło się na II piętro tego domu.

Linia domów, przeciwległych do klasztoru św. Klary jest wygięta lekko łukiem. Jest też przecięta trzema uliczkami, wpadającymi do placu. Jeszcze naprzeciw kaplicy Hochberga wpada ulica Drewniana, łącząca Plac Nankiera, ongiś ulicę św. Jakuba z Nowym Targiem. Ulica ta zwała się tak już w XIV wieku; prawdopodobnie miała drewniany bruk; są wzmianki z tego okresu o wielkim błocie na Nowym Targu; prawdopodobnie więc i ta uliczka, wiodąca na Nowy Targ była bardzo błotnista i stąd wynikła konieczność wybrukowania jej. Przypominam, że w XIV wieku

wybrukowane były również co najmniej ulice: Szewska (tzw. Szewskie Bruki), Kuźnicza (Kowalskie Bruki) i Oławska (Kuśnierskie Bruki).

Druga z kolei ulica, wspominana jeszcze wcześniej, to „Tannicht", dzisiejsza ulica Jodłowa. Nazwa jej wywodzi się od zagajnika jodłowego, który widocznie uległ wycięciu. Ale jeden z historyków wrocławskich wieku XVIII, Gomolcke, kierując się tak właściwym Niemcom nastrojem łzawo-sentymentalnym, zakwestionował to tłumaczenie nazwy, twierdząc, że pochodzi ona od zwyczaju sprzedawania na ulicy choinek przed Bożym Narodzeniem. Istotnie, jak dowiedziałem się od tubylców, aż do ostatniej niemieckiej Gwiazdki w 1944 roku sprzedawano choinki w tej uliczce. Możliwe jednak, że tradycja ta wynikła z chęci dostosowania się do interpretacji owego breslografa, a nie odwrotnie.

Trzecia wreszcie ulica, najdłuższa z nich, bo łącząca południową część miasta z placem Nankiera, a nie — Nowy Targ, jak tamte dwie — to ulica Pokutnicza. Nazwa jej oznaczała ulicę rzemieślników, zwanych „altbüsserami", czyli naprawiaczami starzyzny. Był to cech wcale liczny, a nadto przy ich ulicy mieszkali rzemieślnicy cechów, nie posiadających własnych ulic, jak szklarze, kamieniarze, snycerze, malarze i malarze na szkle (tzw. Glasschreiber). Potem te artystyczne cechy dostały własną ulicę, dzisiejszą Piotra Włosta (wiek XVI). Natomiast dzisiejszą ulicę Malarską nazwano tak w połowie XVIII wieku i to zupełnie bezzasadnie. Nazwa obecna ulicy starzyźniaków: „ulica Pokutnicza" opiera się na równie łzawo-sentymentalnej interpretacji Gomolcke'go, który pierwszy (i jedyny) zapisał, że nazwa ulicy pochodziła stąd, iż w średniowieczu nakazywano grzesznikom odbywać pokutę przez chodzenie na klęczkach od kościoła św. Marii Magdaleny do kościoła ówczesnego Klarysek. Oczywiście — jest to wymysł, niczym niepoparty i dlatego należało by odmienić tę cudaczną nazwę, która wkroczyła już do literatury w pierwszym opowiadaniu „Piórkiem Flaminga" Żukrowskiego.

Wracam do klasztoru św. Klary. Najdziwniejszą częścią tego klasztoru jest podwójny kościół. Składa się on z dwóch naw, równej długości i wysokości i prawie że równej szerokości, połączonych trzema szerokimi przejściami, o fun-

damentach i murach jeszcze z epoki gotyckiej. W końcu XVII wieku obie nawy zbarokizowano. W obecnej wojnie uległ ten podwójny kościół całkowitemu zniszczeniu wnętrza na skutek zawalenia się sklepienia i pożaru. Dlaczego powstały dwie świątynie obok siebie, na dobitek jeszcze w okresie gotyckim, mające wspólny dach, dotąd nie wyjaśniono. Podejrzewano, biorąc pod uwagę wspomniany już dokument z XVI wieku (z którego treści wynikało, że gdzieś w tamtej okolicy Cysterski też miały parcelę naprzeciw ulicy Jodłowej) oraz intytulację, że jeden z tych kościołów pod wezwaniem św. Jadwigi zbudowany był przez Cysterski i dla Cystersek, a drugi św. Klary służył już od XIII wieku Klaryskom. Potem Klaryskom udało się połączyć w swym ręku oba kościoły, po czym połączyły je przez przebicie trzech przejść i tak powstała jedyna w swoim rodzaju świątynia dwunawowa. Obecnie wnętrze kościoła przedstawia niezwykle przykry widok. Wyniesiono wszystkie ołtarze, a nawet wymurowano część epitafiów. Samotnie sterczy na ścianie nagrobkowa płyta księcia Henryka VI Ostatniego, tego co bez żadnej ku temu potrzebie oddał księstwo wrocławskie królowi Janowi Luksemburgowi. Fakt ten zapisany jest na jego grobowcu słowami: „w 1335 roku, w noc św. Katarzyny okrutna śmierć porwała Henryka, Księcia VI na Wrocławiu, co państwo zdał po wygaśnięciu rządzących Czechom". Z historii wiadomo, że powodem tej tak tragicznej dla polskości na Śląsku decyzji był fakt bardzo błahy: oto dwaj kuzyni Henryka VI, książęta Bolesław brzesko-legnicki i Konrad oleśnicki toczyli między sobą wojnę. Wmieszali się w to Łokietek i Henryk VI, obaj po stronie Bolesława. Gdy jednak doszło do zawierania pokoju, obaj książęta pojechali pokój zawierać do Krakowa i Henrykowi VI ani odszkodowania za udział w wojnie nie dali ani żadnej korzyści materialnej czy moralnej nie zapewnili. Pogniewał się o to Henryk VI i to najwięcej na Łokietka, po czym wpadł w objęcia niemieckiej kliki, która namówiła go do oddania księstwa Luksemburgom z zachowaniem sobie dożywocia. Poza Henrykiem VI pochowani w tym klasztorze byli: księżna Anna i Henryk V, lecz ich epitafia nie zachowały się (przed wojną były w Muzeum Archidiecezjalnym).

Jak wspomniałem, kościół i klasztor z końcem XVII wieku energiczna opatka Brygida Wambowska przebudowała w stylu baroku. Masywną wieżę ozdobiono wysokim hełmem z dwoma latarniami. Niestety przed czterdziestu laty spaliła się wieża i dach; odbudowano dach w dawnej postaci, lecz wieżę ozdobiono skromnym, niestylowym i nieciekawym hełmem, przekreślającym cały urok świątyni.

Kościół i klasztor po kasacie zakonu Klarysek w 1810 r. otrzymały Urszulanki, które prowadziły tu i prowadzą do dzisiaj prywatne gimnazjum dla dziewcząt. W jednym z budynków klasztornych mieszkał Administrator Apostolski Dolnego Śląska, gdy przybył organizować tutaj życie kościelne w pionierskich latach 1945 i 1946.

Rozmieszczenie placu przy klasztorze św. Klary zamyka poprzecznie wybudowany dom parafii św. Macieja, ongiś stanowiący jeden z budynków klasztoru Bożogrobców. Jedna z gałęzi Bożogrobców osiedliła się w Pradze, gdzie zaczęła się zwać Krzyżowcami z Czerwoną Gwiazdą. Stali się w Pradze bardzo popularni dzięki duchowi miłosierdzia i pobożności, jaki przejawiali w swej pracy szpitalnej i dlatego to sprowadziła ich księżna Anna. Otrzymali oni szpital pod wezwaniem św. Elżbiety oraz kaplicę pod wezwaniem św. Macieja. Z zabudowań szpitalno-klasztornych przylega do placu tylko jedna budowla, całkowicie niemal pozbawiona zabytkowego charakteru, z XVIII-wiecznym godłem zakonu, widocznym od ul. Szewskiej i ze starym (XVIII w., a może XVI-XVII) dachem siodłowym. Między narożnikiem ulicy Pokutniczej i Szewskiej zwracają uwagę dwa domy: jeden z rokokowym portalem i ozdobami z połowy XVIII wieku, drugi, narożnikowy przy ul. Szewskiej, o fasadzie bardzo długiej i klasycystycznym tympanonie, zdobnym w herb miasta — ongiś pałac Piastów opolskich, od 1801 r. własność miasta. W wyglądzie swoim zachował charakter, jaki mu nadano w 1801 r. Mieści dziś komitet wojewódzki PPS. Między tym budynkiem a kościołem św. Macieja jest trzecia część placu Nankiera w postaci niewielkiego placyku przed kościołem, w większej części pokrytego trawą i zadrzewionego. Pod drzewami kryje się figura św. Jana Nepomucena, rzeźbiona na początku XVIII wieku przez najgłośniejszego barokistę wrocławskiego Jana Jerzego Ur-

bańskiego, Polaka. Z tyłu za nim stoi kościół Krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą (skasowanych w 1810 r.) pod wezwaniem św. Macieja. Doznał on poważnego uszkodzenia w czasie oblężenia: spłonięcia dachu i zawalenia się sklepienia. Budowany był około 1400 r. na fundamentach XIV-wiecznej kaplicy romańskiej i wzorowany jest na kościele św. Krzyża. Podobnie jak kościół św. Krzyża ma dwie krzyżujące się nawy i dwa piętra: kryptę na wpół pod ziemią i górny kościół. Mieścił groby mistrzów Zakonu; jeden z nich, w XVI wieku, zwał się Chryzostom Nieborak; w związku ze szpitalnym charakterem Zakonu nazwisko to ma specjalny posmak. Jak informuje płyta na zewnątrz kościoła, pochowany w nim też został filozof-mistyk i poeta wrocławski z XVII wieku, Anioł Ślązak (Jan Scheffler), którego kilka tekstów przełożył Adam Mickiewicz.

Fundacje pobożne księżny Anny szły dalej jeszcze. Po drugiej stronie ul. Szewskiej był szpital św. Agnieszki. Lecz ja ograniczam się do placu Nankiera i stanąwszy na ulicy Szewskiej oraz spojrzawszy raz jeszcze na cały ten plac o dziwacznym kształcie, patrzę, jak historia toczyła się po jego obszarze.

JULIUSZ KLEINER

Z AUTOGRAFÓW SŁOWACKIEGO

Wśród skarbów, które dzięki Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich znajdują się teraz we Wrocławiu, jedno z miejsc naczelnych należy się rękopisom Słowackiego. Zawartość ich przeważnie znana jest już kulturalnej Polsce; teksty ogromnej tej puścizny poetyckiej ogłaszane w w. XIX i XX w wydaniach osobnych i w edycjach zbiorowych. Ale dopiero z chwilą, gdy ukończone zostanie pomnikowe szesnastotomowe wydanie ,,Dzieł wszystkich'', zamknięty będzie trud ich całkowitego wyzyskania, a utwory nie wydrukowane za życia twórcy otrzymają kształt ostatecznie ustalony; często bowiem układ fragmentów tak daleki był w wydaniach od intencji autora, że nie tylko brzmienie wierszy, lecz sama treść poematu ulegała modyfikacjom. Nie brak zresztą urywków, odmiennych redakcyj, nawet utworów całkowitych, które w tej wielkiej edycji krytycznej po raz pierwszy wejdą do zespołu dzieł poety.

,,Dzieła wszystkie'' Ossolineum zaczęło wydawać przed ćwierć wiekiem; po przerwie długiej przystępuje — w związku z bliskim stuleciem śmierci Słowackiego — do kontynuowania tych tomów i do reedycji drukowanych przed wojną [1].

Sześć nowych tomów zawrze utwory pozostałe w puściźnie rękopiśmiennej. Między innymi — postać właściwą uzyska w nich dramat, który w latach wojennych i powojennych zatętnił żywą krwią aktualności: ,,Zawisza Czarny'' [2]. Mistyczny ten dramat chrześcijański o świętym bohaterze narodowym sięgnął do dziejów Polski jagiellońskiej, łamią-

[1] Juliusz Słowacki, Dzieła wszystkie pod redakcją Juliusza Kleinera. Wyszły tomy I—VII i IX—XI; w r. 1939 drukowano tom VIII; wybuch wojny uniemożliwił dalsze składanie.

[2] Tekst w układzie ustalonym przez redaktora „Dzieł wszystkich“ przygotował do druku krótko przed wojną ś. p. Jan Czubek; cenne opracowanie to zdaje się zaginęło.

cej przemoc zaborczą Niemców; objawić pragnął wyższość polskości nad żywiołem germańskim, groźnym czy to krzyżacką butą, czy dwulicowością cesarza Zygmunta — i wizją poetycką sprostać wielkości Grunwaldu.

Nie z Grunwaldem jednak łączy się urywek, który poznają jako zapowiedź wznowionej edycji czytelnicy „Zeszytów Wrocławskich" — urywek w części tylko stanowiący i n e d i t u m, ale nowy nawet w obrębie drukowanych już sestyn, bo nie związano ich dotąd w całość należytą.

Te jego ustępy, które nie były dostępne poprzednim wydawcom, znajdują się na dwu oddartych szczątkach karty; i słowa wierszy napisanych, i przylegające do siebie brzegi pozwalają złączyć owe szczątki. Zawierają one koniec znanego już dawniej dialogu dwu kobiet gorąco kochających Zawiszę. Miłości Polki Laury przeciwstawił poeta żar zmysłowy, wznoszący się do wyżyn uduchowienia w wyznaniach Mauretanki, co przebrana za giermka pod imieniem Manduły wiernie towarzyszy bohaterowi, by wreszcie zginąć z nim razem na polu walki, na straconej pozycji. Motyw zasadniczy — przebrana za giermka kobieta kochająca — należał do konwencjonalnych motywów w poezji XVIII i XIX wieku; szata orientalna, w którą go przybrał Słowacki, jest szatą byrońską. Ale tyle ognia uczuć ma baśniowa wschodnia kochanka wierna, że samoistne życie zyskuje i w obrębie polskiej poezji miłosnej, i w obrębie prób ujęcia poezji odrębnej islamu, któremu pieśń VII „Beniowskiego" dała tak czarowny, tak za serce chwytający urok ginącego świata.

Z poczuciem odrębności i wielkości wschodniego świata tryumf swój pośmiertny, pośmiertne połączenie z umiłowanym zapowiada Manduła Laurze, gdy ta w giermku poznała kobietę i — rywalkę:

Przed śmiercią swoją... na jedną godzinę
    Pozna, kto jestem... gdy zgraja pancerna
Nie zechce ginąć... a ja przy nim zginę,
    Pozna, kto jestem... bo pozna, żem wierna —
Dam się jak sztandar potargać na ćwierci,
Bo nie tak jak wy kocham — lecz do śmierci.[3]

[3] Strofa ta kończy rozmowę Laury i Manduły w lwowskim wydaniu jubileuszowym (Dzieła J. S., t. IX, wydał dr Wiktor Hahn, 1909, str. 86).

Gdy go przed śmiercią... spytasz o ojczyznę,
Którą on dzisiaj ma za wszystko świętą —
On się zapatrzy tu na moją bliznę,
Tu na tych piersiach moich rozerzniętą,
I powie tobie, jeśli powie szczerze:
Że tam ojczyzna jego — gdzie ja leżę.[4]

Ty jako cyprys zostaniesz żałobny[5]
Na jego grobie — choćby z nim pod ziemią,
Lecz mój duch jego duchowi podobny
Nie dba, że ciała dwa przy sobie drzemią.
Wy tu robactwo z miłości spłodzicie,
Ja go ukocham święta na błękicie.

Patrzajże, piękna, kto z nas kocha dłużej
I kto się oddać powinien rozpaczy.
Chociaż on oczy przy tobie zamruży,
Ale mnie pierwszą w niebiosach zobaczy —
A chociaż zmarli są wszędy przytomni,
On ze mną będąc... o trupach zapomni.[6]

Przemowa Mauretanki dalsze jeszcze snuła fantazje, z których poeta ostatecznie zrezygnował:

W śmierci najmocniej wiążą się dwa duchy,
W Bogu się dusze najmocniej kochają...
I czemuż piorun mego serca głuchy,
Czemuż me oczy błyskawic nie mają?
Spaliłabym cię... w co ufasz?... żeś święta?
Ale świętość... ogień Boży,
Co brudne uczucie czyści,
A na każdy fałsz się sroży.
Święci są ludzie ogniści,
Czucia i ognia otchłanie.
Święci... to mahometanie,
Co tchem Boga ludy walą.
Święci... to alabastrowe
Lampy ciał, które się palą
Zakrywszy światła połowę
Dla ziemi... i cierpią boleśnie,

4 W wydaniu wspomnianym jest to „Wariant XIX“ (str. 415); wariant obejmuje dwie zwrotki, ale drugą uznać należy za zarzuconą.

5 Słowa te właśnie dowodzą, że poeta bezpośrednio nawiązuje do zdania o grobie („Że tam ojczyzna jego — gdzie ja leżę“), że więc sestyna, którą napisał po tym wierszu, została zarzucona.

6 Dwie sestyny od słów „Ty jako cyprys“ do „zapomni“ ogłosiłem w monografii o dziejach twórczości Słowackiego (t. IV, cz. I, przypisek na str. 255—256).

Bo gdyby ogień zawcześnie
Wylały wiekowi wbrew,
Zagrzałyby serca żarem
W zgniłych ciałach zgniłą krew,
A nic więcej... ja tym jestem pożarem,
Ja tą lampą... ja tym ogniem... światłością,
Ja tą gwiazdą... tą zakrytą miłością,
I dlatego cierpię jak przeklęta.

Ostatnie sześć wierszy Słowacki zastąpił inną redakcją, tak że ustęp od słów: „Bo gdyby ogień" otrzymał brzmienie odmienne:

Bo gdyby ogień zawcześnie
Wylały wiekowi wbrew
W ciałach zapaliwszy krew,
W zgniłych — zapaliwszy zgniliznę,
Przelękłyby się pożaru...
Święci, tu mają ojczyznę
Z samotności... z ducha czaru
Mają ogrody i róże,
Z własnych łez brylanty duże,
Z widzeń tęczowych... namioty,
Z myśli skrzydła... a gorące
Serca, smętne jak miesiące,
Pełne zaświatnej tęsknoty,
Niczem tu nie nakarmione...[7]

Calderonowski ten potok słów nie zadowolił poety; uznał, że wystarczą sestyny poprzednie; przekreślił wszystko począwszy od zdania: „W śmierci najmocniej wiążą się dwa duchy" i finałem przeciwstawienia dwu kochanek w sferze zagrobowej uczynił zapowiedź namiętnej mahometanki, niby hurysy uduchowionej:

On ze mną będąc... o trupach zapomni.

---

[7] Słowami „W śmierci najmocniej wiążą się dwa duchy" zaczyna się fragment dotąd nie drukowany. Drobne jego warianty zostały pominięte.

Z czterech sestyn dwie mieszczą się w rękopisie „Zawiszy Czarnego", oprawionym przed wojną, dalsze wraz z kontynuacją przekreśloną napisane są na wspomnianej karcie zdefektowanej, rozdartej; znajdują się one w tece obejmującej różne utwory i fragmenty.

„DZWIĘKI MINIONYCH LAT"

Tak brzmiał tytuł tomiku poezji, którym mieszkańcy Krakowa zostali obdarzeni sto lat temu mniej więcej. Tomik ten formatu małej oktawy o 68 stronicach zwracał na siebie uwagę pewną tajemniczością, która zresztą doskonale dostrajała się do owoczesnej epoki konspiracji i podziemia. A więc najpierw karta tytułowa głosiła, że książeczka ta ujrzała światło dzienne w Paryżu (Imprimerie de Maistrasse et Compagnie, Place Cambrai 2), ale nie podawała zupełnie autora. Pozostawał też w cieniu i wydawca, który zaraz na pierwszej karcie zwracał się zagadkowo „do przyjaciół wieszcza":

> Póki chodził między nami, kochaliśmy go i miłość ta codzień wzrastała; bo ileżto doznawaliśmy słodyczy i przyjemności w jego towarzystwie, a jak chciwie i z jaką rozkoszą słuchało się jego pienia, które i zmysł słuchu głaszcze i uczucie błogością napełnia i myśl oprowadza po nieskończoności przestworza. Od dziesięciu lat zstąpił pod ziemię, — gęśl zamilkła, i czy się kiedy ozwie, Bóg tylko wie!

Tyle zagadek i niedomówień! I tylko szczupła garstka wtajemniczonych wiedziała, że karta tytułowa była mistyfikacją, bo książeczka drukowana była naprawdę w tajnej drukarni krakowskiej „Pod sową" i że autorem jej był młody entuzjasta i działacz społeczny Gustaw Ehrenberg, przed laty dziesięciu wywieziony na Sybir. „Dźwięki" zostały wydane przez ludzi dobrej woli, którzy w ten sposób stawiali swojemu dalekiemu przyjacielowi literacki pomnik za życia. Przyjaciele Gustawa Ehrenberga realizowali postulat poznańskiego „Tygodnika literackiego", który po wywiezieniu poety na Sybir stał się heroldem literackiej sławy wygnańca i na swoich łamach zamieszczał jego utwory.

W nr 4 r. 1840 tenże „Tygodnik" rozpoczął druk powieści Gustawa Ehrenberga „Bądźcie prostodusznymi jako gołębice a chytrymi jako węże", a redakcja zaopatrzyła tytuł pierwszego fragmentu następującą notą:

> Powieść ta jest pierwszą z powieści napisanych przez tego utalentowanego, szlachetnego a dziś tak nieszczęśliwego młodzieńca, którego poezje umieściliśmy w pierwszym tomie pisma naszego. Redakcja ma zamiar zatrudnić się wydaniem pism G. Ehrenberga, w celu rozpowszechnienia ich, uprasza przeto wszystkich posiadających takowe w rękopiśmie o ich łaskawe nadesłanie.

Niestety „Tygodnik" z nieznanych nam bliżej powodów nie doprowadził do skutku tych planów wydawniczych, a uczynili to dopiero przyjaciele krakowscy Ehrenberga wśród wyjątkowych okoliczności. Tomik wydany przez nich obejmował utwory, powstałe przed 13, czy też 12 laty (daty roczne 1835 i 1836 mieściły się w tytule) a napisane przez poetę siedemnastoletniego, który wówczas zaledwie stawiał pierwsze kroki na polu literatury, a wtrącony do więzienia w maju 1838 r. i następnie wywieziony na Sybir nie miał możności dokonania ostatecznego szlifu edytorskiego swojej książeczki. Wydawcy nie mogąc liczyć na współpracę autora sami wymyślili tytuł dla zbiorku, sami dokonali wyboru i układu tekstów i z całą pewnością opierali się przytem nie na autografach, ale na odpisach (rzadko chyba autoryzowanych), a tu i ówdzie na przedrukach „Tygodnika" poznańskiego.

Ale nie idzie w tym wypadku o surową, niewykończoną formę artystyczną tomiku, jego wartość tkwi gdzie indziej. Poezja młodziutkiego Gustawa Ehrenberga — tak jak to już stwierdzono — jest śmiałą próbą przełamania egotyzmu romantycznego i skierowania go w łożysko problematyki n a r o d o w e j i s p o ł e c z n e j. Poeta ustosunkowuje się krytycznie, nawet ironicznie do sentymentalizmu, a radzi podnosić myśli na szczyty Krępaku i kultywować uczucie ponad-osobiste, gromadne.

W wierszu „Do romantyka" (Edmunda Wasilewskiego) woła:

> Gdy chcesz śpiewać, to myśl twoję
> Nad Krępaku wystrzel szczyt,
> Śpiewaj braciom bratnie boje,
> Gwiazdy spytaj o ich byt.

Wieszcz krajowi winien lutnię,
Więc dla ludu lutnia twa,
Nie rozpacznie, nie tak smutnie
Krwawy takt niech bojom gra!

A w wierszu do drugiego przyjaciela Franciszka Żyglińskiego „Znowu do romantyka" wypowiada życzenie:

O! gdyby los, szachraj stary,
Kochankę wskazał nam nową,
Zamiast niewieściej gitary
Zagrał nam w trąbkę bojową!

Entuzjazm patriotyczny pobrzmiewa w wierszu „Karnawał":

Tańce, śpiewy niechaj brzmią po sali,
Mami serce, my mamy sztylety!
Zapomnijcie, żeście kraj kochali,
Cóż po kraju gdy taniec wre w sali?

Ta sama nuta dźwięczy w fragmencie „Tańce zapustne":

Wyostrzcie broń na morderce,
Śpiewajcie, pijcie i tańczcie,
Przetańczcie rozum i serce,
Ale zemsty nie przetańczcie!

Ujściem uczuć patriotycznych autora jest pieśń do dziś śpiewana:

Hej tam w karczmie za stołem, Siadł przy dzbanie Jan stary.

Obok haseł patriotycznych widać w poezji Ehrenberga także i tendencje szczerze demokratyczne:

Jeśli cię kiedy płaska salonów rozmowa
Lub gwar kłamany jasnych panów znudzi,
Bracie! chodź ze mną między gminnych ludzi,
Szczery tam uśmiech, nieobłudna mowa,
Bo gminny człowiek czy gniewem się żarzy,
Czy w przyjacielskie obejmie ramiona,
Zawsze mu widno z wruszenia i z twarzy,
Że to mówi, co myśli — co myśli, wykona.

Przejawem żywego płomiennego radykalizmu społecznego jest głośna pieśń „Szlachta w roku 1831".

Ze względu na to, że tekst tej pieśni znamy z redakcji późniejszych, głównie pochodzących z okresu powstania styczniowego, przytaczamy w całości tekst tego utworu w brzmieniu jak najbardziej autentycznym:

SZLACHTA W ROKU 1831

Gdy naród na pole wystąpił z orężem,
Panowie na sejmie radzili;
Gdy lud polski krzyczał: Umrzem lub zwyciężem!
Panowie o czynszach prawili.
Gdy wiara porwała siekiery i kosy,
W siermięgach z województw ruszyła;
Panowie uczone podnosili głosy,
Gadali wymownych słów siła.

Przecież w listopadzie — o szlachta, panowie!
Gdy biła godzina wolności,
Nie pańskie to dzieci, nie hrabscy synowie
Przysięgli na braci swych kości:
Że mieczem wywalczą swobody i prawa
I stare przywrócą granice;
Że wbiją na Dnieprze słupy Bolesława,
Rozburzą cesarską stolicę [1].

Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
Rękami czarnymi od pługa,
Panowie w stolicy palili cygara,
Radzili o braciach zza Buga.
Radzili, prawili i w mądrej swej głowie
Ukuli rozejmy, traktaty.
O cześć wam panowie! o cześć wam posłowie!
O cześć wam hrabiowie, magnaty!

Ach waszym był synem ów niecny dyktator,
Co zdradził i naród i sławę,
I wódz nasz naczelny, pobożny kunktator,
I zdrajca, co sprzedał Warszawę.
Wieśniacy nie znają Wiedeńskich traktatów,
Nie wierzą w układy z carami,
Lecz biją Moskali, wieszają magnatów
I mścić się umieją stryczkami!

Zadrzyjcie szlachcice! już naród się poznał
I wyszedł spod waszej opieki;
Wam naród wywdzięczy krzywdy, których doznał,
Lud już was przeklął na wieki.
O! kiedy wybije godzina powstania,
Magnatom lud ucztę zgotuje;
On miecze i stryczki zaprosi do grania,
A szlachta niech sobie tańcuje.

---

[1] W tych słowach należało by widzieć nie przejaw jakiegoś imperializmu, ale atak na rządy carskie.

Muzyka zaśpiewa: „Panowie magnaci!
Możecie odbywać tu sejmy;
Możecie z szubienic, mądrzy dyplomaci!
Układać uchwały, rozejmy!“
Magnateria — jest to stara nierządnica,
Od dawna straciła powaby,
Choć różem pokrywa szpetność swego lica,
Nie nęcą już wdzięki tej baby.

A lud jest to wiejska dziewczyna urodna,
Co wdzięcznie każdemu się śmieje,
Jej mowa jest szczera, jej suknia niemodna,
Rumieniec na twarzy jaśnieje.
To dziewczę, gdy kogo pozdrowi uprzejmie,
Miłością napoi i wzruszy,
A kiedy w swe silne uściski obejmie,
Ach, niebo otworzy mu w duszy!

Pieśń powyższa, która z biegiem lat weszła w krew i życie narodu i stała się sztandarowym manifestem polskiego proletariatu, nosi na sobie wyraźny stempel epoki, w której powstała. Jest w niej i pewien prymitywizm obrazowania (co trzeba wybaczyć autorowi urodzonemu w r. 1818), ale i brak momentów bezpośrednio-przeżyciowych (które są tak charakterystyczne dla listopadowych na bębnie pisanych „Pieśni Janusza“), ale za to jest rezonans namiętnych dyskusji politycznych, jakie po upadku powstania toczyły się czy to w krakowskim „Stowarzyszeniu Ludu Polskiego“ czy u warszawskich „Świętokrzyżców“.

Ciekawe są też losy tej piosenki. „Dźwięki minionych lat“, pod których banderą ujrzała ona światło dzienne, zostały przez anonimowych wydawców oddane na skład do księgarni Żupańskiego w Poznaniu i tam przysypane pyłem zapomnienia przeleżały lat przeszło trzydzieści. A tymczasem autor po odbyciu cierniowej drogi poprzez Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck, Wielki Zawód Nerczyński, Kliszkiński Rudnik, Tagilsk wrócił w r. 1858 do Warszawy, gdzie w gorącej epoce przed powstaniem styczniowym kontynuował podziemną działalność (taki jest już los niezłomnych rewolucjonistów polskich!). Zwolniony z nadzoru policyjnego (groziło mu znowu zesłanie) jako literat i publicysta piastował rozmaite funkcje społeczne w Warszawie, a od r. 1870 osiadł w Krakowie. Ale jego rewolucyjna piosenka urodzona w szale mło-

dzieńczej egzaltacji nie chciała się dać zamagazynować ani gdzieś zadomowić, ustatkować, sfilistrzeć; krążyła nadal w licznych odpisach stając się w obliczu dokonywających się przemian społecznych odzewem buntu i manifestem przyszłości.

Nadszedł rok 1880 i — jak opowiada na łamach ,,Kuriera Porannego“ (z 13 grudnia 1923 r.) syn Gustawa znany dziennikarz i publicysta Kazimierz Ehrenberg — krakowska filia firmy Żupańskiego w Poznaniu cały swój remanent sprzed laty trzydziestu obejmujący właśnie ,,Dźwięki minionych lat“ wydobyła z ukrycia i puściła do handlu księgarskiego. Ale piosenka nasza ,,Gdy naród na pole“ nie potrzebowała oparcia o tekst, bo i bez niego była na ustach wszystkich bojowców społecznych. I zaszedł tak fakt — ciągle idziemy za tokiem wspomnień Kazimierza Ehrenberga — że właśnie w r. 1880, kiedy Żupański rozpoczynał propagandę ,,Dźwięków“, odbyły się w Krakowie pierwsze manifestacje robotnicze. Manifestanci według doniesienia ,,Czasu“ (zresztą — dodaje autor — niezgodnego z prawdą) pieśnią ,,Gdy naród“ mieli jakoby przygłuszyć pieśń ,,Jeszcze Polska nie zginęła“. Wiadomość o tym wstrząsnęła do głębi starym Sybirakiem, który nie mógł przeboleć, aby jego młodzieńczy farysowy wiersz był przeciwstawiany naszemu hymnowi narodowemu.

I wówczas to — jak opowiada tym razem prof. Stanisław Estreicher (w Roczniku Krakowskim t. XXVIII i w osobnej odbitce ,,Droga na Sybir Gustawa Ehrenberga“) — sędziwy poeta, który w ogóle był niezadowolony z ukazania się tomiku w czasie jego pobytu na Sybirze, zażądał kategorycznie od księgarza, ażeby z jego książeczki — a było jeszcze sporo jej egzemplarzy —powycinał pięć ostatnich kart i żądanie to energicznie wyegzekwował. W ten sposób do rarytasów bibliofilskich należy całkowity nieskastrowany egzemplarz ,,Dźwięków“, ale właśnie posiada go Biblioteka Jagiellońska.

Tymczasem autor strudzony bujnym a nieprzeciętnym życiem — a tworzył do późnej starości — ułożył się w dniu 28 września 1895 r. do snu wiecznego i szerszy nekrolog (a także i osobną odbitkę) poświęcił mu redaktor ,,Czasu“ Antoni Beaupré, ale młodzieńcza rewolucyjna piosenka Gu-

sława Ehrenberga nie poszła z nim razem do grobu. Wydawana w rozmaitych antologiach i śpiewnikach, po największej części bezimiennie, z tekstami dowolnie zmienianymi, redukowanymi lub rozszerzanymi, przekazywana z ust do ust, dzięki łatwo przystępnej muzyce śpiewana powszechnie przy każdej nadarzonej sposobności jako wyraz protestu społecznego roboczej masy zbiorowej — piosenka ta miała swoje własne drogi niezależne od swego twórcy.

Jeszcze w r. 1923 „Kurier Warszawski" (z 11 grudnia) w artykule „Na marginesie znanej pieśni" stwierdzał ironicznie, że w izbie poselskiej lewica lubująca się „w muzykalnych obstrukcjach" urządza od czasu do czasu koncerty bezpłatne, na których chórem odśpiewuje pieśń zaczynającą się od słów: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem" z przyśpiewem „O cześć wam, panowie magnaci!" W dalszym ciągu tego artykułu zabiera głos sędziwy historyk Marian Dubiecki, chlubnie zapisany w dziejach powstania styczniowego, i wyjaśnia źródłowo prawdziwe tendencje tej pieśni, postawę autora i broni go wymownie przed zarzutem, wypowiedzianym głośno na łamach prasy, że wiersz ten to „praca dla obcych nieprzyjaznych nam potęg".

Ostatnio nazwisko autora i jego żywą, a do dziś niedostatecznie ocenioną działalność przypomniał „Polski Słownik Biograficzny", w którego zeszycie 28 (1947 r. tom VI 3) Zofia Niesiołowska-Rothertowa ustaliła dokumentarnie życiorys Gustawa Ehrenberga. Okazało się, że matką jego była Helena Weronika z Dzierżanowskich Rautenstrauchowa, słynna z piękności i inteligencji, ojcem zaś — cesarz rosyjski Aleksander I. Matka w r. 1818 rozwiodła się z mężem, który był adjutantem ks. Józefa Poniatowskiego i generałem polskim, a z cesarzem pozostawała później długie lata w korespondencji i otrzymywała od niego alimenta na utrzymanie dziecka. Naturalny syn cara — polskim działaczem podziemnym, następnie więźniem i posieleńcem sybirskim, a także i autorem do dziś dnia nie przebrzmiałej pieśni rewolucyjnej — rzecz ta, sądzę, nie powinna posiadać posmaku niezdrowej sensacji. Jest to jeden z wielu paradoksów dziejów i życia polskiego.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

WIOSNA LUDÓW W LITERATURZE CZESKIEJ

Rok 1848 był dla narodu czeskiego rokiem wyraźnego, doniosłego w następstwa przełomu. Wypądki polityczne tego roku dokonały silnego wstrząsu patriotycznego, który sprawił, że burzliwy czas Wiosny Ludów stał się zakończeniem pierwszej, trwającej około lat pięćdziesięciu fazy odrodzenia narodowego. Odrodzenie to w ogniu rewolucyjnych wydarzeń przemieniło się w ruch noszący coraz wyraźniejsze cechy uświadomienia politycznego, któremu pełny wyraz jednak będzie mógł dać naród czeski dopiero po roku 1860. Drugim przełomowym momentem tych wydarzeń, równorzędnym w swym znaczeniu historycznym, stało się zniesienie poddaństwa i pańszczyzny. Potężna fala powrotna trwającego dziesięć lat reakcyjnego ucisku nie mogła już odwrócić biegu przemian, jakie się w narodzie dokonały. Czesi wkroczyli zdecydowanie w nowy okres swej historii, mimo że Wiosna Ludów bezpośrednich zdobyczy politycznych im nie przyniosła.

Podobnie jak w samym odrodzeniu narodowym, tak i w ruchach społeczno-politycznych Wiosny Ludów udział pisarzy czeskich był wybitny i miał charakter przodujący. Dla wielu z nich rok 1848 był tylko dalszym ciągiem dotychczasowej działalności narodowej. Należą do nich przede wszystkim Franciszek Palacký (1798—1876), najwybitniejsza postać czeskiego odrodzenia narodowego, wielkiej miary pisarz, historyk, którego dzieło zjednało mu tytuł „ojca narodu". Rola, jaką odegrał w r. 1848, tytuł ten bardziej jeszcze uzasadniła. Obok niego stanął inny filar odrodzenia, również historyk i pisarz Paweł Szafarzik (1795—1861), który dużą rolę odegrał zwłaszcza w okre-

sie zjazdu słowiańskiego w Pradze. W tym roku z działacza narodowego przekształcił się w przewódcę politycznego Karol Havliczek-Borovský, świetny pisarz polityczny i twórca czeskiego dziennikarstwa. Rewolucyjne skrzydło ruchu czeskiego w r. 1848 reprezentowali Karol Sabina i Józef Wacław Fricz. Czynny udział w wypadkach jako polityk, redaktor i pisarz wziął również właściwy twórca czeskiego teatru narodowego Józef Kajetan Tyl. To byłyby nazwiska najważniejsze, indywidualności pisarskie najwybitniejsze lub najciekawsze, których działalność związała literaturę najściślej z wydarzeniami Wiosny Ludów.

Normalnym biegiem rzeczy pierwszą literacką reakcją na wypadki roku 1848 była literatura polityczna. Dotychczasowe pisma rozrywkowo-popularne przekształciły się szybko na pisma polityczne, wypełniane nie tylko publicystyką, artykułami i manifestami, lecz także i poezją mniej lub więcej okolicznościową, typowo polityczną. Jest to poezja w dużej części bezimienna bądź też pochodząca spod pióra autorów, których nazwiska notuje już dzisiaj tylko skrzętniejszy historyk literatury i których ówczesna sława w perspektywie stu lat musi zejść w cień, jaki rzuca na nią wspaniała postać Havliczka-Borowskiego, działacza i pisarza, dla którego okres Wiosny Ludów stał się czasem najpełniejszego wyżycia się i rozwoju, co pociągnęło za sobą następnie prześladowania i śmierć w trzydziestym piątym roku życia po powrocie z wygnania. Havliczek jest typowym pisarzem politycznym, mistrzem epigramatu i pierwszym czeskim satyrykiem politycznym. Rok 1848 najsilniej odbił się u niego właśnie w licznych epigramatach i fraszkach, których trafność, prostota i dosadność sprawiły, że stały się one w ręku autora niezawodnym instrumentem walki politycznej. Ostrze ich skierowane było przede wszystkim przeciw poczynaniom frankfurckim, polityce niemieckiej i austriackiemu wstecznictwu. Równie dużą popularność zdobył jego „Śpiewnik słowiański", gdzie satyrę polityczną ubrał w formę parafraz i naśladowań popularnych piosenek ludowych.

Niemniej z licznej grupy poetów, którzy podobnie jak Havliczek znaleźli się w głównym nurcie wydarzeń Wiosny Ludów, kilku zasługuje jeszcze na pamięć. Stosunkowo

najmniej czynnym był Jan Erazm Vocel (1802—1871), uczony o rozległych zainteresowaniach i cieszący się dużą sławą poeta, który rozszerzył swą popularność dwoma doskonałymi pod względem formalnym i dla czeskiej formy wiersza wówczas w pewnej mierze nowatorskimi cyklami pt. „Przed marcem roku 1848“ i „Po marcu roku 1848“. Więcej działaczem, rozwichrzonym i romantycznym rewolucjonistą i żołnierzem niż pisarzem był Józef Wacław Fricz (1829—1890). Reprezentuje on społeczno-rewolucyjny kierunek ruchu wolnościowego, jest jednym z przewódców walk stoczonych na ulicach Pragi w Zielone Święta roku 1848 i tym, który uwięził pragnącego pośredniczyć pomiędzy ludem a wojskiem gubernatora Thuna. Pociągnęło to za sobą lata tułaczki, prześladowań i więzienia, w czasie których powstały jego „Pieśni z baszty“. Wiosna Ludów znalazła również odbicie w jego obszernych, obejmujących trzydzieści lat życia pamiętnikach, gdzie jednak mocno przecenił swoją rolę w wypadkach 1848 r. Jego rewolucyjna, pełna patosu, zasilana równocześnie i wpływem Byrona i Bérangera poezja polityczna jest zjawiskiem ważnym dla dziejów wątku literackiego, jaki tworzy rok 1848. Przez swą gwałtowność i agresywność, przez mocne akcenty antyrządowe stanowi przeciwieństwo, a zarazem i dopełnienie poezji politycznej Havliczka reprezentującego postępowe mieszczaństwo czeskie.

Tragiczną drogą poszedł drugi obok Fricza wybitny rewolucjonista tego czasu, syn praskiego proletariatu Karol Sabina (1813—1877). Przed Wiosną Ludów, w czasie jej trwania i po powrocie z ośmioletniego więzienia był duszą skrajnie rewolucyjnych poczynań i organizatorem ruchów robotniczych. Jako poeta i niezbyt fortunny prozaik też wywodził się z bajronizmu. Z jego wierszy związanych bezpośrednio z rokiem 1848 trwałą wartość zachowały „Wieczność“, „Jedenasty marca 1848“ i „Z czasu młodości“ opublikowane już w kwietniu 1848 r. Tragizm Sabiny polega na tym, że po zwolnieniu z więzienia, znalazłszy się znów w samym centrum ruchu polityczno-społecznego i literackiego skupionego wokół grupy „Młode Czechy“, z nędzy poszedł na służbę konfidencką i stał się zdrajcą. Losy jego wzbogaciły wątek literacki Wiosny Ludów. Stały się one bo-

wiem tematem dwóch powieści o tym samym tytule „Zdrajca narodu". Pierwsza z nich, trzytomowa pochodzi spod pióra Edwarda Rüffera i ukazała się jeszcze za życia jej nieszczęsnego bohatera. Jest ona nie tylko mocno niedoskonała artystycznie, ale również zawiera dużo przesady i fałszów polegających głównie na tym, że autor fakt zdrady przenosi jeszcze przed rok 1848. Znacznie doskonalsza i posiadająca trwałą wartość jest powieść Wojciecha Martinka wydana w r. 1936. Zdrada Karola Sabiny odkryta została w r. 1872. Rewolucjonista, który tak pięknie zaczynał życie, umarł w nędzy, otoczony powszechną wzgardą. Po ukazaniu się trylogii Rüffera zapragnął dać na nią odpowiedź powieścią „Menażeria w Czechach", ale śmierć przecięła ten niepotrzebny zamiar.

Ważnym dopełnieniem literackich refleksów Wiosny Ludów u pisarzy, którzy ją czynnie przeżyli, są jej odbicia w ówczesnym dramacie czeskim. Dramat ten tworzyli w tym czasie przede wszystkim dwaj pisarze: wspomniany już Józef Kajetan Tyl (1808—1856) i Wacław Klemens Klicpera (1792—1859). Z nich Tyl z ruchem wolnościowym roku 1848 związany był silniej i bardziej bezpośrednio choćby już tylko przez fakt, że był redaktorem przekształconego w r. 1848 na pismo polityczne „Praskiego Posła" oraz innych pism. Będąc pisarzem o subiektywistyczno-romantycznej postawie zdobył się na oddanie swego talentu całkowicie w służbę narodu. Mimo rozbieżności, jaka dzieliła go od realistycznego myślenia politycznego Havliczka, w okresie Wiosny Ludów poddaje się jego wpływom. Tyl jako pisarz zareagował na Wiosnę Ludów natychmiast, ale uczynił to w sposób pośredni. Patriotyczne i społeczne hasła roku 1848 znalazły wyraz przede wszystkim w jego dramacie historycznym „Jan Hus", w „Krwawych chrzcinach" a po części w „Żiżce z Trocnowa". Są to hasła patriotyczne i słowiańskie, demokratyczne i liberalne, pojawiają się one w tych dramatach wbrew prawdzie historycznej, z którą autor zafascynowany swoimi ideałami poczynał sobie dosyć dowolnie. Najciekawszym jednak dramatem Tyla związanym ideowo z Wiosną Ludów, napisanym w r. 1847 a wystawionym w kwietniu 1849 r. jest „Krwawy sąd czyli Kutnohorscy górnicy". Motyw buntu robotniczego sprawia, że jest to dramat jedyny

w literaturze słowiańskiej tego czasu o tak silnie i wyraźnie zarysowanej problematyce społeczno-rewolucyjnej.

Starszy od Tyla i jego mistrz po części Wacław Klemens Klicpera był pisarzem okresu odrodzeńczego przed Wiosną Ludów, dramaturgiem i powieściopisarzem historycznym powierzchownie naśladującym Waltera Scotta. Jakkolwiek więc przeżył wydarzenia roku 1848 o lat jedenaście, nie uległ ich ideom tak silnie jak jego uczeń. Być może, że jakiś ich refleks znalazł się w wielkim, zniszczonym przez autora dramacie o Janie Husie. Niewątpliwy jest jednak wpływ nowych kierunków i myśli politycznych na farsę „Zły jeleń", napisaną w r. 1849 i należącą do licznych komedii ludowych Klicpery, które stanowią główny jego tytuł do sławy i zachowały swą wartość do dziś, podobnie jak u nas „Krakowiacy i górale" Bogusławskiego.

Biorąc pod uwagę pisarzy wybitniejszych i bardziej charakterystycznych, na utworach Havliczka, Vocela, Fricza, Sabiny, Tyla i Klicpery zamknąć należy pierwszy etap rozwoju motywu Wiosny Ludów w literaturze czeskiej. Etap ten tworzą pisarze, którzy wydarzenia roku 1848 przeżyli bezpośrednio, najczęściej związani z nimi jako działacze lub nawet (jak Fricz) jako uczestnicy starć zbrojnych.

Obraz piśmiennictwa tego czasu nie byłby jednak pełny, gdybyśmy pominęli to, co wyszło w tym właśnie roku spod pióra takich ludzi jak Palacký i Szafarzik, o których działalności politycznej była już mowa. To właśnie rok 1848 mimo pewnych błędów politycznych zadecydował ostatecznie o wielkości Palackiego, o tym, że po Janie Husie, Janie Amosie Komenskim a przed Tomaszem Masarykiem jest on uważany za jeden z wiecznych filarów kultury narodowej Czechów. W dniu 18 marca 1848 roku Palacký pisze przedmowę do swego pomnikowego dzieła „Dzieje narodu czeskiego w Czechach i na Morawach", które pisane pierwotnie po niemiecku, wydawane jako „Geschichte von Böhmem", tłumaczone na czeski przez Erbena, teraz wychodzą po raz pierwszy w formie czeskiej nadanej mu przez autora i znacznie rozszerzone, zawierając całą tak doniosłą dla rozwoju czeskiej myśli filozoficznej historiozofię Palackiego. Szalda nazwał te dzieje „najpiękniejszą powieścią" o przeszłości czeskiej. Masaryk składał tej księdze hołd głosząc się uczniem Palackiego.

Z niej czerpali natchnienie poeci. Nią karmił się naród przez stulecie.

Jeśli chodzi natomiast o Szafarzika, towarzyszącego wszystkim ważniejszym poczynaniom Palackiego, to na pamięć zasługuje prócz wielkiego memoriału o równouprawnieniu języka czeskiego w szkołach wspaniała jego mowa na sejmie słowiańskim, będąca głośnym wołaniem o przeciwstawienie się Niemcom, tym „wrogom dusz naszych", jak powiedział Szafarzik, mowa stanowiąca manifest walczącego o swe prawa Słowiaństwa.

Z całego tego przeglądu widać najwyraźniej, że literatura czeska w dobie Wiosny Ludów stała się funkcją życia politycznego, że związała się z porywem narodu jak najściślej, była mu bronią i narzędziem walki. Słowem była dopełnieniem dziejącej się wówczas historii, jednym z jej dokumentów, który nie tylko utrwalił fakty, lecz także ukazywał ich piękno.

Dziesięciolecie kierowanego przez Bacha policyjnego ucisku, w którego systemie cenzura grała rolę niepoślednią, zahamowało rozwój tego wątku, choć i w tym czasie literatura czeska zdołała niejedną myśl polityczną przemycić, w czym mistrzem okazał się przeżywający jeszcze kilka najcięższych lat swego życia Havliczek.

Z chwilą przywrócenia zawieszonych od r. 1849 praw konstytucyjnych w r. 1860 motyw Wiosny Ludów odżywa w dziełach pisarzy czeskich niemal natychmiast. Podejmuje go pokolenie literackie, dla którego Wiosna Ludów była przeżyciem wczesnej młodości, tak jak dla Mickiewicza rok 1812.

Literatura czeska przechodzi teraz okres zapoczątkowanego przez Havliczka realizmu, zwraca się zdecydowanie przeciw wybujałościom romantyzmu, zdradza tendencje kosmopolityczne, które słabną w miarę jak po r. 1870 zagadnienia polityczne narodu nabierają ostrości. Żywe wspomnienie roku Wiosny Ludów oraz związki, jakie połączyły tę generację pisarzy z powracającymi z więzień radykalnymi uczestnikami ruchów roku 1848 sprawiły, że to pokolenie realistów i kosmopolitów stworzyło Wiośnie Ludów piękny pomnik literacki. Przewódca i największa indywidualność poetycka tej grupy, Jan Neruda (1834—1891), który prze-

żył wypadki praskie jako czternastoletni chłopiec, uczynił to „Romancą o roku 1848" i nowelą „Harfiarz Józef". Ponadto do spraw Wiosny Ludów powracał niejednokrotnie w swych mistrzowskich, pierwszych w literaturze czeskiej felietonach. Znacznie rozleglej odtworzony został rok 1848 w dziełach czołowej prozatorki tego okresu Karoliny Světlej (1830—1899), dla której przeżyta w osiemnastym roku życia w Pradze Wiosna Ludów stanowiła moment decydujący o jej pełnym uświadomieniu narodowym. Z rokiem 1848 związana jest najobszerniejsza powieść pierwszego okresu jej twórczości i jedno z najlepszych jej dzieł „Pierwsza Czeszka". Wydarzenia tego czasu stanowią również bogate tło pięciu nowel wydanych w tomie „Odgłosy roku 1848". Jej o trzy lata młodsza siostra Zofia Podlipska (1833—1897) dała obraz Pragi z okresu Wiosny Ludów w autobiograficznej powieści „Peregrinus", która stanowi bardzo poważną pozycję w jej prozatorskim dorobku. Sumienny historyk, który jako powieściopisarz historyczny mocno jednak nadrabiał fantazją, Józef Svátek (1835—1897), zakończył swój cykl powieści odtwarzających dzieje narodu czeskiego od XVI wieku wielką powieścią „Praskie tajemnice", mającą za temat wypadki pierwszej połowy r. 1848. Jedną z głównych postaci tej powieści, nie zawsze jednak historycznie potraktowaną jest rosyjski rewolucjonista Michał Bakunin. Do tego samego pokolenia pisarzy należy jeszcze wspomniany już z okazji Karola Sabiny, mało ważny, dziennikarskiego pokroju powieściopisarz Edward Rüffer, który prócz „Zdrajcy narodu" na tle Wiosny Ludów usnuł powieść „Z zapisków nieboszczyka".

Ci pisarze i te dzieła zamykają pierwsze dwa etapy dziejów motywu Wiosny Ludów w literaturze czeskiej. Dla pierwszej grupy autorów literatura była jeszcze formą działalności politycznej, środkiem bezpośredniego oddziaływania na społeczeństwo. Dla drugich, związanych jeszcze z rokiem 1848 osobistym młodzieńczym przeżyciem, poza kontynuacją i rozwijaniem ideałów Wiosny Ludów, temat ten stawał się już podnietą artystyczną, domagał się innego, pełniejszego kształtu literackiego.

Około r. 1870 zdobywa w literaturze czeskiej (zwłaszcza w prozie) pewną pozycję młodsza grupa pisarzy związana ze

szkołą realistyczną Nerudy. Dzieje się to niezależnie od faktu zorganizowania się nowej grupy literackiej i pojawienia się nowego kierunku narodowo-patriotycznego, którego czołową postacią stanie się Svatopluk Czech, i niezależnie od wystąpienia Jarosława Vrchlickiego jako przewódcy kosmopolityzmu poetyckiego, walczącego ze szkołą tradycjonalistyczno-narodową, wskrzeszającą tradycje pierwszego okresu odrodzenia.

Owa grupa młodych realistów z rokiem 1848 związana była tylko okresem wczesnego dzieciństwa. W kształtowaniu się ich stosunku do Wiosny Ludów znacznie mniejszą już rolę grały osobiste przeżycia i wspomnienia, główny wpływ natomiast miała tu żywa tradycja wypadków rewolucyjnych trwająca w ich najbliższym środowisku.

Z tego młodszego pokolenia pisarzy najsilniej uczuciowo związany z rokiem 1848 był oryginalny i płodny prozaik Jakub Arbes (1840—1914). W jego obfitej twórczości nacechowanej romantycznym upodobaniem do niezwykłych sytuacji i postaci, chętnie sięgającej po tematykę ze środowisk robotniczych, utrzymanej w duchu tendencji radykalnych i walki z konserwatyzmem, Wiosna Ludów niejednokrotnie pojawia się jako wątek podejmowany szczególnie skwapliwie i otoczony specjalnym sentymentem autora. Po raz pierwszy opracował ten temat w formie felietonów historycznych w zbiorze „Epizody z roku 1848". Z czasem wytworzył sobie własny typ noweli, którą nazwał „romanettem" i przy jego zastosowaniu dał interesujący obraz wielu burzliwych wydarzeń z okresu Wiosny Ludów. Tu należą „romanetta": „Ostatnie dni ludzkości", „Siwooki demon", „Mesjasz", „Ukrzyżowana", „Barykadnicy". Areną opisywanych tu wydarzeń jest Praga, manifestująca, bombardowana przez Windischgrätza, walcząca na barykadach mostu Karola przy blasku płomieni palących się na Starym Mieście młynów. Arbes z wydarzeń roku 1848 wybierał momenty najbardziej dramatyczne, najbardziej rewolucyjne i bohaterskie.

Drugi w tym czasie obok Arbesa bojownik sprawiedliwości społecznej i postępu, których tradycję przejął po nim Ivan Olbracht, jeden z najwybitniejszych współczesnych prozaików czeskich — to Antal Staszek (1843—1931), w któ-

rego twórczości pierwszy okres obfituje w poetyckie i powieściowe opracowania motywów z roku 1848. Pierwszy jego poemat epicki z czasu, gdy jeszcze interesował się wyłącznie poezją, niedokończony ,,Wacław" ma za temat losy człowieka ściganego za działalność polityczną w okresie Wiosny Ludów. Przeszedłszy do prozy, motyw ten wprowadził do pierwszych dwóch swoich książek ,,Szewc Matousz" i ,,Niedokończony obraz", po których w twórczości jego następuje blisko dwudziestoletnia przerwa. Dla nas cennym szczegółem jest, że Antal Staszek, epik wsi karkonoskiej, to zarazem wielki polonofil wychowany na polskiej poezji romantycznej i tłumacz Słowackiego na język czeski.

Z tej generacji pisarzy tematykę Wiosny Ludów podejmują jeszcze pomniejsi, z których na uwagę zasługuje Otokar Czervinka ze względu na poemat ,,Alesz Romanow" i pierwszy tom trylogii prozą ,,Z pamiętników ojców" zatytułowany ,,Rok 1848 — powieść i rzeczywistość".

Ostatnie ćwierćwiecze XIX stulecia przynosi obok wspaniałego rozkwitu poezji potężny prąd prozy powieściowej utrzymanej w duchu realizmu nacechowanego silnymi tendencjami społecznymi, stanowiącej fundament dalszego rozwoju prozy czeskiej. Szczególnie bogato reprezentowana jest w tym czasie zrywająca z tradycjami romantycznymi powieść historyczna oraz realistyczna powieść chłopska.

Dla pisarzy tych lat rok 1848 stawał się już historią, cząstką dziejów narodowych widzianą z perspektywy czasu i nowych wydarzeń. Była to jednak historia jeszcze zbyt świeża dla powieściopisarzy obejmujących swoimi zainteresowaniami wieki. Nie przyciągnęła ona więc uwagi świetnego pisarza, specjalisty od wieków XVI i XVII Zygmunta Wintera, a w twórczości posługującego się jeszcze romantyczną techniką powieściową Wacława Benesza Trebizskiego, opracowującego tematy z różnych epok przeszłości narodowej, ślad jej znalazł się tylko w ,,opowieści z czasów najnowszych" zatytułowanej ,,Biała róża". Mimo to motyw Wiosny Ludów znalazł poczesne, bynajmniej nie poślednie miejsce w obfitej twórczości największego dotychczas powieściopisarza historycznego w literaturze czeskiej Alojzego Jiráska (1851—1930). Motyw ten ominął wprawdzie jego wielkie, przeważnie w kilkutomowe cykle ujęte

powieści dające obraz czeskich dziejów od ruchów husyckich do czasów odrodzenia narodowego, utrwalił się natomiast w kilku nowelach. Z nich niezwykłą popularność zdobyła sielanka studencka „Historia filozoficzna". Przebieg Wiosny Ludów w małym miasteczku i jej epilog odtworzył Jirásek w noweli „Gwardzista", inny znów jej fragment, wzięty ze środowiska ziemiańskiego, w „Huzarach". Dużą, choć drugoplanową rolę gra ten motyw również w opowiadaniu „Piotr Kminek". Te cztery pozycje sprawiają, że twórczość Alojzego Jiráska jest ważnym ogniwem w rozwoju tradycji literackiej Wiosny Ludów.

W literaturze czeskiej do r. 1918 tradycja ta nie zanika, ale nieco słabnie. Po Jirásku rok 1848 staje się rzadziej samodzielnym tematem literackim, częściej natomiast wplata się jako wątek epizodyczny w większe powieści. Tłumaczy się to tym chyba, że pisarzy o nastawieniu społecznym pociągała nowsza problematyka socjalna środowisk miejskich, a pisarze zajmujący się tematyką z życia wsi podejmowali się dzieł o rozmachu epopeicznym, kreślących dzieje wsi czeskiej w przekroju kilku pokoleń. Do tego typu chłopskich powieści cyklicznych, gdzie rok 1848 stanowi jedno z ogniw lub tło jednego z fragmentów szeroko zakrojonej akcji, należą dzieła takich pisarzy jak Jan Herben, Franciszek Ksawery Svoboda, Jędrzej Szymon Baar. U Herbena (1857—1936), jednego z przewódców kierunku realistycznego, bliskiego i długoletniego współpracownika Masaryka, w takim ujęciu pojawia się Wiosna Ludów w cyklu „Do trzeciego i czwartego pokolenia" (zamkniętym w r. 1921), gdzie autor daje surowy, realistyczny obraz wsi czeskiej od czasów Marii Teresy do lat siedemdziesiątych w. XIX.

Fr. Ks. Svoboda (1860—1943) w podobny sposób splótł wydarzenia roku 1848 w najlepszą swoją powieść „Kwitnienie", będącą dziejami samego autora i zaliczaną już do czeskiego naturalizmu. Poważniejszą rolę odgrywa Wiosna Ludów w niedokończonym cyklu powieściowym postępowego, społecznie nastawionego pisarza katolickiego Jędrzeja Sz. Baara (1869—1925), u którego weszła do dwóch ogniw zamierzonej epopei chłopskiej, do tomów „Ludzie z r. 1848" i „Lasy". Powieści te zdobyły autorowi zasłużoną popularność i stanowią jedne z najlepszych pozycji

w jego ciekawej twórczości. Do ważniejszych opracowań motywu należy również jedna z licznych powieści oryginalnej pisarki Teresy Novakowej (1853—1912) „Na Librowym polu", gdzie osobiste losy chłopa z wyżyny czesko-morawskiej splatają się ściśle z wypadkami roku 1848.

Herben i Baar przenoszą tradycję literacką Wiosny Ludów poza rok 1918, w lata międzywojennej niepodległości Czechosłowacji. Cykl Herbena w całości ukazał się dopiero w r. 1921, wymienione powyżej powieści Baara wyszły w latach 1924 i 1925. Ale i bez tego motyw ten staje się w wolnej literaturze czeskiej coraz częstszy, nabiera nowych barw i pogłębia się. Rozwojowi jego sprzyja jeszcze rozkwit badań historycznych w zakresie tego tematu, co znacznie wzbogaca i rozszerza materiał. Prócz prac historyków ukazują się również i prace pisarzy, którzy łączą relację historyczną z literacką formą. Doskonały powieściopisarz Karol Józef Benesz ma w swoim dorobku dobrze zestawiony zbiór materiałów: „Rok 1848 w wypowiedziach współczesnych", nie podjął jednak tego tematu w swojej twórczości powieściowej. Rokiem 1848-ym interesował się szczególnie blisko Edward Bass (1888—1946), świetny dziennikarz i publicysta, humorysta i satyryk, który zdobył literacką sławę książką „Cyrk Humberto". W powieści tej jeden z piękniejszych rozdziałów poświęcony jest wypadkom praskim Wiosny Ludów. Tu większe jednak znaczenie ma inna jego książka, już nie beletrystyczna „Słowo o roku 1848" (1940). Bass, świetny narrator, dał tu barwny opis wydarzeń poprzedzających ruch rewolucyjny Wiosny Ludów. Dzieła tego nie dokończył, niemniej już ta pierwsza część zamierzonego cyklu jest trwałym i cennym wkładem do literatury o roku 1848. Bass daje tu nowe i bystre spojrzenie nie tylko na wybitniejsze postacie tego czasu, lecz wydobywa również z zapomnienia wielu mniej znanych uczestników rewolucyjnych wydarzeń.

W okresie tym temat Wiosny Ludów podejmuje spora liczba pisarzy przeważnie jednak drugoplanowych. Na podkreślenie zasługuje jednak fakt, że niektórzy z nich przystępują do opracowania tematu na podstawie źródłowych studiów i dzięki temu niejednokrotnie operują świeżym, nieznanym i ciekawym materiałem.

I tu jeszcze spotykamy się ze stwierdzonym już poprzednio epizodycznym potraktowaniem omawianego motywu. Obraz Wiosny Ludów w Czechach pojawia się jako duży fragment większej epopeicznej całości przede wszystkim u Wacława Rzezniczka, który w ośmiotomowym cyklu powieściowym obejmującym czasy od końca w. XVIII do lat sześćdziesiątych w. XIX tom szósty, zatytułowany „Zawierucha" poświęcił Wiośnie Ludów, przy czym terenem akcji jest tutaj, jak zresztą i we wszystkich częściach cyklu, Praga. W podobny sposób rok 1848 w zachodnich Czechach uczynił tematem środkowej części owej trylogii powieściowej pisarz regionalnego znaczenia Aleksander Berndorf. Trylogia ta pt. „Przedświt i brzask odrodzenia" zdobyła mu szerszą popularność i stanowi stosunkowo najcenniejszą cząstkę jego działalności pisarskiej. Podobnie jak Berndorf wokół historycznych postaci roku 1848 osnuła swą powieść „Przedświt wolności" Libusza Baudyszová rozbudowując w niej szeroko wątek romansowy. Z innych pomniejszych opracowań motywu trzy jeszcze zasługują na uwagę: ze względu na wykorzystanie mało znanych źródeł obszerna książka Jędrzeja Wacława Hradczanskiego „W burzy i spokoju", przez zainteresowanie się nie losem jednostki, lecz gromady wiejskiej powieść Jana Knoba „Z płomieni wyrasta..." oraz mniej doskonała, lecz interesująca dzięki umieszczeniu akcji na Morawach i w Brnie, obfitująca w szczegóły i kreśląca dzieje Wiosny Ludów aż po jej smutny epilog powieść bardzo płodnego pisarza Józefa Franciszka Karasa „Tonąca gwiazda morska".

Wartościowe elementy wnosi w dzieje wątku Wiosny Ludów twórczość najwybitniejszego dotychczas prozaika czeskiego Śląska Wojciecha Martinka. Przynosi je głównie wspomniana już powieść o Karolu Sabinie pt. „Zdrajca narodu", gdzie autor operując doskonałą znajomością materiału historycznego stara się psychologicznie pogłębić i wyjaśnić tragedię praskiego rewolucjonisty. Drugi godny uwagi u Martinka moment to uchwycenie charakterystycznego odbicia ruchów Wiosny Ludów w małym śląskim miasteczku, zamieszkałym przez tkaczy, w pierwszych rozdziałach powieści „Warsztaty turkocą".

Lata 1938—1945 są w literaturze czeskiej okresem przy-

musowego milczenia o zapalnych sprawach Wiosny Ludów. Milczenie to próbował wprawdzie przerwać Bass „Słowem o roku 1848“, ale przyniosło mu to zakaz publikowania, którym dotkniętych zostało w czasie ostatniej wojny sporo pisarzy czeskich. Jaromir Wacław Szmejkal, który podjął pracę nad trylogią powieściową o wybitnym malarzu czeskim XIX w. Józefie Manesie poszedł w ślady Bassa dając w pierwszym i jedynym jej tomie „Kawiarnia przy dworcu“ rozległy i barwny obraz społeczeństwa czeskiego około roku 1848 i wysuwając na jedno z czołowych miejsc powieści postać Karola Havliczka. W tym samym jednak 1941 roku, w którym ukazała się ta powieść, autor jej zginął w Mauthausen.

Przedjubileuszowy rok 1947 przyniósł dwie jeszcze cenniejsze pozycje literackie. Są nimi: „Przeciwny prąd“ bardzo popularnego i płodnego pisarza Jana Morávka, który z kronikarską dokładnością i sentymentem kreśli wydarzenia Wiosny Ludów w rodzinnych ziemiach nad Sazawą oraz ważniejsza, operująca niezwykle bogatym i świetnie przez autora poznanym materiałem powieść Jędrzeja Spaczila „Niech żyje sejm!“. Spaczil na długo przed wydaniem tej powieści interesował się historią roku 1848 na rodzinnych Morawach, a przede wszystkim w Kromierzyżu i jego okolicach. Pierwszym śladem tych zainteresowań jest rozprawa historyczna „Sejm w Kromierzyżu“, następnie idą drobniejsze prace, jak „Boże Narodzenie w Kromierzyżu w r. 1848“, „Józef Mánes w Kromierzyżu“ i ostatnio „Kromierzyskie lata Franciszka Slamenika“. Z tych studiów wyrosła wymieniona powieść, w której autor skupiwszy uwagę głównie na sejmie obradującym po przeniesieniu z Wiednia w Kromierzyżu daje rozległy obraz wypadków politycznych Wiosny Ludów włączając weń rozruchy studenckie w Kromierzyżu, walki w Pradze, zjazd słowiański, interwencję zbrojną Windischgrätza, spory i walki o sejm frankfurcki. W powieści tej występuje liczna galeria historycznych postaci roku 1848 z Palackim, Tylem, Riegerem, Mánesem itd. W akcję wplecione są dwa utrzymane w duchu epoki i nieco konwencjonalne wątki miłosne. Powieść Spaczila należy do najlepszych książek o Wiośnie Ludów w literaturze czeskiej po r. 1918.

Z przeglądu tego widzimy, że rok 1848 ma jako motyw literacki w ciągu stu lat, które od jego wydarzeń upłynęły,

wcale bogate dzieje, dla których odpowiednikiem w naszej literaturze mogłyby być tylko powstania r. 1830 i 1863. Rzeczą charakterystyczną jest, że temat ten pociągnął przede wszystkim prozaików. Poezja porzuca Wiosnę Ludów właściwie na „Balladach i romancach" Nerudy (1883). Dramat nie podejmuje doskonale zapoczątkowanej przez Tyla tradycji i poprzestaje na dwóch mało ważnych sztukach: wierszowanym dramacie Lothara Suchego „Przedświt wolności" i komedii Ferdynanda Strejczka „Wiosenne awantury w r. 1848". I właśnie w tym samym czasie, gdy poezja odwraca się od Wiosny Ludów, Karolina Světla daje trwały początek pięknemu rozwojowi tego wątku w prozie powieściowej.

Nie ulega wątpliwości, że pisarze czescy niejednokrotnie jeszcze powracać będą do tego tematu, że literatura czeska otrzyma jeszcze wielką epopeję roku 1848-go. Kto wie, czy autorem jej nie stałby się, gdyby nie śmierć, Edward Bass, równie świetny znawca epoki jak pisarz.

Polski dorobek literacki związany z Wiosną Ludów jest ubogi, tym bardziej zatem pożądane jest, byśmy postarali się przyswoić językowi polskiemu najcelniejsze z tych dzieł czeskich, które dają artystyczny obraz tych wielkich dni sprzed wieku.

HELENA SŁONIEWSKA

FILOZOFIA I POGLĄD NA SWIAT SLADAMI MYSLI KAZIMIERZA TWARDOWSKIEGO

W 10-TĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI, 11 LUTEGO 1938

Na przełomie wieku XIX i XX rozpoczyna prof. Twardowski swą działalność filozoficzną w Polsce. Staje wobec coraz silniejszego chwiania się systemów idealistycznych i wobec szerzenia się nowych wielkich europejskich systemów filozoficznych Spencera, Nietzschego, Bergsona. Między systemami tymi nie widać związku, każdy zmierza do oryginalności, tworzy własną terminologię, żaden nie posiada wystarczającej do przyjęcia go siły przekonywającej. W Polsce na niwie filozoficznej pusto i głucho: przebrzmiewają już filozoficzne systemy mesjanistyczne, pełne gorącości uczuć, ale pozbawione jasności myśli, odzywa się jeszcze tu i ówdzie echo filozofii Kanta, Hegla, nad wszystkim góruje jednak pozytywizm. Ale ten występuje silniej jako kierunek literacki i koncepcja życia praktycznego, niż jako pogląd filozoficzny. W dziedzinie badań filozoficznych w Polsce pracowników znajduje prof. Twardowski wówczas bardzo niewielu. Sam wyszedł ze szkoły żelaznej dyscypliny naukowej swego profesora Brentany. Potrzeba logicznej ścisłości i metodyczności w pracy naukowej stała się jego drugą naturą. Nie mógł więc i nie chciał nawiązać swej pracy filozoficznej ani do owych wielkich europejskich systemów filozoficznych, ani do filozofii uprawianej w Polsce. Na pytanie czym jest filozofia, odpowiada stojąc mocno na gruncie faktów, licząc się z rzeczywistością, co jest dla prof. Twardowskiego tak bardzo charakterystyczne. Nie zajmuje się zagadnieniem, czym filozofia być powinna, ale określa ją zgodnie z historycznym stanem rzeczy, odpowiadając na py-

tanie, czym filozofia była i jest. Chcąc dać takie historyczne pojęcie filozofii, pragnie — jak sam mówi — by zakres tego pojęcia „obejmował wszystko, co w dziejach umysłowości ludzkiej zdobyło sobie prawo obywatelstwa pod nazwą filozofii". Zgodnie z powyższymi postulatami przeciwstawia się rozpowszechnionemu wówczas twierdzeniu, jakoby filozofia była jedną tylko umiejętnością. „Wyraz filozofia oznacza — według niego — grupę nauk, podobnie jak wyraz teologia lub przyrodoznawstwo. Jak mówimy o naukach teologicznych lub przyrodniczych, tak mówimy też o naukach filozoficznych". Do tej grupy nauk filozoficznych należy psychologia, logika, teoria poznania, etyka, estetyka, filozofia religii, filozofia poszczególnych nauk, a wreszcie metafizyka. Podstawowymi naukami ze względu na inne nauki filozoficzne są logika i psychologia, słusznie zaliczone do propedeutyki filozoficznej, reprezentują one bowiem dwa różne typy metod badania naukowego: empiryczny i aprioryczny.

Zajęcie takiego stanowiska w sprawie filozofii wymagało wówczas sporo odwagi głoszenia własnych przekonań, znowu rysu znamiennego dla prof. Twardowskiego, bo 1) było sprzeczne z ogólnymi poglądami na to, czym jest filozofia i jakie są jej zadania, a 2) wymagało wykazania, że można filozofię uprawiać nie jako jedną ogólną naukę, ale jako zespół poszczególnych wymienionych powyżej nauk. To ostatnie zadanie było niełatwe, ale jemu właśnie poświęca prof. Twardowski w znacznej mierze swą filozoficzną działalność.

Jeśli filozofia obejmująca tak duży krąg nauk ma być odpowiedzialnie, naukowo uprawiana, trzeba się do tego odpowiednio przygotować. Przygotowanie to bardzo wielostronne, rzec można uniwersalne. Żąda bowiem prof. Twardowski, by do filozofii przystępowano z pewną praktyczną znajomością metod badania, nabytą w innych naukach, i z pewnym wykształceniem niefilozoficznym. A postulat ten uzasadnia następująco: „Po pierwsze w wielu wypadkach nauki niefilozoficzne dostarczają filozofii materiału do jej badań (np. pewne uogólnienia dokonane przez nauki szczegółowe mogą być rozważane ze stanowiska filozoficznego); po drugie: pewne nauki szczegółowe odgrywają wobec pewnych nauk filozoficznych rolę pomocniczą

(np. fizjologia wobec psychologii); po trzecie: poprawności metodycznej tak bardzo potrzebnej w dociekaniach filozoficznych, nabyć można jedynie drogą oswojenia się z wymogami i zasadami metodycznymi obowiązującymi w naukach szczegółowych...". ,,Jasną jest rzeczą — pisze dalej prof. Twardowski — że owo wykształcenie nie może być oparte na jednej tylko nauce, bądź humanistycznej, bądź przyrodniczej, bądź wreszcie na matematyce, lecz winno uwzględniać wszystkie te trzy dziedziny wiedzy ludzkiej". Zdaje sobie prof. Twardowski sprawę z tego, że ,,spełnienie tego postulatu leży prawie w zakresie ideału..., że naogół można mówić tylko o większym lub mniejszym zbliżaniu się do tego ideału". A zbliżanie się to wygląda praktycznie tak, że zakres i kierunek naukowego przygotowania do filozofii zależy od zakresu i kierunku badań filozoficznych i na odwrót. Mimo to nie rezygnuje on z dążenia do ideału i innych do tego zachęca, świecąc sam przykładem wielostronnego pozafilozoficznego wykształcenia.

Takie przygotowanie to zaledwie pierwszy krok na drodze do naukowego uprawiania filozofii. Stanąwszy już na jej gruncie, trzeba skromnie zacząć od opracowywania poszczególnych zagadnień, a nie całych zawiłych systemów. Przede wszystkim chodzi o jasne i wyraźne sformułowanie tych zagadnień, by uniknąć w ten sposób zagadnień pozornych, które jak gdyby gdzieś znikają, rozpływają się w mgławicy pojęć, gdy się je chce porządnie sformułować. Potem trzeba wniknąć w samo zagadnienie, przypatrzyć mu się ze wszystkich stron, uwzględniając jego historyczny rozwój. Ale nie rozwiązywać go na gruncie jakichś z góry przyjętych założeń, na gruncie jakiegoś systemu metafizycznego, bo na wynikach rozważań tych poszczególnych zagadnień należy budować wielkie systemy, a nie na odwrót: rozwiązywać te zagadnienia przy pomocy jakichś ogólnych założeń. Rozwiązując już dane zagadnienia, musimy definiować pojęcia, którymi się posługujemy, unikać wieloznaczności, każde twierdzenie cudze krytycznie rozważyć i zależnie od wyniku rozważań przyjąć lub odeprzeć, własne twierdzenie poprawnie, ściśle uzasadnić, żadnego nie wypowiadać na wiatr, stać mocno na gruncie doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego, a wreszcie ściśle, adekwatnie wyrażać swe

myśli, po prostu mówić i pisać jasno. W artykule „O jasnym i niejasnym stylu filozoficznym" zwalcza prof. Twardowski szeroko rozpowszechnione mniemanie, że niejasność stylu filozoficznego „w pewnych przynajmniej razach, jest czymś nieuchronnie związanym z istotą pewnych zagadnień", że „pozostaje w prostym stosunku do głębokości dzieł filozoficznych". Trudno było by wykazać, argumentuje prof. Twardowski, że każdy z autorów zajmujący się przedmiotami trudnymi i zawiłymi wyraża się niejasno, łatwo natomiast wykazać, że są autorzy, którzy o takich przedmiotach piszą i mówią jasno. Stąd można przypuszczać, że niejasność stylu jest raczej związana z mętnością i niejasnością sposobu myślenia, niż z samym przedmiotem. A dalej: mowa ludzka jest nie t y l k o zewnętrznym w y r a z e m myśli, ale także n a r z ę d z i e m umożliwiającym nam myślenie; myśląc, myślimy w słowach, a więc w mowie. Kto więc jasno myśli, ten i jasno pisze. Oto dlaczego ważną i obowiązującą jest jasność stylu filozoficznego.

Zgodnie z tym, czego w filozofii i o filozofii uczy, postępuje też prof. Twardowski, torując własnym przykładem nowe drogi naukom filozoficznym w Polsce. Logikę uwalnia od niepotrzebnych w niej założeń psychologicznych i kieruje ją na właściwe tory nauki formalnej. Pokazuje, jak należy uprawiać psychologię, nie wprowadzając do niej żadnych poglądów metafizycznych, lecz budując ją tylko na podstawie empirycznej, posługując się w jak najszerszej mierze eksperymentem, pozostawiając jednak wiele miejsca t. zw. psychologii opisowej, prowadzącej do analizy i wyjaśniania pojęć psychologicznych na podstawie gruntownej analizy własnych przeżyć. Na gruncie etyki zwalcza sceptycyzm etyczny i broni bezwzględności praw moralnych, wykazując, że pogląd o ich względności ma źródło w nieścisłości ich sformułowań. Przekonywa, że można i należy uprawiać etykę niezależnie od założeń metafizycznych. To samo dotyczy zagadnień z teorii poznania.

Oto w dosłownym brzmieniu charakterystyka filozofii, jaką prof. Twardowski daje w swym przemówieniu zatytułowanym „O dostojeństwie Uniwersytetu", charakterystyka, którą można by zatytułować „O dostojeństwie filozofii": „Czyniąc przedmiotem swych badań samą prawdę,

rozświetlając drogi ku niej wiodące, tworząc teorię naukowego poznania, filozofia staje się sojuszniczką i przewodniczką wszystkich, którzy na jakimkolwiek polu dociekań ludzkich dążą ku prawdzie. Budzi w nas krytycyzm, który chroni nas od ślepego ulegania autorytetom, od wygodnego poprzestawania na miłych nam nawyczkach intelektualnych, a także od zbytniego dufania w nasz ludzki, tak bardzo ograniczony rozum. Każe nam domagać się jasności i ścisłości wszędzie tam, gdzie chodzi o stosowanie naukowej argumentacji, a zwalczać wszelkiego rodzaju męty myślowe, które pragną swoją odurzającą mglistością zastąpić uchwytność szczegółów i przejrzystość całości; uczy nas prześwietlać liczne pojęcia, którymi posługują się, nie wnikając w nie głębiej, nauki szczegółowe i pozwala nam uświadamiać sobie niemniej liczne założenia, którymi kierujemy się w rozważaniach i działaniach życia potocznego, w codziennej jego praktyce. Albowiem także w tej dziedzinie rzeczą znamienną dla filozofa jest to, że nie poprzestaje on na wykonywaniu obranych mniej więcej dobrowolnie czynności, lecz że się nad tym, co czyni, zastanawia, że postępowanie swoje, jego pobudki, metody i cele czyni przedmiotem własnej refleksji".

Zgodnie ze wspomnianym na wstępie historycznym pojęciem filozofii w skład jej wchodzi także metafizyka, której rdzeniem są tzw. metafizyczne czyli filozoficzne poglądy na świat i życie. Starają się one odpowiedzieć na najtrudniejsze zagadnienia dotyczące istoty, początku, celu wszelakiego bytu, przeznaczenia człowieka, nieśmiertelności duszy itd. Roszczą sobie też pretensję do tego, że zawierają ostateczną odpowiedź na te zagadnienia. Metafizyka w znaczeniu poglądu na świat jest — według prof. Twardowskiego — ogniwem przejściowym między nauką, religią, sztuką i działalnością praktyczną i zawiera w sobie czynniki każdego z tych wytworów ducha ludzkiego. Wszystkie systemy i kierunki metafizyczne można scharakteryzować przy pomocy różnego ustosunkowania wchodzących w ich skład czynników religijnych, naukowych, artystycznych i działalności praktycznej. Ale też ze względu na te różne pozanaukowe czynniki i ze względu na to, że w tych filozoficznych poglądach na świat i życie nie są przestrzegane powyżej

omawiane postulaty naukowego uprawiania filozofii, nie można ich nazwać naukowymi poglądami na świat i życie.

Odpowiedzi na zagadnienia, którymi zajmują się owe poglądy na świat, nie można metodami naukowymi uzasadnić, przy pomocy argumentacji logicznej uprawdopodobnić. Nie można „drogą argumentacji naukowej wykazać trafności własnego a mylności cudzego poglądu", chyba, że mylność ta ma źródło w sprzecznościach tkwiących w pewnym poglądzie. A i takich poglądów na świat jest wiele. Wiele też kryje się niejasności i wieloznaczności pojęć w takich poglądach. Weźmy dla przykładu pogląd na życie występujący pod postacią optymizmu i pesymizmu. Omawia go prof. Twardowski w artykule swoim „Pesymizm i optymizm". Tezą pesymizmu — czytamy tam — jest twierdzenie, „że na świecie jest więcej złego, niż dobrego. Więcej cierpień aniżeli szczęścia, więcej przykrości, aniżeli przyjemności. Według optymizmu znów przeciwnie: więcej jest w świecie dobrego, aniżeli złego, więcej szczęścia aniżeli cierpień, więcej przyjemności, aniżeli przykrości. Po czyjej stronie leży słuszność?"

Ażeby spór ten rozstrzygnąć na drodze naukowej, trzeba by móc przeprowadzić dokładną statystykę z jednej strony ilości doznawanych przez wszystkich ludzi cierpień i przykrości, z drugiej zaś strony ilości doznawanych przyjemności. To zaś wymagałoby zliczenia wszystkich chwil przykrych i przyjemnych u każdego człowieka. O tym, jak trudno, a nawet że niepodobna tego zrobić, łatwo przekona się każdy, kto spróbuje przeprowadzić takie obliczenie w swoim własnym dotychczasowym życiu, zwłaszcza jeśli zechce wziąć pod uwagę także pierwsze lata swego dzieciństwa. Trudność staje się jeszcze większa, gdy uwzględnimy to, że w takiej statystyce nie wystarczyło by zestawić ilości przyjemności i przykrości, ale niemniej decydująca była by ich wielkość, a miary w tym kierunku nam brak. O tym więc, czy ktoś jest w życiu wyznawcą pesymizmu czy optymizmu, nie decydują argumenty, uzasadnienie przemawiające za jednym lub za drugim poglądem, ale osobiste skłonności, przeżycia w pewnym okresie życia. Obiektywnej wartości poglądy takie nie mają.

Jakiż jest jednak poza tym stosunek prof. Twardow-

skiego do filozoficznych czyli metafizycznych poglądów na świat i życie? Stwierdzając ze stanowiska krytycyzmu naukowego, że poglądy takie są nie naukowe, że nie są formułowane z naukową ścisłością, nie dopuszczają wystarczającego uzasadnienia, nie mają więc waloru obiektywnego, uważa on sprawę „filozoficznego poglądu na świat i na życie za sprawę niezmiernie doniosłą dla każdego, komu nie wystarcza tradycyjny pogląd religijny, a kto zarazem nie umie patrzeć na świat i kroczyć przez życie bezmyślnie". Zawierają one bowiem dla swych wyznawców drogowskazy, dla ich ustosunkowania się do świata, otoczenia ludzkiego i siebie samych. I każdy ma prawo przyjąć taki pogląd na świat i życie. Musi tylko pamiętać o tym, że pogląd taki jest sprawą osobistą tych, którzy go wyznają, że nie ma charakteru wiedzy w ogóle, a tym mniej wiedzy naukowej. I nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, że wyznawcy danego poglądu na świat, przypisują mu — choć niesłusznie — walor obiektywny, albo też że w i e r z ą w jego bezwzględną prawdziwość, chociaż godzą się na to, że nie mogą jej dowieść.

Trzeźwy empiryzm, krytycyzm i dobra znajomość psychiki ludzkiej nie pozwalają prof. Twardowskiemu szukać źródła przekonań wchodzących w skład poglądu na świat w jakichś pozarozumowych z d o l n o ś c i a c h p o z n a w c z y c h człowieka, a więc np. w platońskim oglądaniu idei, ekstazie Plotyna, w kantowskim rozumie praktycznym, w „oglądzie intelektualnym", w intuicji filozofów współczesnych. Psychologia tłumaczy — jego zdaniem — w zasadzie genezę przekonań wchodzących w skład poglądu na świat. Pewne instynkty intelektualne, wpływy otoczenia, nawyki myślowe, różnorodne upodobania i inne momenty uczuciowe — oto co człowieka skłania do przyjmowania i żywienia takich nie naukowych przekonań, które są wskutek tego irracjonalne, co wcale jeszcze nie znaczy, że są n i e r a c j o n a l n e. I dlatego ze stanowiska krytycyzmu naukowego nie mamy też prawa uważać wszystkich metafizycznych poglądów na świat tylko za czcze wymysły, z którymi nauka nie ma i nie może mieć nic wspólnego. Niektóre z nich mogą mieć i mają też wartość dla nauki, a nie tylko jako osobiste poglądy, drogowskazy i motory ży-

cia poszczególnych jednostek. Stojąc na tym stanowisku, gruntownie zapoznaje prof. Twardowski swych uczniów z wielkimi systemami metafizycznymi klasyków filozofii, a dając inicjatywę do przetłumaczenia na język polski dwu metafizycznych dzieł Fechnera: „Książeczka o życiu pośmiertnym" i „O zagadnieniu duszy" i zaopatrując oba te tłumaczenia obszernym wstępem pragnie pokazać, jak wyglądają próby oparcia wiary w życie pośmiertne na wiedzy, próby budowania systemu metafizycznego od dołu, wznosząc się od faktów i szczegółów do rzeczy coraz ogólniejszych. Poglądy metafizyczne mogą mieć wartość dla nauki, ponieważ przedstawiają się wprawdzie jako nienaukowe, ale liczne wśród nich zarazem jako przednaukowe, w których tkwi może niejedna prawda wymagająca tylko naukowego ujęcia. Tego unaukowienia niektórych poglądów tkwiących w metafizycznych poglądach na świat, dokonywują poszczególne nauki, między nimi także nauki filozoficzne. Fizyka np. unaukowiła demokrytejskie pojęcia atomu i arystotelesowe pojęcie aktu i potencji. Leibnizowska, zrazu metafizyczna, koncepcja nieświadomych faktów psychicznych unaukowiona została przez psychologię. Przez to unaukowienie poglądów metafizycznych poszczególne nauki, a wśród nich w wielkiej mierze nauki filozoficzne współpracują około budowy naukowego poglądu na świat i życie, do którego zmierzają też sami twórcy niektórych poglądów metafizycznych, o ile liczą się z wynikami badań poszczególnych nauk. Ale czy taki naukowy pogląd na świat jest w ogóle możliwy? Oto, jak odpowiada na to pytanie prof. Twardowski: „Pogląd taki nie stanie się nigdy udziałem człowieka, jak nie stanie się nim nigdy zupełne wykończenie jakiejkolwiek nauki". Możemy się do tego ideału, jakim jest naukowy pogląd na świat, tylko stopniowo zbliżać. „Jeżeli każda nauka ciągle się rozwija, jeśli żadna nie może nigdy o sobie powiedzeć, że jest gotowa i żadnej już zmianie nie ulegnie, to tym mniej można żądać od naukowego poglądu na świat, by kiedykolwiek stanął przed nami w postaci wykończonej. Co więcej można zrozumieć, dlaczego w zakresie naukowego poglądu na świat i życie postęp jest tak powolny, tak niezmiernie powolny, że niektórzy nie mogą go wcale dostrzec

i mówią o zastoju". Praca około stworzenia naukowego poglądu na świat i życie trwać będzie dopóty, dopóki trwać będzie naukowa praca człowieka, dlatego „praca ta nie zaspokoi odczuwanej przez człowieka potrzeby posiadania naukowego poglądu na świat i życie, zaspokoić ona natomiast potrafi inną istotną potrzebę umysłu ludzkiego, mianowicie potrzebę szukania prawdy". Tego rzetelnego szukania prawdy w dziedzinach nauk filozoficznych uczył nas słowem i czynem Kazimierz Twardowski.

ZOFIA SZMYDTOWA

ZAGADKA „DON KISZOTA"

„Don Kiszot" zdobył sobie jedno z pierwszych miejsc w literaturze nowożytnej zarówno dzięki wysokiej ocenie znawców jak też wielkiej popularności wśród szerokich kół czytelników. Zdołał on bowiem zaspokoić gust najbardziej wyrafinowany i najmniej wybredny. Powieść Cervantesa ukazywała się i ukazuje w skrótach, w przeróbkach przeznaczonych dla mało wyrobionych odbiorców, głównie zaś dla młodzieży. W zabiegach tych ujawnia się tendencja do upraszczania niezmiernie skomplikowanej całości, do uwydatniania w niej pierwiastków komicznych i satyrycznych. Ta sama dążność wyraża się w sądach krytyków i reakcjach pisarzy, którzy opierając się na morale dzieła dokonują jego przekroju po linii satyry. Przekrój taki pomija z konieczności wiele żywotnych problemów i przedstawień.[1] Wyjaskrawia on subtelnie przez Cervantesa cieniowane kontrasty, pełne dynamicznej zmienności, eliminuje lub ogranicza to, co dwoiste, wieloznaczne czy zagadkowe.[2] W najdalej na tej drodze przeprowadzonym uogólnieniu powieść ukazuje się jako dzieło wyłącznie parenetyczne, w którym cała mnogość przygód bohatera służy jedynie wykazaniu niebezpieczeństwa sugestii literackiej wywołującej ostrą psychozę. Gdyby ktoś znał książkę od zewnątrz, zadziwiłby się, że tak obszerna powieść ma na celu jedynie uzasadnie-

---

[1] Maurice Bardon, Don Quichotte en France au XVIIe et au XVIIIe siècle. Librairie Ancienne. Honoré Champion. Paris 1931.

[2] Wykazaniem złożonej psychiki bohaterów i ich głębokiego powinowactwa pomimo oczywistych różnic zajął się w swej pięknej książce Salvador de Madariaga, Don Quixote. An Introductory Essay in Psychology. Oxford. At the Clarendon Press. 1935.

nie tezy o chorobie umysłowej bohatera, którą wywołały fantastyczne romanse rycerskie i zdyskredytowanie w ten sposób tego gatunku literackiego.

Cały wysiłek autora sprowadzałby się przy takiej interpretacji do wyprowadzania tego samego morału z każdej po kolei przygody Don Kiszota, do sumowania objawów jego szaleństwa, aż do momentu, w którym bohater sam siebie potępi.

Ujęcie dzieła od strony satyryczno-dydaktycznej nie tylko nie daje obrazu całości, ale wywołuje nadto pytanie, czemu tak rozumiana powieść nie jest ani monotonna ani nudna, a co więcej nie jest niesmaczną bufonadą na temat obłędu? Czemu przykuwa uwagę, wciąga w swój świat, gdy ma być negacją, przestrogą, szyderstwem?

Niepokojące, wieloznaczne dzieło genialnego pisarza łączy wzniosłość z karykaturą. Choroba psychiczna bohatera bije w oczy, podkreślana nieustannie przez narratora i widziana jasno przez całe otoczenie, a równocześnie choroba ta staje się bodźcem pobudzającym aktywność. Dzięki niej, czy przy jej udziale wyzwalają się w Don Kiszocie porywy heroiczne.

Autor daje swemu bohaterowi szerokie, fantastycznie szerokie pole wpływu, jeśli zważyć, że naraził się on nieraz na zamknięcie w więzieniu czy w szpitalu dla obłąkanych. Cervantes chroni go przed konsekwencjami czynów zagrażających porządkowi społecznemu zachowując dla coraz nowych działań. Skazuje go wprawdzie na dotkliwe klęski, ale pozwala także osiągać niespodziewane zwycięstwa.

Don Kiszot absorbuje wszystkich: zarówno tych, którzy w nim widzą dziwne zespolenie wielkich przymiotów z jawnym szaleństwem, jak i tych, którzy się jego kosztem bawią. Z jakim aparatem przygotowań para książęca inscenizuje fikcyjne zdarzenia po linii jego manii. Z jakim nakładem kosztów i czasu wciąga ona służbę dworską w grę, która ma być pułapką dla Don Kiszota i Sancza, a z której obaj wychodzą zwycięsko, mimo że ulegli złudzeniu. Plan Bakałarza i Plebana zrodzony z myśli o uzdrowieniu Rycerza realizuje się także według motywów z romansów rycerskich. Bakałarz rzuca swe zajęcia, by gonić Don Kiszota i dwukrotnie w przebraniu błędnego rycerza stanąć

z nim do pojedynku. Nawet wielkoduszny wódz bandytów ścigany przez policję i zmuszony do nieustannej czujności wobec własnych podkomendnych, nie tylko wciąga się w długie rozmowy z Don Kiszotem, ale znajduje jeszcze czas na listowne polecenie go znajomym, by skorzystali z okazji poznania tak osobliwego człowieka. I oni z kolei inscenizują odpowiadające złudzie Rycerza przyjęcie. A i Sanczo zmyśla zgodnie z manią Don Kiszota historię o zaczarowaniu Dulcynei, a później sam układa fantazję na temat swej rzekomej podróży powietrznej. Wszystkie te objawy pobudzonej przez bohatera wyobraźni ludzkiej podsycają akcję utworu.

Naliczono w powieści z górą 600 postaci, jakże rozmaicie przedstawionych! Są to przedstawiciele różnych środowisk i zawodów. Arystokracja, duchowni, wieśniacy, rzemieślnicy, kupcy, żołnierze, policjanci, studenci, bandyci, różnych kategorii przestępcy ukazują się na tle stosunków aktualnych, ujęci realistycznie. Pasterze natomiast, nie tylko z opowieści wtrąconych, ale i ci, co wchodzą w bezpośrednie kontakty z bohaterami stanowią jakby osobną korporację wywodzącą swój ród z idylli. Z tych „książkowych pastuchów" drwił sobie Cervantes w „Nowelach przykładnych" [3].

Sceny pasterskie w „Don Kiszocie" są świadomie stylizowane po literacku. Występują w nich ludzie, którzy zerwali więzy społeczne, którzy żyją jak samotnicy w izolacji od swego środowiska i przez to zbliżają się do Rycerza z Manczy. Zbliżają się także do niego przez egzaltację miłosną, przez intensywność przeżyć, a w poszczególnym wypadku przez obłęd. On sam należy do dwóch światów. W ustalonym porządku, w którym wzrastał, okazuje rozsądek. Zarządza swym skromnym majątkiem, wynagradza za oddawane mu usługi, płaci za wyrządzone szkody, gdy uświadamia sobie swój błąd. Udziela dobrych i praktycznych wskazówek, gdy np. radzi Księżnie, by zatrudniła szalejącą z miłości pannę jakąś pracą ręczną. Don Kiszot jest inteligentny, jest znawcą w wielu dziedzinach wiedzy. Umie

---

[3] Miguel de Cervantes, Nowele przykładne. Tłum. z hiszpańskiego Zdzisław Milner. Warszawa. Muzy. Rozmowa psów, str. 172, 3.

należycie ocenić utwory poetyckie, zwłaszcza że posiada rozległe oczytanie. W rozmowach z Sanczem zwalcza zabobony i prognostyki. Gdy wymysł poetycki wziął za prawdę, zachowuje się nie jak marzyciel, ale jak człowiek czynu, choć czyny jego wyrastają z marzenia. Z surowym rygorem realizuje te zadania, które w jego najgłębszym przeświadczeniu realizowali kiedyś szlachetni rycerze. Uważa ich za doskonały wzór, który należy ściśle naśladować. Z ich ideałami, z ich wiarą przejmuje także ich styl ceremonialny, ich etykietę. Od zewnątrz wygląda jak recytator, nieraz wydaje się automatem wygłaszającym wyuczoną rolę. W wewnętrznej swej istocie wszystkie te objawy — to skutek przejęcia się zarówno treścią jak formą wypowiedzi poetyckich zawierających w jego przekonaniu wzniosłą prawdę wieków minionych.

Podlegając nieustannie złudzeniom Don Kiszot ich właśnie najbardziej się boi i innych przed nimi ostrzega [4]. Gdy spostrzeże własną pomyłkę, jest zawstydzony jak dziecko. W sposób arcyludzki broni się przed Sanczem, gdy ten dowodzi mu oczywistego błędu lub szydzi z jego zaślepienia. Nie można go nazwać anarchistą, mimo że działając wbrew współczesnym sobie zwyczajom i prawom wywołuje anarchię. Trzyma się bowiem Don Kiszot kodeksu rycerskiego w całej jego rozciągłości, w najdrobniejszych szczegółach, gdyż kodeks ten właśnie uważa za normę postępowania.

Jest dumny ze swej misji, ale i pokorny wobec przedmiotu swego kultu i wobec Sancza, gdy uzna, że od jego ofiary zależy odczarowanie Dulcynei. I do niej i do niego będzie odprawiał formalne litanie.

W służbie sprawie, której się poświęcił, wytęża wszystkie siły, ujawniając nieustanną aktywność. Nie ma prób, których by nie podjął, ani niebezpieczeństwa, na które by się nie naraził. Raz tylko ucieka ze strachu, co w porównaniu z zachowaniem się bohaterów „Iliady" czyni go rycerzem o wyjątkowej wytrzymałości i odwadze.

Przy swej prawości, przy całym swym męstwie nie przestaje być postacią komiczną. Plastycznym objawem ko-

---

[4] O walce bohatera ze zwątpieniem pisze Madariaga, op. cit. str. 89, 90, 93.

mizmu są liczne i rozmaite wizerunki bohatera utrzymane w charakterze karykatury. Staje się ona niekiedy przykra (Don Kiszot wiszący w powietrzu).

Ubrany w starą zbroję, wygląda jak manekin muzealny. Komizm wzmaga się jeszcze, gdy bohater wkłada na głowę zamiast uszkodzonego hełmu miskę balwierza. Chudy, kościsty ukazuje się najczęściej na chudym i kościstym koniu w towarzystwie niskiego i krępego sługi jadącego na ośle. I ludzie i zwierzęta podlegają tu prawu tego samego kontrastu, z którego wypływa śmiech.

Rycerz z nieodstępnym niemal Giermkiem stanowią ciekawy dwuosobowy zespół. Wymieniają się w pewnych momentach rolą i stylem, przejmują wzajemnie od siebie sposób widzenia zjawisk. Sanczo ma równie niepożytą energię jak Don Kiszot. Jest bystry, spostrzegawczy, zaradny. Jest dowcipny, lubi facecje, gawędy i dyskusje. Do dzieł rycerskich nie chce się mieszać, ale okazuje wielką odporność na cierpienia i braki, bo podnieca go myśl o wymarzonym gubernatorstwie. Nie jest w tym stopniu pewny swego celu jak Don Kiszot swojej misji, dlatego że impuls wyszedł od Rycerza, zrodził się z jego rycerskiej manii. W naturze Sancza było — jak zobaczymy później — tylko podłoże do jej działania.

Sanczo wyszedł ze środowiska chłopskiego, w którym drobne wybiegi i kłamstwa czy nieoddanie rzeczy znalezionych nie uchodziły za zło w twardej walce o egzystencję, w którym czujność praktyczna musiała się wyostrzyć. Dlatego też Giermek najspokojniej zmyśla przed Rycerzem historię zaczarowania Dulcynei, a potem bez najmniejszych skrupułów targuje się o zapłatę za razy, które obiecuje sobie wymierzyć, mimo że nie ma zamiaru dopełnić przyrzeczenia. Poprzestanie na zręcznej symulacji, którą Rycerz przyjmie za wielką ofiarę nie dającą się wynagrodzić wszystkimi skarbami świata. Troska Sancza o żywność wypływa z orientacji praktycznej, z doświadczenia i z dobrego apetytu zdrowej natury. Giermek je na zapas, bo wie, co to jest głód, ale nigdy nie zapomina o Rycerzu. Don Kiszot umarłby z głodu, gdyby nie Sanczo. Sanczo nie jest tchórzem, choć jego odwaga wyraża się w prymitywnych od-

ruchach. Boi się panicznie tylko tych zjawisk, które poczytuje za nadnaturalne [5].

Jeżeli zabiega on o wynagrodzenie, z rozkoszą i troskliwością chowa znalezione czy podarowane mu monety; jeżeli bije się po twarzy aż do krwi, gdy zgubił kwit na trzy osiołki, to nie znaczy wcale, że jest chciwy i że trzyma z Rycerzem jedynie dla zysku. Sanczo bywa hojny. Cieszy się wprawdzie z zapisu umierającego Don Kiszota, ale zawczasu wcale o ten zapis nie zabiega. Szczerze chciałby przedłużyć życie Rycerza i wszystko robi, by się to stało. Sanczo jest w gruncie rzeczy wobec Don Kiszota bezinteresowny. Jako rzekomy gubernator dba naprawdę tylko o dobro swojej domniemanej wyspy i jej mieszkańców. Pilnuje się jedynie, by go złośliwy lekarz nie zagłodził.

Sanczo przejawia szczególny wdzięk niewiedzącej o sobie dobroci i naturalną, choć głęboko ukrytą delikatność, którą widać w całej pełni, gdy pociesza zrozpaczonego Rycerza, jak się pociesza dziecko. Stawia mu przed oczy obrazy życia pasterskiego, które będą razem pędzili i wymyśla po swojemu na pijaną dziwaczkę, Fortunę. Sanczo jest zawsze sobą. Czuje się zupełnie swobodny i nieskrępowany wobec możnych. Rozwija w pałacu książęcym całą swoją wymowę. Głośno upomina się o opiekę nad osłem, do którego jest serdecznie przywiązany. Wypowiada otwartą wojnę wszystkim ochmistrzyniom. Zna się na grzeczności towarzyskiej. Czuje się na równej stopie z Księżną, gdy na jej podarunki odpowiada podarunkami. Nie ma w sobie nic z parweniusza czy z klienta.

Sanczo jest naturą skomplikowaną tak samo jak Don Kiszot, łączy go z nim także rdzenny, choć zrazu ukryty poryw do wielkiej przygody.

Na pierwszy rzut oka kontrast tych postaci bije w oczy. A przecież nie jest to proste, symetryczne przeciwstawienie rozsądku i szaleństwa, prostactwa i wyrobienia umysłowego, praktyczności i bezinteresowności. Sam fakt, że ci dwaj ludzie, tak niepodobni do siebie, mówiący odmiennym językiem, wzrośli w odmiennych środowiskach, prze-

---

[5] Madariaga, op. cit. str. 97—104.

konywający się ciągle i zazwyczaj bezskutecznie o swych przeciwnych racjach nie mogą się rozłączyć, jest intrygującą zagadką. Już wyruszenie w świat Sanczy z Don Kiszotem, którego wraz z innymi poczytuje za maniaka, musi zastanawiać. Rycerz obiecał wielkie zyski Giermkowi i wielkie stanowisko z tej wyprawy, a Giermek pragnął majątku i godności jako oznak wywyższenia w hierarchii społecznej. Ale skąd się w nim wzięło zaufanie do słów Hidalga? Tego pragnieniem bogactw wytłumaczyć się nie da. Działa na Sancza obietnica Don Kiszota, ale Giermek nie spodziewa się przecież jej wypełnienia z tych środków, którymi Rycerz realnie rozporządza. Sanczo przy całej swej praktyczności wierzy, że skorzysta właśnie z misji Don Kiszota, mimo że widzi jego szaleństwo objawiające się choćby w jego cudacznym przebraniu. Pomimo tylu porażek, wstydu przed ludźmi, za które nieraz złorzeczy Rycerzowi, nie opuszcza go, co więcej śpieszy z powrotem po rzekomym poselstwie swym do Dulcynei.

Z biegiem akcji coraz częściej podnoszą się głosy, że pan i sługa stanowią dobraną parę wariatów, że są jakby upieczeni z jednej mąki. Cóż ich związało? Czemu Sanczo opuścił swe gospodarstwo i rodzinę na wezwanie Don Kiszota? Autor sygnalizuje nam dyskretnie, jak się to stać mogło informując nas, że przyszły giermek był człowiekiem szlachetnym, ale umysł miał zmącony. Ta lakoniczna wzmianka uchodziła uwagi badaczy. Nie uwzględnił jej w swym pięknym studium prof. Sobeski, gdy przeprowadzał swój dowód o współdziałaniu w powieści dwóch czynników, gdy wskazywał w niej na „symbiozę skrajnego idealizmu i skrajnego realizmu"[6]. Zdaniem uczonego kontrast taki tkwi zarówno w naturze hiszpańskiej jak też w naturze pisarza, który rozszczepił własną psychikę tworząc postacie Don Kiszota i Sancza.

Stosowanie terminów filozoficznych do dzieła sztuki może mieć jedynie charakter przybliżenia ułatwiającego ogólną orientację. Uwydatniając pojęciowy sens utworu łatwo przechodzi ono w egzegezę alegoryczną. Formuła prof.

---

[6] Michał Sobeski, Na marginesie Don Kiszota. Spółka Wyd. Ostoja. Poznań 1919, str. 63.

Sobeskiego w stosunku do postaci niezmiernie skomplikowanych psychologicznie wymaga rewizji i ograniczenia.

Sanczo nie tylko wyrabia się pod wpływem Don Kiszota i nie tylko sam na niego wpływa, ale od samego początku objawia podstawową zbieżność z jego dążeniem. Sanczo odczuwa pęd do niezwykłości, do przygody. Okazuje dużo inicjatywy i zapału w przygotowaniach do drogi. Zmawia się z Hidalgiem w tajemnicy przed najbliższymi, a potem cieszy się wędrówką, która uwalnia go od trudów i kłopotów codziennych. Pragnie zdobyć stanowisko, władzę, ale nade wszystko wywyższającą świetność [7].

Nie praktyczne racje decydują o jego wyruszeniu w świat z Don Kiszotem, nie realizm życiowy. Jest zgoła przeciwnie. To fantazja osłabia w Sanczu działanie praktycznej rachuby. Opuszcza on swój dom, bo liczy na niewiadome i nieobliczalne. Oto jego zdrowy rozsądek kłóci się w nim samym z magicznym patrzeniem na świat tkwiącym w baśni ludowej, jak racjonalizm Don Kiszota kłóci się z jego wiarą w magię czarnoksiężników. Rycerz i Giermek czują się bliżsi sobie wzajemnie niż każdy z nich w stosunku do swego otoczenia. Gniewają się na siebie i podziwiają nawzajem, szydzą ze siebie, ale wnet pojednani działają znowu solidarnie i zgodnie. Nie ma takich nieporozumień, które naruszyłyby ich spójnię i zażyłość.

Z końcem powieści Don Kiszot, ku zdziwieniu Sancza, coraz rzadziej podlega złudzeniom. Nadchodzi kolej na złudzenia Giermka. Nim obejmie on rządy wymarzonej wyspy, stanie się ofiarą złośliwości pary książęcej na skutek własnego zmyślenia o zaczarowaniu Dulcynei, w które pod wpływem Księżny uwierzy. Będzie dumny z roli wskrzesiciela rzekomo zmarłej panny dworskiej.

Nastąpi w ważnym punkcie zamiana ról. Sprawa odczarowania Dulcynei, zasadnicza dla Rycerza przejdzie w ręce Giermka, który przez wymierzanie sobie plag ma uwolnić ją od złego czaru. Don Kiszot błaga Sancza, aby złożył tę wielką ofiarę biczując się stopniowo z troską o zdrowie. Gdy ten zwleka, Rycerz po głębokim namyśle

---

[7] Madariaga dążenie Sanczy do władzy uważa za główny motor jego działania, co nie wydaje się słuszne. Gdyby tak było, Giermek nie wyrzekłby się z lekkim sercem władzy gubernatora.

postanawia w czasie snu Giermka sam rozpocząć biczowanie. Zabiera się do tej operacji, ale przebudzony Sanczo rzuca się na Rycerza, obala go na ziemię, przyciska kolanami protestując przeciwko gwałtowi. Don Kiszot wstydzi się swego postępku, uznaje racje Giermka, obiecuje mu za dobrowolną egzekucję hojną zapłatę podkreślając najmocniej, że wszystkie skarby świata nie wyrównają jego zasługi. I w innych wypadkach Sanczo upokarza Don Kiszota nie krępując się bynajmniej obecnością osób postronnych. Drwi sobie z niego bez miłosierdzia na dworze książęcym korzystając z poparcia Księżny. Świetnie podchwytuje złośliwą intencję Rycerza, gdy ten udaje, że nie rozumie przekręcanych przez niego wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia. Upominany wielokrotnie za sypanie przysłowiami bez wyboru i doboru, umie przyłapać Don Kiszota na żacytowaniu przysłów, choć wielkodusznie przyznaje, że były one właściwie i trafnie zastosowane. Don Kiszot przybity warunkami przegranej w pojedynku, gryząc się myślą, że nie obliczył sił Rosynanta i naraził przez to wielką sprawę, daje nad sobą przewagę Giermkowi. Teraz Giermek chcąc wyrwać Rycerza z desperacji przestrzega go przed popadaniem w zabobony, przed uleganiem Fortunie. Teraz on w zastępstwie Hidalga rozpatruje sprawę poróżnionych wieśniaków i rozstrzyga ich spór w sposób pomysłowy i praktyczny. W ostatniej podróży do domu Sanczo staje się doradcą, opiekunem, pocieszycielem Don Kiszota aż do jego przebudzenia się ze złudy. Z terminatora zostaje mistrzem. Sanczo poważnieje. Przestaje żartować i kpić z Rycerza. Będzie go wyrywał śmierci, zdobędzie się na świetne powiedzenia rozpraszające smutek. Powie Don Kiszotowi, że największym szaleństwem było by umrzeć z melancholii. W tej części utworu tryumfują w pełni dobroć i mądrość Giermka. Staje się on jakby sukcesorem moralnej idei Rycerza nie przestając być sobą. Poucza go łagodnie i dobrotliwie, jak go pouczał w chwilach największej równowagi Hidalgo. Sanczo wyznał w rozmowie z rzekomym giermkiem Borowym, że pomimo wszystkich szaleństw Don Kiszota kocha go za jego prostotę i dobroć. Miłości swej dowiódł najmocniej w ostatniej, najcięższej fazie życia Rycerza.

Początek misji Don Kiszota dały książki. Zrazu on sam chciał zostać pisarzem, kontynuować wątki romansów rycerskich. W końcu jednak zdecydował się na zadanie trudniejsze. Postanowił wcielić swój ideał w życie. Zapragnął w pojedynkę uwolnić świat od krzywdy i gwałtu, w pierwszej bowiem wyprawie nie myślał jeszcze o giermku. Wystąpił w tak szerokie szranki jako następca i naśladowca błędnych rycerzy z romansów, których wziął za istniejących w odległej przeszłości bohaterów, a przynajmniej za podobne im kreacje poetyckie. Ta pomyłka złączyła się z anachronizmem podjętej misji. Stanął bowiem Don Kiszot do rekordu z błędnym rycerstwem w gruntownie zmienionych warunkach historycznych, w odmiennym ustroju socjalnym. Fakt ten mocno podkreślił Hegel stwierdzając, że Cervantes przedstawia czasy rycerstwa średniowiecznego jako układ epoki minionej, który odżył w imaginacji jednostki izolującej się od współczesności w formie fantastycznego obłędu [8]. Należy dodać, że autor sam podniósł ów rozdźwięk między stylem życia lat dawnych a współczesnych bohaterowi w „Epitafium":

Człek co z ustawnych marzeń brał czynów podnietę,
Gdy jego wiek dla chimer był już niełaskawy [9].

Automatyzm roli Don Kiszota został przez Cervantesa zrównoważony nie tylko bogactwem repertuaru literackiego pochodzącego z romansów rycerskich, rozmaitością przygód bohatera, ale i siłą jego przekonania o wielkości sprawy, jak też wszechstronnością obrazu jego przejść psychicznych i fizycznych. Autor nie waha się ujawnić odruchów zazdrości Rycerza wobec Giermka-gubernatora, objawów megalomanii, jak nie waha się odmalować przypadłości fizjologicznych po zażyciu „balsamu". Realizm ten podpiera i ożywia śmiałą fikcję poety, który czyni w ten sposób artystycznie prawdopodobnym realne istnienie Don Kiszota w życiu współczesnej sobie Hiszpanii.

Literackie źródło powołania sprawia, że Don Kiszot dba bardziej o moralne piękno swych czynów niż o ich uży-

---

[8] Madariaga, op. cit.

[9] M. de Cervantes Saavedra, Don Kichot z Manczy. Przełożył Edward Boyé. Wyd. Mortkowicz 1938, t. II, str. 314.

teczność, że chce nadto zachować wszelkie zewnętrzne akcesoria upodobniające go do postaci literackich.

Wbrew upraszczającym problem opiniom większości krytyków o bezwzględnym potępieniu przez Cervantesa romansów rycerskich, zwrócił świetny znawca przedmiotu, Madariaga słusznie uwagę na fakt, że Pleban nie wszystkie przeznacza na spalenie, że o niektórych mówi z wyraźnym upodobaniem, że co ważniejsza ksiądz sam próbował kiedyś pisać i pisał udatnie w tym właśnie rodzaju. Podważa to w pewnym stopniu tezę samego autora o szkodliwości romansów, a w każdym razie odejmuje jej sztywność.

W przedstawieniu postaci i zdarzeń narrator zachowuje daleko posunięty dystans epicki. Z początku opowiada dziwną historię jakby parafrazował zapiski przechowanej w Manczy kroniki w toku zbliżonym do swobodnej ustnej gawędy. Nadaje to poetyckiemu zmyśleniu pozory prawdy. Następnie wprowadza fikcyjnego znawcę sprawy, z którego zapisek rzekomo korzysta[10]. Jest nim Maur, Cyd Hamet. Narrator znajduje jakoby stopniowo części jego rękopisu, który tłumaczy zastrzegając się, że nie wie, czy Maur jako wróg chrześcijan, oświetla zdarzenia bezstronnie. Otwiera przez to możliwość różnego rozumienia faktów. W drugiej, później wydanej części powieści następuje wzmocnienie wartości rzekomego źródła w związku z pojawieniem się dalszego ciągu przygód Don Kiszota, plagiatu Avellanedy.

Cervantes wyrzeka się tu pozorów mozolnej rekonstrukcji świadectw niezupełnie pewnych. Rezygnuje z mistyfikacji literackiej zawieszającej w pewnym stopniu sąd o bohaterach, by wspaniałym rzutem fantazji uczynić z polemiki z plagiatorem nowy motyw powieści. Twór Avellanedy zostaje zdyskredytowany przez samych bohaterów, którzy formalnym aktem prawnym stwierdzają swoją tożsamość z postaciami powieści Cervantesa. Wzmacnia to fikcję literacką. Z dwóch utworów pisanych na ten sam temat, jeden okazuje się nie tylko oryginalny, lepszy, ale i jedynie prawdziwy. Wyrokują zaś o tym postacie tego utworu. Spotykają się one nadto z postacią powieści Avel-

---

[10] Podobieństwo z techniką parodiowanych romansów rycerskich zaznaczył Madariaga, op. cit., str. 19.

lanedy, Don Alwarem, który żałuje, że przebywał tak długo w towarzystwie fałszywego Don Kiszota i fałszywego Sancza. Poznanie autentycznych bohaterów pozwala mu zobaczyć jasno pomyłkę. Ten osobliwy świadek, opuszczający dzieło Avellanedy, by stanąć po stronie Cervantesa i jego postaci, zostaje wraz z nimi przedstawiony na prawach realnie istniejących ludzi. Ta technika literacka stanowi zdumiewający odpowiednik manii Don Kiszota, który pomieszał literaturę z życiem [11].

Fakt, że Rycerz i Giermek spotykają się w toku swych przygód z dwiema powieściami o sobie, szeroko już rozpowszechnionymi w całym kraju, stwarza swoistą iluzję opartą na fantastycznej roli czasu. Bohaterowie od pewnego momentu należą do życia i do dwóch legend. Artystyczne prawdopodobieństwo tego pomysłu utrzymał autor dzięki realizmowi scen i ich dynamice.

Występując w roli tłumacza rzekomej relacji kronikarskiej autor ujmuje zrazu swój temat jako sumienny sprawozdawca czerpiący jednak materiał z drugiej ręki. Nie odgrywa roli wszechwiedzącego i później. Wzmocniwszy nawet wagę swych źródeł zostawia niektóre kwestie w zawieszeniu. Nie wyjaśnia np. jednoznacznie faktu realnego istnienia Dulcynei ani zagadkowej sprawy pobytu Don Kiszota w jaskini. Co ważniejsza, nie rozstrzyga decydująco przyczyny jego śmierci. Medyk i Sanczo sądzą, że umarł on z melancholii, narrator zaś ogranicza i osłabia ich mniemanie, choć sam tak wymownie przedstawił jego rozpacz. We wszystkich tych wypadkach autor zostawia wolne pole domysłom czytelników. W ciągu swej opowieści Cervantes nieustannie piętnuje Don Kiszota jako głupca, nie oszczędzając również Sancza. Rycerza nazywa najgłupszym z pomyleńców, a Giermka godnym Rycerza współwariatem. Nie żałuje obydwom wielce urozmaiconych epitetów. Lubuje się w superlatywach podkreślających ich szaleństwo. Wszystkim tym określeniom towarzyszą przeplatając się z nimi ironiczne uwagi o wielkich czynach Don Kiszota, o jego rosnącej sławie utrwalonej w kronice i głośnej w całej Hiszpanii.

---

11 W znanej mi literaturze naukowej o Cervantesie uwzględnienia tej zastanawiającej analogii nie znalazłam.

Inwektywy autora przeciwko Rycerzowi z Manczy zmyliły niejednego czytelnika. Omyłki popełniano także w stosunku do Sancza, jakże często pogrubiając jego rysy. Zdarzało się i odwrotnie. Sancza pojmowano nieraz jako wyobraziciela trzeźwości i realizmu. Współczesny krytyk sowiecki, Krszewskij [12], zarzuca np. Fieldingowi wywyższenie stanowiska Giermka podkreślając przy tym wielkość Don Kiszota, tragiczny odcień jego misji, tak wyraźnie widoczny na tle optymizmu Sancza.

Należy najmocniej podkreślić jako ważną, strukturalną cechę powieści hiszpańskiej rozbieżność między bezpośrednimi atakami narratora na bohaterów a wartościowaniem wypływającym z układu zdarzeń. Oto dwaj pomyleńcy zyskują na porównaniu z normalnymi ludźmi. Jako ofiary głupiego śmiechu, płaskiej, złośliwej zabawy próżniaków, na tle nadużyć władców i dostojników okazują się nie tylko lepsi, ale nieraz i rozumniejsi niż ci, którzy szczycą się normalnością.

Cervantes konsekwentnie rezerwuje prawo ostrej krytyki Don Kiszota i Sancza tylko dla nich samych wzajemnie i dla siebie. On tylko i każdy z nich mogą używać słów najostrzejszych, mogą w nich nie przebierać. Innym autor prawa tego odmawia w sposób pośredni, a jednocześnie bardzo zręczny. Oto przedstawia on od strony dodatniej te tylko postacie, które okazują jego bohaterom pomoc, współczucie czy podziw. Może mieć rację ponury duchowny, panoszący się na dworze książęcym, gdy wymyśla Don Kiszotowi od wariatów, ale nie jego rację autor nam sugeruje, tylko odrażającą oschłość i brutalność jego napaści słownej. Jest to niezmiernie subtelna forma ochrony bohaterów przed krytyką niepowołanych. Jest to także dowód wywyższenia Sancza, który nie oszczędza bynajmniej Don Kiszota, ale choć pomstuje na niego, choć mu dokucza, ma do tego prawo, bo go kocha. Możemy więc podejrzewać, że kocha go także autor.

Przy samym końcu powieści bohater przerasta wszystkich. Najbliżsi wraz z Sanczem pocieszą się zapisami testamentu Don Kiszota i wrócą do potocznego życia. Giermek

---

[12] B. Krszewskij, Cervantes, str. 177, 183. Rozprawa znajduje się w książce zbiorowej: Rannij burżuaznyj realizm. Leningrad 1936.

nadto uwolni się od marzeń o świetności władzy. Doświadczenie z czasu gubernatorstwa stanie się dla niego jakby szczepieniem ochronnym. Jeden tylko Don Kiszot zostanie niepocieszony. Gdy zrozumie swój fatalny błąd, nie będzie szukał usprawiedliwienia ani w swej dobrej wierze ani w omamieniu wyobraźni. Z całą bezwzględnością potępi swe nieszczęsne wyprawy. Okaże się równie surowym dla siebie jak Edyp Sofoklesa.

Wyzwalając — w momencie poznania prawdy przez bohatera — ton tragiczny Cervantes nie kończy w tym tonie powieści. Nie dopuszcza także do patosu ani nie popada w tkliwość. Powoła się znowu na świadectwo Cyda Hameta, którego sam rzekomo tylko parafrazuje. Nazwie go mądrym i roztropnym znawcą przedmiotu. Zacytuje jego autorytatywny krytyczny sąd o plagiacie Avellanedy, włoży mu w usta wyznanie: „Don Kiszot narodził się tylko dla mnie, ja zaś dla niego. On umiał działać, ja zaś pisać. Ja i on jesteśmy jedną istotą..." Zastrzega w kapitalnym omówieniu swoje prawa autorskie. Stwierdza, że gdyby ktoś niepowołany zechciał snuć dalszy ciąg przygód Don Kiszota, byłoby to „zbytnim okrucieństwem", zakłóceniem spokoju Zmarłego, który „spoczywa w swoim grobowcu, wyciągnięty na całą długość swej postaci i niezdatny już do trzeciego w świat wyruszenia" [13]. Powadze tych słów towarzyszy nastrój głębokiej serdeczności. Nie on przecież stanowi wygłos dzieła. W zamknięciu następuje powrót do trzeźwej, rzeczowej relacji i do morału. „Prawdziwe" dzieje Don Kiszota zostały przedstawione jedynie w tym celu, by zrazić czytelników do kłamliwych romansów rycerskich.

Nie miejsce tu na dowodzenie niezwykłej dynamiki, wyrazistości i różnorodności przedstawień, na rozpatrywanie zmiennych relacji między bohaterami [14], mistrzostwa w budowaniu poszczególnych scen, a w zakresie języka wielostylowości [15].

Metoda pisarska Cervantesa daje okazję do emancypowania głównych postaci powieści, a nawet do odbierania

---

13 Don Kichot z Manczy, t. IV, str. 329.

14 Madariaga, op. cit., str. 112—131.

15 Helmat Hatzfeld, „Don Quijote" als Wortkunstwerk. Leipzig, Teubner 1927.

ich twórcy. Podpowiadano też nieraz autorowi własne interpretacje. Walczono więc o Don Kiszota, z którego się autor okrutnie naśmiewał (Herder, Grosse), wyrażano, że wydrwił w jego osobie całe rycerstwo hiszpańskie (Byron) i przeciwnie, zarzucano Cervantesowi maskowaną sympatię dla anarchisty-maniaka.

Główny bohater dzieła bardziej na ogół interesował czytelników niż samo dzieło. Stawał się symbolem [16]. Widziano w nim podobieństwo do wyznawców i męczenników. Gdy podobieństwo to było obciążeniem — jak dla encyklopedystów czy dla Woltera — Don Kiszot udzielał swego imienia tym, których kościół katolicki uznał za świętych. D'Alembert nazywał św. Ignacego Lojolę „le Don Quichotte de la Vièrge" [17].

Ta sama analogia prowadziła innych do uwielbienia bohatera. Michał Unamuno związał go ze św. Franciszkiem, św. Teresę upodabniając nadto do Chrystusa [18]. Jedni wyśmiewali go za to, za co inni wielbili. Podkreślano nieraz, że kult Dulcynei to karykatura kultu Laury czy Beatryczy. W rozlicznych komentarzach dzieła wysuwano na plan pierwszy raz dziwaczność misji bohatera, to znowu jego potężny pęd do odrodzenia życia na drodze fantastycznej i utopijnej [19]. Można też widzieć w książce zastosowanie patologicznego wyolbrzymienia dla odkrycia sprężyn wszelkich misji i wszelkich kultów ze względu na ich irracjonalne i emocjonalne podłoże.

Całą rozmaitość symbolicznej egzegezy dzieła spowodował sam autor, który z wielką pasją twórczą wyzwolił liczne przeciwieństwa, ale od ich wyjaśnienia w znacznej mierze się uchylił.

Czytelnicy reagowali na zagadkową powieść najróżniej. Jedni śmieli się tylko, inni tylko płakali (Unamuno), inni wreszcie śmieli się przez łzy. Przez dwa stulecia we Francji

---

16 Symboliczne ujęcie misji Don Kiszota prowadzi współczesnego krytyka francuskiego do ostrego wystąpienia przeciwko zakończeniu powieści. André Suarès, Trois grands vivants. Paris, Grasset 1938, p. 35, 36.

17 Maurice Bardon, op. cit., p. 547.

18 Miguel de Unamuno, Vida de Don Quijote y Sancho según Miguel de Cervantes Saavedra. Madrid 1905.

19 Krszewskij, op. cit.

(w. XVII i XVIII) ,,Don Kiszot“ uchodził za świetną satyrę literacką i stanowił w powszechnym mniemaniu lekturę rozrywkową. Dla romantyków niemieckich był on pierwszą wielką powieścią nowożytną, ale przede wszystkim symbolem odwiecznej walki ideału z rzeczywistością, poezji z prozą, wybitnej jednostki z otoczeniem, wyrazem tęsknoty za absolutem. Widzieli oni w powieści Cervantesa doskonałą realizację ironii — ważnego postulatu własnej doktryny — a jeżeli brali w rachubę morał, to nadawali mu ton gorzkiej zadumy.

Nowsze badania sięgnęły głębiej w strukturę dzieła Cervantesa jako całości artystycznej, która interesowała już żywo W. Hugo i Heinego. Nie ustały przecież poszukiwania tendencji powieści czy jej praktycznego sensu. W r. 1933 podniósł się nawet w Hiszpanii głos wzywający do usunięcia z kraju ,,Don Kiszota“ jako książki podważającej burżuazyjny układ życia, gdy przedtem widziano w niej atak na stosunki feodalne lub domyślano się aluzji politycznych. Dzisiaj zwraca się uwagę na krytycyzm autora ogarniający zarówno dawne jak i współczesne mu czasy [20].

Pierwsi czytelnicy książki, znający doskonale romanse rycerskie, mieli możność cieszyć się dziełem Cervantesa wprowadzającym znane wszystkim motywy w funkcji parodystycznej. Parodia literacka, która w swej czystej postaci nie ma związku z satyrą czy morałem, mogła swobodnie na nich promieniować [21].

Parodystycznej stylizacji literackiej poddał Cervantes wiele wypowiedzi Don Kiszota jak też cały zaimprowizowany wokoło jego osoby teatr [22].

Powieść sygnalizuje nam wprawdzie jej istnienie, ale bez znajomości romansów rycerskich, komizm płynący z tego źródła dla nas ulega przymgleniu. Recepcja nasza musi być i z tego jeszcze powodu odmienna, że była to przecież dla

---

[20] Krszewskij, op. cit., str. 177, 178.

[21] Na ten charakter parodii literackiej, nie niwelującej bynajmniej dzieł parodiowanych, wskazuje ostatnio w oparciu o prace Bergsona, T. Zielińskiego i in. Gabriela Pianko w interesującym studium pt. „Co to jest parodia?“ Meander 1947, Nr 6, str. 327.

[22] Na poszczególne przejawy parodii zwrócił uwagę Madariaga, op. cit. str. 87.

pierwszych czytelników powieść współczesna. My zaś ten jej charakter ustalamy dopiero wtórnie, przy pomocy rozważań historycznych.

Podstawowe źródło komizmu dające się wykryć i uzasadnić obiektywnie w Don Kiszocie nie straciło swej siły. Jest nim anachronizm historyczny w połączeniu z zapóźnieniem występującym w indywidualnym życiu bohatera. Entuzjazm bojowy starzejącego się człowieka, a zwłaszcza objawy egzaltacji miłosnej ujawniają się tu w formach ukształtowanych w odległym średniowieczu. Na historyczny charakter anachronizmu zwrócił specjalną uwagę Hegel. Stwierdził on mianowicie, że komizm w dziele Cervantesa, wypływa z kontrastu między światem uporządkowanym według własnych praw a jednostką izolowaną od niego, która chce sama stworzyć pewien porządek wysiłkiem własnej świadomości, ryzykując wywrócenie całego układu. Będąc postacią komiczną — dodaje Hegel — Don Kiszot nie przestaje być szlachetnym i sympatycznym charakterem, który naprawdę nas interesuje przez właściwe sobie piękno.

Ale komizm płynący z anachronizmu jakże łatwo mógłby doznać stłumienia przez zasadniczy w tematyce dzieła motyw psychozy. Naturalne współczucie dla człowieka chorego, a zwłaszcza obdarzonego wielkimi zaletami umysłu i charakteru, mogłoby nie tylko ograniczyć komizm, ale co więcej, spowodować niesmak czy odrazę. A przecież autor nie szczędzi nam scen makabrycznych. Tymczasem współczucie dla Don Kiszota nie niweluje komizmu i nie przekształca go w przykrą bufonadę. Wynika to ze szczególnego charakteru samej psychozy. Ona bowiem potrafi uodpornić bohatera na ból, na szyderstwo ludzkie, ona albo nie dopuszcza do subiektywnego poczucia poniewierki czy klęski, albo to poczucie ogranicza. Don Kiszot budzi w tych, co się z nim stykają, inne jeszcze reakcje emocjonalne prócz śmiechu i współczucia. Wywołuje on także zdumienie nad dziwnym pomieszaniem mądrości i dobroci z szaleństwem, wywołuje nadto mocne przywiązanie i podziw dla swej energii psychicznej.

Bohater ujawnia niepospolite wartości poza granicami swego szaleństwa, ale ujawnia je również, choć w komicz-

nej deformacji, w samych jego przejawach [23]. Marnowaniu się tych wartości towarzyszy jakże dyskretnie nuta tragizmu, która osiąga swój szczyt w przedśmiertnym rozeznaniu prawdy.

Współdziałanie przeciwieństw przy gwałtownym falowaniu nastrojów wywołać może wrażenie, że autor zamknął nas w błędnym kole: Oto inwektywom powieściopisarza zwróconym wprost ku bohaterowi przeciwstawia się jego obrona wynikająca z układu zdarzeń i charakterologii. Mania Rycerza mieszającego rzeczywistość z fantazją znajduje zadziwiającą analogię w technice powieści. Miesza się w niej bowiem także rzekoma prawda z konstrukcją literacką. Don Kiszot wmówił w siebie, że jest błędnym rycerzem, Cervantes wmawia w czytelnika, że jego bohater jest człowiekiem wzrosłym we współczesnej Hiszpanii i w niej pełni swą misję. Co więcej, postać z powieści plagiatora opuszcza ją, by wystąpić na realnej scenie działań w roli świadka. Część powieści tężeje w legendę, a akcja toczy się dalej jak gdyby w konkretnej rzeczywistości. Słowa Rycerza i Giermka wychodzą poza ramy znanego im jakoby utworu. Granice właściwej powieści są więc nieustalone, chwiejne. Między wersją literacką, a tym co zostało podane jako realne dzieje powstaje polaryzacja i ostatecznie ów Don Kiszot z rzekomo prawdziwego zdarzenia bierze górę nie tylko nad Avellanedą, którego powieść nazywa dziełem o głupstwach, ale i nad Cervantesem. Dokonał się pełny obrót koła wydarzeń. Bohater odżegnał się od złudy, przekreślił całe swe działanie. Domownicy i sąsiedzi ujrzeli go takim jakim był dawniej, dobrym i ujmującym.

Jakież jest wyjście z tego labiryntu? Czy święci tu tryumf ironia romantyczna, rozkosz gry artysty, który buduje i niszczy zarazem swe dzieło, bawiąc się nim i bawiąc się samym aktem tworzenia?

Odejdźmy na chwilę od Don Kiszota, by odświeżyć sobie w pamięci opis ostatniej podróży Cervantesa, przedstawionej przez niego jako fakt autentyczny w ,,Persylesie“.

---

[23] André Suarès, op. cit., str. 30: „Don Quichotte est le seul héros en qui le rire fleurit la dignité. Et plus on rit de lui, plus on le respecte.“

Ciężko chorego poetę dogania jakiś student, a dowiedziawszy się z kim mówi, wysławia go jako przedmiot zachwytu Muz. Cervantes z niezwykłą wyrazistością, z wielkim upodobaniem maluje zabawny wygląd i strój młodzieńca. Miarkuje żartobliwie jego egzaltację, aby nie zostać mu dłużnym w kurtuazji, z teatralnym gestem obejmuje go za szyję. Gdy student radzi wielkiemu pisarzowi, aby unikał płynów, bo one właśnie potęgują chorobę, ten odpowiada, że mu to już wielu ludzi mówiło. On jednak nie może się wyrzec picia do woli, jakby się na to tylko urodził, żeby pić. Sądząc po tętnie umrze prawdopodobnie w niedzielę, ma więc dość czasu na zawarcie nowej znajomości i na okazanie młodzieńcowi, że jest mu wdzięczny za życzliwość [24].

Z opisu tego wybłyskują sygnały hartu, odporności, odwagi. I one właśnie stanowią tło żartobliwości. Dlatego — mimo różnicy sytuacji — scena ta zasługuje na zbliżenie z relacją Platona o humorze umierającego Sokratesa.

W „Don Kiszocie" wyjątkowo tylko, w rzadkich chwilach nasilenia tragizmu, prześwieca uśmiech przez łzy. W całości dzieła góruje niewymuszone, wspaniałe kpiarstwo jako swoista odmiana godzącego przeciwieństwa wielkiego humoru. Zagradza ono drogę czułostkowości i cierpiętnictwu, miarkuje tragizm, nie dopuszcza do patosu. Ono to, nie wolne od okrucieństwa, pozornie grube, w istocie swej delikatne, pozwala ujawnić się rdzennym wartościom ludzkim w ich karykaturalnym nawet zniekształceniu. I ono bodaj stanowi nadrzędną siłę organizującą żywiołową, z zawiłości życia wyrosłą powieść o Don Kiszocie.

---

[24] Na opis ten powołuje się w swej książce współczesny krytyk francuski widząc w nim przejawy młodzieńczej świeżości wrażeń i subtelnego czaru. Jean Babelon, A la gloire de Cervantes. Ed. Nouvelle Revue Critique. 1930, p. 271—275.

MARIAN ŁODYŃSKI

STANISŁAW POLAK W HISZPANII

Ukazała się doprawdy dziwna książka. Napisał ją Niemiec i poświęcił życiu oraz dziełom Polaka w Hiszpanii; wydał ją Polak Anatol Girs ku uczczeniu pamięci Bolesława Barcza, swego przyjaciela, zabitego w czasie warszawskiego powstania, wydał w Niemczech, a mianowicie w „Oficynie Warszawskiej" w — Monachium!

Ogłoszono zaś książkę w przepięknej szacie bibliofilskiej, a po ogłoszeniu skierowano ją do kraju w liczbie 700 numerowanych egzemplarzy z przeznaczeniem, aby kapitał zebrany z rozprzedaży stał się początkiem społecznych darów na rzecz budowy gmachu Biblioteki Narodowej w Warszawie [1].

Nie koniec na tym!

Jak wiadomo, dwa szczególnej doniosłości fakty znamionują dzieje XV w.: jeden fakt u końca pierwszej połowy XV w., drugi u końca drugiej połowy. Jeden — to wynalazek druku, drugi — to tzw. odkrycie Ameryki, umożliwione — jeśli idzie o stanowisko ówczesnej Hiszpanii — ostatecznym rozgromieniem Maurów. W tej dziwnej książce, mówiącej o Polaku, i te fakty połączono umotywowaniem w pewien przyczynowy związek.

Ale nie ubiegajmy faktów.

Wiek XV był — jak wiadomo — wiekiem szczególnej ruchliwości. Wszyscy podróżowali. Humaniści — częściowo w ucieczce przed Turkami, częściowo parci żądzą roznoszenia myśli i piękna świata klasycznego, przemierzali wszerz i wzdłuż tereny Europy; uczestnicy walk religijnych

---

[1] Ruppel Aloys, Stanislaus Polonus. Monachium 1946. Oficyna Warszawska, s. 85.

(Husyci) — na ostrzu mieczów nieśli w nowe ziemie nowe hasła polityczne, społeczne i religijne; zwolennicy nowych teorii kościelnych — śpieszyli ze wszystkich stron Europy na zgromadzenia soborowe; ludzie owładnięci żądzą złota — mknęli ku wybrzeżom zachodnim, by stanąć do podziału zwożonych bogactw amerykańskich, a przy sprzyjających okolicznościach przedostać się do tajemniczych sezamów pozamorskich.

W tej niesłychanej wędrówce ludzi z różnych środowisk, narodów, stanów i zawodów — nie brakło także drukarzy.

Jak wspomniałem, u końca pierwszej połowy XV w. powołano do życia nową sztukę — sztukę drukarską. Nie idzie przy tym o to, czy wynalazcą pierwszym był Coster czy Guttenberg, lecz o to, że wynalazek ten doprowadził do wędrówki propagatorów tej nowej sztuki w nieledwie wszystkie kraje europejskie i że ziarno rzucone przez nich dało stokrotny plon. Nasilenie powstających drukarń przyjmuje charakter nieledwie żywiołowy. Pierwsze drukarnie przyciągają następne, jedni twórcy drukarń stają się nie tylko pionierami tej pracy, ale i wskazicielami i zachętą dla dalszych zastępów drukarzy. Zapotrzebowanie masowo powielanych przejawów piśmiennictwa staje się czymś nagminnym, widoki zaś związanych z tym korzyści materialnych nadają próbnym poczynaniom cechę trwałości. Ale myliłby się ten, kto by uważał, że wędrowny ruch drukarzy nosił tylko znamiona poszukiwania zysku. W tych ludziach, pełnych ryzyka i pędu wędrowniczego — było także coś z apostołów i z ofiarnych szermierzy nowej sztuki; wielu też z nich służbę tej nowej sztuce opłaciło pionierską i ciężką dolą życiową.

Zresztą ówczesny drukarz — to nie tylko składacz czcionek, to wielokrotnie wydawca i inicjator dzieł, to czasem autor wartościowych utworów, to wielokrotnie artysta-składacz i artysta-dekorator wytłaczanych książek. Dodać przy tym należy, że trudności ówczesnej sztuki drukarskiej leżały nie tylko w technicznej stronie zagadnienia, lecz także w dotychczasowych przyzwyczajeniach ,,świata literackiego", w naturalnym konserwatyzmie nabytych form i ustalonych przejawów tych form.

To nie paradoks, gdy się powie, że poważnym wrogiem ówczesnej sztuki drukarskiej — była sztuka pisania. Zwolennicy rękopisów, a jeszcze więcej czytelnicy nawykli do tej formy piśmiennictwa, liczni i zorganizowani wytwórcy rękopisów, a wreszcie posiadacze tych rękopisów, stanowiących przedmiot nie tylko formalnej ale i treściowej dumy — stawiali zacięty opór nowatorskim hasłom i formom drukarstwa. Opór ten był tak silny, że zmusił nawet drukarzy przejściowo do poddania się formalnym wymaganiom czytelników, tj. do upodobnienia kształtu czcionek do różnych postaci stosowanego ówcześnie pisma. Toteż do walki takiej nie mogła wystarczać sama żądza zysków, do walki z tymi przeszkodami trzeba było także i poświęcenia, płynącego z przeświadczenia o ideowych zadaniach nowej formy piśmienniczej.

W tym rysie rzeczy tkwi jeden z ważnych powodów ruchliwości ówczesnych drukarzy. Drukarze ci dwoją i troją się. Śledzenie ich wędrówek, śledzenie ich umiejętności dostosowywania się do potrzeb zmienianego środowiska — to osobny rozdział dziejów kultury, tym ciekawszy, że łączą się z nim ślady stosunków międzyludzkich, międzynarodowych i międzyliterackich.

Tych wszystkich znamion można się dopatrzyć w dziejach osoby, której omawiana książka poświęcona.

Około pierwszej połowy XVI w. spotyka się w Meksyku pierwsze druki, składane czcionką, której kolebka leży w Neapolu. Tam to w latach 1475—1492 czynna była znakomita drukarnia, której wytwory cieszyły się szerokim uznaniem ówczesnego „świata literackiego" i zbierackich sfer kulturalnych. Już to samo mówi o poziomie tych utworów, że zdobyły one we Włoszech własne, uznane miejsce obok takich arcydzieł jak druki weneckie.

Na czele tej drukarni stał jej twórca, Maciej Morawianin (Matthias Moravus). Maciej, nieznanego nazwiska rodowego, urodzony w Cetkowicach koło Ołomuńca, był mnichem, który w latach 1450—1468 wypracowywał w Wenecji na zlecenie wysokich dygnitarzy kościelnych wyróżniające się pięknością rękopisy: jedne w gotyckiej kursywie, inne w antykwie. Tam to widocznie zapoznał się ze

sztuką drukarską. Wysoki poziom artystyczny weneckich druków zdobył widocznie wrażliwą na piękno duszę mnicha, przerzucił się bowiem do drukarstwa, by po kilku latach praktyki stanąć w r. 1474 na czele tłoczni w Genui a w następnym roku, przeniósłszy się do Neapolu, utworzyć tam drukarnię, która od pierwszego wydawnictwa zdobyła sobie uznanie otoczenia[2].

Otóż w dwóch ostatnich jego utworach, wyszłych z jego oficyny w latach 1491 i 1492, pod jego nazwiskiem widzimy charakterystyczny typ czcionki, który pojawia się w pierwszych drukach, jakie spotykamy w r. 1537 na terenach Meksyku.

To zadziwiające zjawisko łączy się najściślej z osobą głównego bohatera omawianej książki, znanego w Polsce zaledwie z imienia i z zawodu oraz z kilku zachowanych w kraju (głównie w Bibliotece Czartoryskich) druków: Stanisława Polaka (Stanislaus Polonus lub Stanislaus de Polonia).

Stanisław Polak, nieznanego nazwiska rodowego, był uczniem i współpracownikiem słynnej oficyny neapolitańskiej wspomnianego Macieja Morawianina. To, że — jak wskazują jego dalsze dzieje — nie był żonaty i nie miał dzieci, jak także to, że nie używał nigdy nazwiska rodzinnego, pozwala wnioskować — przy wiadomości, że był uczniem Macieja, który był mnichem — że i on był mnichem, za czym przemawiałoby i to, że używał na zmianę dwóch imion: Stanisława i Władysława, z których jedno mogło być jego osobistym, a drugie imieniem zakonnym.

Otóż ten Stanisław Polak, łącznie z drugim współpracownikiem oficyny neapolitańskiej, Menardem Ungutem, Niemcem — ruszył na wezwanie Ferdynanda V Aragońskiego jesienią 1490 r. do Hiszpanii i usadowił się w Sewilli. Mistrz ich, Maciej Morawianin, wyposażył swych pupilów na drogę dostatnio, dał im mianowicie matryce nowo przez siebie wprowadzonego kroju czcionek oraz prasę drukarską, tak że — pokonawszy trudności pomieszczeniowe (zakwaterowali się z pracownikami i drukarnią w parafii Św. Juana de la Palma) — mogli od razu stanąć do pracy.

---

[2] Maciej Morawianin zmarł w Neapolu — zdaje się — około 1492 roku.

Toteż już w lutym 1491 wydali swój pierwszy druk, a mianowicie ,,Deza, Didacus de: Defensiones S. Thomae...“, w którym czytamy, że jest ,,...impressus per Meynardum Ungut... et Stanislaum Polonum socios“.

Odtąd aż do października 1499 (śmierć Unguta) pojawiają się liczne w języku łacińskim lub hiszpańskim wydane dzieła, opatrzone wspólnym znakiem drukarskim (M—S) oraz formułą: ,,impressus per Meynardum Ungut et Stanislaum Polonum socios“ albo ,,por Meynardo Ungut et Stanislao Polono companeros“.

Po śmierci swego wspólnika i przyjaciela prowadził dotychczasową drukarnię sam Stanisław Polak aż do wiosny 1502, a następnie jeszcze przez z górą rok, tj. do końca 1503, kierował oficyną łącznie z Jakubem Crombergerem, swym dotychczasowym współpracownikiem.

W tym czasie, tj. między r. 1502—1504 przeniósł się Stanisław Polak do Alcala de Henares, gdzie założył filię swej oficyny i wydrukował w niej szereg dzieł; wreszcie w r. 1504 odsprzedał Stanisław swe prawa do oficyny sewilskiej Jakubowi Crombergerowi. Odtąd też znika jego nazwisko z grona ogłaszających dzieła drukarzy; żyje jednak, bo jeszcze w r. 1514 wymienia się jego nazwisko jako świadka przy akcie upełnomocnienia syna jego dawnego wspólnika i przyjaciela, Tomasza Unguta.

Jeżeli jednak, jak widać z przytoczonych szczegółów, bardzo szczupłe dane przechowały nam źródła o osobistym życiu Stanisława Polaka — to przechowane wydawnictwa (o niektórych wobec całkowitego zniknięcia egzemplarzy dowiadujemy się tylko pośrednio) dostarczają nam sporo materiału dla oceny jego osoby jako drukarza.

Opierając się na tym materiale, możemy stwierdzić, że oficyna Stanisława Polaka i Menarda Unguta stanowiła jedną z najczynniejszych pracowni okresu inkunabułów (wydali do r. 1499: 37 druków — 2°, 28 dzieł — 4°, 4 dzieła — 8°, liczące łącznie 14.472 strony); że jej drzeworyty używane na karty tytułowe należy zaliczyć do najpiękniejszych ilustracji czasu inkunabułów; że należeli do grona pierwszych drukarzy nut; że smakiem, krojem czcionek, zapobiegliwością, umiejętnym sharmonizowaniem wewnętrznej dekoracji dzieła z jego treścią, doborem i roz-

mieszczeniem czcionek wyróżniali się wśród współczesnych, a przez dekoracyjną stronę inicjałów (motywy arabskie) wśród współczesnych drukarzy hiszpańskich. Dodać przy tym trzeba, że oficyna ta rozporządzała 8 typami czcionek, z których 6 było gotyckich, a 2 romańskie.

Rychło też wysunęli się na czoło drukarń sewilskich, a pamiętać należy, że w tym czasie Sewilla była nie tylko siedzibą królewską i niezmiernie zamożnym miastem, ale i siedzibą największych drukarni i ruchu księgarskiego; nie brak w niej też było poważnych konkurentów, których dopiero rozbudową tłoczni i intensywnością produkcji wydawniczej musieli pokonywać. Wydajność jednak pracy tej tłoczni była naprawdę uderzająca, gdy bowiem w pierwszym roku rozpoczęcia swej działalności (1491) mogli wydanym przez konkurentów 7 dziełom o 3.564 stronach przeciwstawić 6 dzieł o 1.688 stronach, to już od r. 1492 stale prześcigali tę drukarnię coroczną liczbą wydanych dzieł i liczbą wytłoczonych stron, tak że za okres 1492—1499 (śmierć Unguta) mogli 21 dziełom o 3.958 stronach swych konkurentów przeciwstawić 50 dzieł o 12.178 stronach. Nic też dziwnego, że pod koniec wieku umieścili się już wraz z drukarnią w reprezentacyjnej części Sewilli (przy ul. Bayońskiej w parafii Santa Maria de Mayor), w sąsiedztwie głównych firm wydawniczych i największych księgarzy i że zarówno Ungut jak Stanisław Polak należeli do zamożnych obywateli.

Że w tej spółce drukarskiej Stanisław Polak odgrywał bardzo poważną rolę, wskazuje na to fakt, że po śmierci Unguta, gdy sam prowadził tłocznię, wydał w r. 1500 9 dzieł, liczących łącznie 1.120 stron; że on właśnie był twórcą jednego z świeżo wprowadzonych typów czcionek gotyckich i że jego nazywa jedna z ordynacji królewskich z lat 1502—1503: „mężem szlachetnym, pomysłowym, mistrzem znakomitym, mistrzem biegłym, który ma rękę jak artysta a jest najprzedniejszym w sztuce drukarskiej..."

Dodać wreszcie należy, że z założonej przez niego tłoczni ruszyli nowi pionierzy drukarstwa na kontynent Ameryki, przenosząc wraz z kunsztem czarnej sztuki także i typ czcionek, który w r. 1490 przewiózł Stanisław Polak z neapolitańskiej oficyny Macieja Morawianina na Półwysep Pi-

renejski. Stąd to w r. 1537 ukazały się w Meksyku pierwsze druki tamtejsze, składane znaną gotycką czcionką neapolitańską, którą już przez z górą pół wieku tłoczono piękne druki sewilskie.

Rozważając przywiedzione szczegóły — nie można się dziwić, że nie tylko w omawianej książce niemieckiej, ale i w odnośnej literaturze hiszpańskiej, dotyczącej kulturalnych dziejów przełomu XV/XVI wieku — zajmuje Stanisław Polak poważne i uznane miejsce.

Jeżeli jednak dzisiaj mimo osiągnięć Stanisława Polaka nie możemy się w pełni oddać radości i dumie na myśl o obecności naszego ziomka u progu dziejów nowożytnych w rzędzie czołowych postaci kulturalnego świata Hiszpanii, to dlatego, że — patrząc na ten polski dorobek na obczyźnie i dla obczyzny — tym silniej odczuwamy brak jego przodującej roli czy choćby współudziału w owoczesnych poczynaniach na tym polu, które na naszym terenie musieli podejmować i podejmowali obcokrajowcy — Niemcy.

NA ŚLADACH DON KISZOTA

LA MANCZA

Sądzę, że powinienem opowiedzieć czytelnikowi po kolei, bez opuszczeń, bez efektów i bez liryki wszystko co czynię i co widzę.

O szóstej rano przybył — w Argamasilli — pod drzwi mej p o s a d y Michał na swym wozie. Była to godzina, kiedy owo sławne miasteczko ziemi Manczy spało jeszcze; otóż ja lubię tę godzinę mocną i jasną, świeżą i płodną, w której niebo staje się szklane, a powietrze przejrzyste, kiedy wszystko dyszy radością, rozkoszą i mocą nieznaną innym porom dnia. Michale — zagadnąłem — jedziemy? — Kiedy zechce wasza łaskawość — odrzekł Michał.

Wsiadłem więc do małego, roztrzęsionego wózka. Konik — drobny koniczek — szarpnął żywym nerwowym truchtem. I zaraz poza miasteczkiem rozciągnęła się przed naszymi oczami szeroka płaszczyzna, płaszczyzna olbrzymia, płaszczyzna bez kresu, płaszczyzna rozpaczliwa.

W głębi — gdzieś na dalekiej linii horyzontu — pojawiły się zarysy szerokie, błękitne błękitem jasnym, bladym i łagodnym.

Tu i ówdzie błyszczały nad ziemią białe gładkie ściany domków rozsianych po polu. Czerwonawa, wąska droga traciła się przed nami, a z lewej i prawej krawędzi wybiegały setki bruzd prostych, niekończących się, symetrycznych.

— Michale — spytałem — co to za góry, które widać w głębi?

— Te góry — wyjaśnił Michał — to Villarubia.

Konik kłusuje zawzięcie, szerokie pola uciekają jednakowe, monotonne. Cała przestrzeń jest szarą, jednostajną równiną bez jednego pagórka, bez najmniejszego sfalowania. Gdzieś schowały się nagle uprawne zagony, na których zieleniały ponad bruzdami wczesna pszenica i jęczmień.

Teraz cała ziemia, jak sięgniesz okiem, rozciąga się szara, czarna, opuszczona.

— To — mówi Michał — jest l i e g o: w jednym roku się orze, w drugim sieje.

L i e g o znaczy tyle co odłóg. W pierwszym roku zasiewają ziemię, po zbiorze leży nieuprawna, w trzecim znowu się orze i znów — po roku — siew.

Tak więc tylko jedna trzecia ziemi jest zużytkowana na tym niezmiernym obszarze La Manczy. Zapuszczam wzrok w głąb jednostajnej płaszczyzny. Nigdzie nie dojrzysz jednego drzewka ni skrawka cienia. Miejscami, skupione lub samotne sterczą małe kamieniste stożki — to kopce graniczne.

Gdy w oddaleniu majaczą na szerokiej linii horyzontu, w całej tej beznadziei — bliski rozpaczy i odrazy — zdajesz się widzieć w nich domy. Czas mija, skiba goni za skibą, ta co uważaliśmy za osiedle przemienia się — przemienia się w kopce szarych kamieni. Ze szczytu kopca nieruchoma, tajemnicza, szyderska kukułka ogląda nas szeroko rozstawionymi oczami.

Jedziemy tak cztery godziny. Jest jedenasta — wyruszyliśmy o siódmej rano. Z tyłu — już niewidoczne — zostały zabudowania Argamasilli. Oczy rozróżniają tylko tuż nad ziemią czarny, delikatny, zwiewny zarys zarośli znad rzeki.

Przed nami trwa niezmiennie ustawiczna ucieczka dalekich gór w błękitną, coraz mocniejszą i ciemniejszą głąb horyzontu.

Tą drogą, tą równiną, o tej właśnie porze jechał w skwarze lipcowego południa rycerz smutnego oblicza.

Przebywał samotne pustkowie w upojeniu wielkiej ciszy. Chłonąc surowość krajobrazu dochodził do miłości wszechrzeczy wewnętrznie, głęboko. Rycerz bolesnej twarzy.

O czym że myślał dobrotliwy don Alonzo Quijano, gdy jechał przez te pola na Rosynancie puszczając wolno cugle, chyląc swą głowę szlachetną, tonąc w zamyśleniu i marzeniach? Jakie to były nieśmiertelne przedsięwzięcia?

Gdy, na wzór Rycerza z La Manczy, puszczam wodze wyobraźni, krajobraz odmienia się znacznie. Nie spodziewajcie się wiele — nie będzie dużej różnicy. Równina jest niezmienna i dal ta sama.

I niebo jest wciąż tym samym iskrzącym się niebem i horyzont tym co dawniej horyzontem z najeżoną górską granią. Jednak zjawiło się na polu trochę niskich rozłożystych czarniawych drzewin, które sieją krągłe plamy po nieprzyjaznym podłożu.

Dwunasta w południe. Kamieniste pole przed nami. W cieple rodzącej się wiosny drga wdzięczny zapach rozmarynu, tymianku i szałwi. Oto rozstaje — droga na Manzanares.

Czy nie w tym miejscu — czy nie na tym rozstaju spotkał Don Kiszot Juana Haldudo, sąsiada z Quintanaru? Czy nie z tego spotkania wynikła jedna z najgórniejszych przygód naszego rycerza?

Czyż nie przy tych to drzewach przywiązał nielitościwy panek Andrzejka, by go wychłostać okrutnie? Już Don Kiszot był pasowanym rycerzem. Już mógł ręce po łokcie zanurzyć w przygodzie. Był zadowolony, był zaspokojony. Czuł się mocny, czuł się pełen odwagi. A później, z powrotem w Argamasilli, po dokonaniu owego zadziwiającego czynu, myślał sobie: ,,Dokonałem wreszcie czegoś wielkiego!“ Tymczasem Juan Haldudo przywiązał chłopca powtórnie do dębu i wrócił do bezlitosnej chłosty. Wszystkie sprawy świata kryją w sobie tę głęboką i rozpaczliwą ironię.

Lecz chodźmy naszą drogą, czytelniku. Nie czas na smutek. Odległe szczyty rysują się już wyraźniej. Barwa stoków z jasnego błękitu przeszła w błękit szary.

Jakiś żuraw wolno, z namysłem krąży ponad nami. Gromada sojek ławicą wzbija się do lotu i oddala ze skrzekiem.

Niezwykła cudowna przejrzystość pozwala dojrzeć dalekie białe domeczki. Płaszczyzna jednak ciągnie się nadal, pustynna i monotonna. Po godzinach i godzinach wędrówki czujemy się zmiażdżeni, unicestwieni tą niezmienną równią, przeźroczystym niebem i nieosiągalną dalą. I łatwo nam pojąć, jak mógł narodzić się z tej ziemi Alonzo Quijano i jak duch jego wolny od więzów uleciał pełen zachwytu w regiony marzeń i chimery.

Jakże nie uczuć się też wolnym od wszystkiego? Jakże nie uczuć, że jakaś tajemnica, jakieś westchnienie niepojęte, jakiś nieokreślony niepokój powstaje w duszy.

Ów niepokój — owe westchnienie — to ta żółta i różowa równina, która bez jednego wzniesienia rozpłaszcza się pod niebem bez chmury, aż dotknie w niezmiernym swym ogromie błękitnej górskiej zasłony. To ten żuraw, który zawisając w powietrzu krążył nad nami. To te kamienne kopce zagubione w stepie. I te kukułki ironiczne i tajemnicze, które oglądały nas z ponad kopców.

Lecz mija czas — już druga po południu. Minęliśmy szybko Villartę. Białe osiedle o nasyconej, bez blasku, bieli z modrymi furtkami u domów.

Płaszczyzna traci swą desperacką monotonię. Teren wznosi się w łagodnym sfalowaniu. Ziemia jest ciemnoczerwona. Góry wydają się bliższe. Na stokach rozsiadają się oliwki. Jesteśmy już prawie na sławnej przełęczy. Puerta Lapiche jest wąskim przejściem utworzonym wskutek obniżenia się pasma. Nasz wózek turkoce po łagodnej wyniosłości. Umiera dzień. Białe domy osiedla wyrastają nagle. Wjeżdżamy — już piąta.

Jutro pójdziemy do sławnej oberży, gdzie Don Kiszot otrzymał rycerskie pasowanie.

I tutaj w domu zacnego Eugeniusza Masearaque, zamknąwszy się w małej izdebce bez okien, piszę — przy świeczce — te kartki.

Przełożyła *Anna Nikliborcowa*

DON FERNANDO
CZYLI WARIACJE NA TEMATY HISZPAŃSKIE

Rozdział 6

Zdaje się, że to Jerzy Borrow powiedział, że literatura hiszpańska nie dorasta do swego języka. Zdanie to jest słuszne. Język hiszpański jest instrumentem silnym, a delikatnym. Ma w sobie wspaniałość, która otwiera ogromne pole dla efektów retorycznych (okazję tę w pełni wykorzystywali hiszpańscy pisarze), i ma jasność, umożliwiającą posługiwanie się nim z doskonałą prostotą. Ma w sobie zwięzłość, którą z trudem przewyższa łacina.

Zdarzyło się, że pewien młodzieniec przyjechał do Grenady. Był w tym mieście po raz pierwszy w życiu. W noc swego przybycia, po kolacji, wyszedł na miasto, był bowiem zbyt podniecony, by móc wysiedzieć w domu. Wyszedłszy, jako że miał lat 24, być może również, że uważał takie postępowanie za stosowne w tej sytuacji, kazał się zaprowadzić do domu rozpusty. Wybrał sobie dziewczynę, z której potem pamiętał zaledwie tyle, że w bladej twarzy miała wielkie, zielone oczy. Uderzył go ich kolor, był to bowiem kolor, który starzy hiszpańscy poeci i bajarze zawsze nadawali swoim bohaterkom; ponieważ zaś jest to kolor, nader rzadko w Hiszpanii spotykany, komentatorzy orzekli, że pisarze, mówiąc o zielonych oczach, musieli mieć na myśli coś innego. Tu jednak właśnie takie się trafiły. Gdy dziewczyna zdjęła suknie, młodzieniec ze zdumieniem zobaczył, że była jeszcze dzieckiem.

— Wyglądasz tak młodo, a już przebywasz w takim miejscu — powiedział jej. — Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Co cię skłoniło, by tu przyjść?

— Hambre — odparła. — Głód.

Młody człowiek cierpiał niewątpliwie na zbyt wybujałą wrażliwość. Tragiczne słowo zraniło go głęboko. Dając jej pieniądze (a był ubogi i nie stać go było na wiele), powiedział jej, by się ubrała na nowo, wyzbywszy się całej namiętności, powoli poszedł do domu i ułożył na spoczynek.

W mniej lub więcej wiarogodnej autobiografii Alonsa de Contreras, który wszedł w życie, jako kuchcik, a skończył je, jako Rycerz Maltański, znajduje się pewien ustęp, który zawsze uważam za arcydzieło narracji i wzór doskonałego stylu. W pewnym okresie swej barwnej kariery, pojąwszy za żonę zamożną wdowę po jakimś sędzi, powziął podejrzenie, że go żona zdradza z jednym z jego najbliższych przyjaciół. Pewnego rana zdybał ich, splecionych uściskiem. „Murieron" — zapisał — „Zginęli". Tym jednym, ponurym słowem załatwia całą sprawę i przechodzi do spraw innych. Tak się powinno pisać.

W języku hiszpańskim mamy niezliczone mnóstwo zwrotów; one nadają mu dosadności. Używa on trybu łączącego w sposób bogatszy i bardziej skomplikowany, niż większość języków nowożytnych, dzięki temu mowa ta jest bardzo dystyngowana. Jest rzeczą uderzającą, a dla kogoś, kto jest na to wrażliwy, także i czarującą — słyszeć, jak zwykły wieśniak w trakcie rozmowy używa różnych form trybu łączącego wymienianych przez gramatykę, z nieomylnością płynącą wprost z drugiej natury. Język hiszpański brzmi bardziej szorstko, niż włoski; nie ma tej eufonicznej monotonii, która sprawia, że słuchanie włoskiego trochę nuży. Posiada za to rwącą, żywą bystrość, która przykuwa uwagę. Ma w sobie szlachetność i stateczność. Każda głoska się liczy, każda zgłoska ma swoją wartość. Lubię anegdotę, którą się opowiada o Karolu V-tym. Miał on jakoby rzec, że język niemiecki nadaje się najlepiej, by wołać na konie, francuski — by rozmawiać z dyplomatami, włoski — by przemawiać do kobiet, angielski — by wabić ptaki; ale w języku hiszpańskim najlepiej się zwracać do królów, władców i Boga.

Toteż z niemałym rozczarowaniem ten, kto studiuje

literaturę hiszpańską, przekonywa się powoli, że Hiszpania niewiele wydała dzieł, godnych instrumentu, jakim pisarze rozporządzali. W gramatyce hiszpańskiej spotykam ujmującą historyjkę. Ludwik XIV spytał raz jednego ze swych dworzan: „Znasz język hiszpański?“ — „Nie, Wasza Królewska Mość“ odrzekł dworzanin. „Ale się nauczę“. Wziął się do pracy, myślał bowiem, że król zamierza mianować go ambasadorem na dworze hiszpańskim. Po niejakim czasie rzekł królowi: „Wasza Królewska Mość, teraz już mówię po hiszpańsku“. — „To doskonale“ odparł król „będziesz mógł wobec tego przeczytać Don Kiszota w oryginale“.

Wielka to rzecz mieć tę możność. Jest to niezapomniane przeżycie; trzeba się jednak zgodzić na to, że prócz tego obcokrajowiec nie ma do czytania nic (chyba jeszcze tylko parę wierszy uroczego św. Jana od Krzyża), co by w jakikolwiek sposób mogło wzbogacić jego umysł. Rzecz w tym, że Hiszpanie nie są narodem wielkich intelektualistów. Ich wkład w ogromny masyw myśli, stanowiący dorobek naszego świata, jest zastanawiająco mały. Nie wydali z siebie ani filozofa, ani naukowca pierwszego rzędu. Z wyjątkiem ballad, cała ich poezja ma swe źródło we Włoszech. Ich wielcy mistycy zaczerpnęli pomysły z Niemiec i Niderlandów. Najinteligentniejszy z nich był św. Jan od Krzyża. Był to rzadki poeta, równie wdzięczny, jak Vaughan, równie porywający, jak George Herbert. W jego prozie ujawnia się charakter słodki i ujmujący, umysł jasny a bystry, ale przy tym i talent, który się nie odznacza ani wybitną głębią, ani szczególną oryginalnością.

Mam wrażenie, że pisarzy hiszpańskich krępował nie tylko brak talentu, lecz także pewna specjalna okoliczność. Wielkie dzieła ich literatury stworzyli nie zawodowi pisarze, tylko amatorzy. Byli to żołnierze, sterani wojaczką, emerytowani dyplomaci, duchowni, pragnący zabić wolny czas, doktorzy i urzędnicy państwowi. Jedyny większy pisarz, jakiego pamiętam, który pisanie uważał za swój zawód, to Lope de Vega. Cervantes, jak wiemy, pisał wtedy, gdy nie miał posady. I jest rzeczą wcale pewną, że gdyby był otrzymał któreś z tych stanowisk w Ameryce, o które się ubiegał, nie mielibyśmy Don Kiszota. Pisarz zawodowy,

to ten, który z pisania czyni główne zajęcie swego życia; dlatego musi to być także jego sposób zarobkowania, chyba że posiada jakiś majątek; ale bez względu na to, czy ktoś pobiera synekurę z cła, czy utrzymuje się z probostwa, czy z honorariów autorskich, na każdym miejscu zawodowiec jest lepszy od amatora. Nikt nie może temu zaprzeczyć w stosunku do wszelkich spraw natury praktycznej i tylko chyba ktoś bardzo nie roztropny wezwałby instalatora-amatora do załatania dziury w rurze wodociągowej. W muzyce, rzeźbie, czy malarstwie amatora traktuje się ze słusznym lekceważeniem. Rzecz zrozumiała, że po to, by skomponować utwór muzyczny lub wyrzeźbić posąg, trzeba się długo ćwiczyć i dobrze być obeznanym z techniką. Ponieważ jednak każdy się uczy pisać na tyle, by móc przelewać na papier w ten czy inny sposób to, co chce powiedzieć, uważa się, że byle kto potrafi napisać książkę. Twierdzi się, że każdy ma w sobie materiał na jedną książkę. Możliwe, że tak, ale jeśli się przez to chce powiedzieć, że każdy nosi w sobie materiał na jedną *dobrą* książkę, twierdzenie to jest fałszywe. Pisarzowi potrzeba równie doskonałego ćwiczenia, jak każdemu innemu artyście, a trudności techniki pisarskiej nie są mniejsze, niż jakiejkolwiek innej. Prawdą jest, że wielu zawodowych pisarzy pisze bardzo kiepsko, ale też wielu muzyków komponuje utwory ordynarne i pospolite, a wielu malarzy maluje złe obrazy. Jest prawdą również, że czasem amator napisze lepszą książkę, niż niejeden pisarz zawodowy. To jest właśnie słaby punkt mego dowodzenia. Ta czy inna książka, napisana przez kogoś, kto nigdy przed tym nie miał do czynienia z literaturą, albo kogoś, kto pisze tylko dla wytchnienia od innej pracy, może nieraz zawstydzić pisarza zawodowego. I wobec tego może się komuś zdawać, że ma prawo twierdzić, iż w rzeczach literatury amator i zawodowiec są sobie równi. Ci jednak, którzy za przykład stawiają Jane Austin, są w błędzie, gdyż pisanie było głównym zajęciem jej życia, a postępy, jakie czyniła w tej sztuce są najlepszym dowodem, że była pisarką zawodową. Jedynie szczęśliwa sytuacja materialna oszczędziła jej traktowania tego, jako środka zdobycia utrzymania. Jest jednak prawdą, że amator ma pewne przewagi, które mogą dodać czaru

jego dziełom. Wydarzenia z jego życia, mogą mu dostarczyć tematów, które same przez się są interesujące. Może mieć pociągającą świeżość. Jeśli ma charakter ujmujący albo niezwykły, brak doświadczenia może mu pozwolić ujawnić to z taką prostotą, że nada to dziełu rozkosznego smaku. Szczerość i wrodzona dystynkcja umożliwiają mu nieraz wiązanie słów w sposób jasny i elegancki. To jednak jest rzadkie. Pisać z prostotą jest równie trudno, jak być dobrym. Amator z reguły posługuje się retoryką. Posiada nieokiełznaną słabość dla słów ozdobnych i górnolotnych wyrażeń. Na dnie jego umysłu tkwią wszelkiego rodzaju literackie chwyty, które wprowadza w akcję, w przekonaniu, że wyglądają nader zręcznie. Nie potrafi nic powiedzieć wprost; musi wszystko omotać peryfrazą. Używa dwóch słów tam, gdzie by wystarczyło jedno. Nie posiądzie nigdy sztuki kreślenia. Nie wie, skąd zacząć, ani gdzie skończyć. Jest niewolnikiem każdego pomysłu, który mu przyjdzie do głowy, tak że odbiega od tematu ku pierwszemu lepszemu głupstwu, jakie się nadarzy. Ma zawsze bardzo długi oddech. Mogę powiedzieć, że trzema zasadniczymi składnikami dobrego pisania są: jasność, dźwięczność i prostota. Uszeregowałem je tutaj według ważności, jaką im przypisuję. Dobrze jest, by czytelnik wiedział dokładnie, co się chce powiedzieć, dobrze jest, by słowa pisarza wpadały mu przyjemnie w ucho; proste słownictwo jest bardzo pożądane, dobrze jest jednak być gotowym do poświęcenia go, jeżeli sens nie jest zbyt jasny; można też bez ujmy użyć słowa bardziej wyszukanego zamiast prostszego, jeśli tamto brzmi piękniej na tym miejscu. Otóż zdarza się bardzo rzadko, by te trzy cechy szczęśliwie były darem samej natury; najczęściej osiąga się je przez intensywne ćwiczenie i twardy trud. Jedynie praktyka może nauczyć pisarza trzymać się ściśle tematu, co jest pierwszą i zasadniczą regułą dobrej kompozycji i znowu jedynie dzięki praktyce pisarz może się nauczyć przedstawiać swój temat w sposób porządny, umiarkowany i treściwy. By to osiągnąć, musi traktować pisanie nie tylko jako główne, lecz nawet jako jedyne zajęcie swego życia. Nie często się zdarza, by amator napisał książkę o skończonej piękności. Ale najgorsze u amatora jest to, że nie jest zdolny do czy-

nienia postępów. Mądrze robi, jeśli pisze tylko jedną książkę. Ta bowiem może mieć niezwykłe zalety, ale łatwo się może zdarzyć, że wszystko inne, co napisze, będzie ich miało bardzo mało. W żadnym kraju nie spotyka się wielkiej literatury, która by nie miała autorów, obficie tworzących. Napisawszy jedną książkę człowiek nie jest jeszcze pisarzem. O tym decyduje tylko ogólna masa literackiego dorobku. Wartość poszczególnych dzieł nie bywa jednakowa. W okresie, gdy pisarz opanowuje technikę i rozwija swe zdolności, książki mają znaczenie doświadczalne; a jeżeli, jak większość pisarzy, bo to zdrowe zajęcie, żyje zbyt długo, jego ostatnie dzieła wykazują spadek poziomu, wywołany podeszłym wiekiem pisarza; jest też jednak i okres, w którym z całą doskonałością, na jaką go stać, tworzy to, co nakaz wewnętrzny każe mu tworzyć. Bo talent nie jest czymś stałym i bezwzględnym. Talent, niech mi będzie wolno powiedzieć, składa się z dwóch czynników: polega on na naturalnej zdolności twórczej, która w pewnej mierze jest wspólna wszystkim młodym ludziom. (Niezliczone mnóstwo młodzieży posiada łatwość pisania i są to cudowni epistolarze, prowadzą nieraz obszerne pamiętniki; a jeśli łatwość ta osiągnie pewien szerszy zasięg, ale nic ponadto, zostają oni dziennikarzami, krytykami, profesorami literatury itd.). Druga rzecz, to pogląd na życie, właściwy każdemu pisarzowi. Gdy te dwa czynniki występują razem, mamy do czynienia z talentem. Ten odrębny pogląd na świat trafi do pewnej liczby ludzi, czy to przez swą niezwykłość, która podnieci ich ciekawość, czy dlatego, że jest podobny do ich poglądu; wtedy pisarz pozyska sobie czytelników, a ci będą go uważać za diablo zdolnego człowieka. Czasami trafia się ktoś, u kogo łatwość pisania osiąga wręcz niezwykły poziom, co się łączy z poglądem na życie, który jest nie tylko właściwy pisarzowi, ale ponadto trafia do wszystkich ludzi; wtedy mówi się o pisarzu, że to geniusz. Obecnie słowa tego używa się pochopnie, ja zaś powiedziałbym, że taki człowiek zjawia się nie częściej, jak dwa lub trzy razy w ciągu wieku.

Jeśli na tym właśnie polega talent, jasne jest, że pisarz zawodowy ma przewagę nad amatorem. Bo z pewnością ćwiczeniem i nauką można ulepszyć w sobie zdolność

pisania, podczas gdy wśród doświadczeń i niebezpieczeństw życia można rozwinąć ten własny pogląd, który moim zdaniem jest ważnym składnikiem talentu. Pisarz ma talent sam ze siebie, ale w młodości jest tym sobą w sposób niepewny i nieśmiały. Wtedy dopiero, gdy przez obojętność lub upartą odwagę wyzwoli się z bieżących przesądów, które go zewsząd osaczają, wyrabia w sobie swoje własne spojrzenie na świat.

Ogółem wziąwszy, usterki, które się znajduje u pisarzy hiszpańskich, są to usterki, jakich można się spodziewać po amatorach. Piszą sobie dla rozrywki, albo dlatego, że nie osiągnąwszy powodzenia w swym zasadniczym powołaniu, cierpią na brak pieniędzy. Konceptyzm i gongoryzm, które toczyły literaturę hiszpańską przez dużą część stulecia, są to swawolne igraszki dyletantów. Poświęcano zdrowy rozsądek, by się silić na dowcip. Autorzy zapraszali cię, byś się ogrzał przy fajerwerkach i byś sporządził sobie obiad ze skowrończych języczków. (Konceptyzm — to gonitwa za błyskotliwymi i jałowymi konceptami, które gongoryzm wyraża mętnym słownictwem i napuszonym stylem, pełnym sztucznych antytez. Konceptyzm jest tym dla myśli, czym gongoryzm jest dla środków wyrazu). Hiszpańska literatura nie posiada zbyt potężnej wyobraźni, gdyż wyobraźnia jest właściwością, którą się wyrabia ćwiczeniem; najwyższych jej poziomów nie osiąga się jednym skokiem. Nie jest to literatura wyrobionej siły, tylko błyskotliwych początków. Nie łatwo w niej znaleźć dzieła, które by się trzymały śmiałej i zdecydowanej linii od początku do końca. Potrzeba głębszej, niż mieli hiszpańscy autorzy wiedzy, szerszego doświadczenia i trochę solidniejszej techniki, by stworzyć dzieło skończone, w którym by poszczególne elementy zajmowały właściwą pozycję w stosunku do całości. Doskonałość jak wiemy jest nieosiągalna, myślę jednak, że żadnemu pisarzowi obdarzonemu takimi zdolnościami, nie było do niej tak daleko, jak pisarzom hiszpańskim.

„Don Kiszot“ jest wielkim dziełem. Trudno było by znaleźć drugie o równej wartości (jest to jedyne dzieło hiszpańskie, którego pozycja w literaturze światowej jest zupełnie pewna), a w którym by było równie wiele ra-

żących błędów. Omawiania tak znakomitej książki podejmuję się tylko dlatego, że zauważyłem, iż przeważnie wszystkie wzmianki o niej w literaturze dzisiejszej odnoszą się do incydentów, które pojawiają się w pierwszych ośmiu czy dziesięciu rozdziałach. Wnioskuję z tego, że niewielu ludzi przeczytało więcej. A szkoda, bo dalsza część tej książki zawiera wiele godnych uwagi rzeczy. Cervantes, żołnierz, jeniec, poborca podatkowy, ptaszek w klatce, karierowicz i sutener był typowym amatorem. „Don Kiszot", jak wiemy, był początkowo zakrojony na nowelkę (rodzaj, który był bardzo modny w ciągu złotego wieku) i dopiero ponoć powodzenie, jakie sobie zdobył wśród słuchaczy, którym Cervantes go przeczytał, skłoniło autora do zrobienia z niego powieści. Zgodnie ze zwyczajem ówczesnym, cały jest popstrzony osobnymi nowelkami. Wszystkie są bardzo głupie. Krytycy je wyśmiewali, toteż w drugiej części, choć są niemniej fantastyczne i absurdalne, są jakoś naturalniej wcielone w dzieło. Wymądrzania się Sanczo Pansy, które z początku tak swobodnie padają z jego ust, są później nagromadzone jedne na drugich w sposób tak ekstrawagancki, że się stają nużące. Cervantes popadł w zwykły błąd amatora, który dorwawszy się dobrej rzeczy, pastwi się nad nią, bez żadnego umiarkowania. Fortele, które głównie popychają akcję drugiej części, są bardzo niezdarne. Cervantes pisze tę część tak, jak gdyby wiele osób, z którymi nasz rycerz się zetknął w czasie swej ostatniej podróży, czytało już przed tym pierwszą część powieści. Wydaje mi się, że w ten sposób pozbawił drugą część wszelkiej szczerości. Nie prosi się już czytelnika, by wierzył w to, co czyta. Ostatnie rozdziały są sfuszerowane. Ale największy błąd, który musi dotknąć uczuć każdego wrażliwego człowieka, polega na tym, że Cervantes tak kiepsko rozumiał charakter swego bohatera, że aż kazał mu zrobić coś, czego tamten żadną miarą zrobić nie mógł. Mówi nam mianowicie, że Don Kiszot na łożu śmierci wyznał, iż zmyślił sobie swe przygody w jaskini Montesinos. Każdy wie, że Don Kiszot był zdolny jedynie do powiedzenia czegoś, w co wierzył bez zastrzeżeń. Gdy Cervantes kazał mu się przyznać do kłamstwa, oczernił swego bohatera, a siebie samego ośmieszył.

Nie muszę tu chyba mówić o zaletach Don Kiszota. Błyszczą bowiem, jak słońce w południe. Don Kiszot jest najbardziej ludzką i najsympatyczniejszą postacią, jaką kiedykolwiek myśl nasza stworzyła. Kocha się go z czułością, którą niestety rzadko można mieć dla stworzeń z krwi i kości. Rycerz i jego giermek osiągnęli nieśmiertelność. Za jedną rzecz należy się słuszna pochwała potomnym: za to mianowicie, że patrzą przez palce na usterki wielkości. Opinię współczesną więcej obchodzą błędy pisarza, niż jego zalety, ale potomność patrzy na całość jego dzieła i bardzo rozsądnie zapatruje się na błędy, wiedząc, że jest to nieunikniona cena, którą się musi zapłacić za świetność.

Nie zamierzam tu jednak pisać rozprawy o literaturze hiszpańskiej; jeśli to, co właśnie napisałem, wyda się czytelnikowi nudne, proszę, by mi wybaczył; chodzi mi tylko o pewnych pisarzy, których przestudiowałem w specjalnym celu. Dodam tylko, że hiszpańska literatura oczywiście ma wiele zalet. Jeżeli wykazałem tutaj, że są to zalety amatorskie, czyniłem to w dydaktycznym zamiarze uwydatnienia faktu (dla dobra mych kolegów piszących), że w literaturze, tak samo jak w innych dziedzinach estetyki, łatwiej jest sięgnąć do poziomu sztuki, gdy się ją traktuje, jak zajęcie zawodowe. Literatura hiszpańska jest samorodna. Jest niezwykła. Ma w sobie smak ziemi. Jest doskonałym odbiciem tych ludzi brutalnych, dzielnych, namiętnych, idealizujących, światowych, wesołych, okrutnych i ludzkich, którzy podbili kontynent i odkryli nowy świat.

Można by myśleć, że czytanie powieści pikarejskich jest najrozkoszniejszym zajęciem pod słońcem; wtedy zwłaszcza, gdy kogoś interesuje nie tylko samo opowiadanie i rozmaite typy, biorące w nim udział, lecz także i szczegóły zwyczajów i obyczajów epoki (przy tym zawsze istnieje prawdopodobieństwo znalezienia tam incydentu, z którego, idąc za przykładem wielu innych pisarzy, można by zrobić dobry użytek). Ale przeciwnie, jest to na ogół dość ponure zajęcie.

Nie jest bynajmniej mym celem kształcić czytelnika, mam dość roboty z kształceniem samego siebie, ale mimochodem mogę zaznaczyć, że powieść pikarejska jest to powieść, której postaci zaczerpnięte są z mętów społecznych

i której bohater żyje ze swego sprytu. Pisana jest zazwyczaj w pierwszej osobie. Klasycznym typem takiego bohatera jest służący, który jada chleb z coraz to nowego pieca. Jest to oczywiście bardzo wygodny sposób przeprowadzania go przez najrozmaitsze przygody i pokazania różnorodnych warunków życia. Jest to najcharakterystyczniejsza postać literatury hiszpańskiej. Jej rozległy wpływ odczuwało się głównie w Anglii i gdyby nie ona, powieści Defoe'go, Fieldinga, Smolleta i Karola Dickensa na pewno wyglądałyby całkiem inaczej. Mówi się często, że powieść pikarejska została wynaleziona w Hiszpanii i z pewnością żadna z pikarejskich powieści nie zyskała sobie w Europie takiego powodzenia, jak hiszpańska. O ile jednak wiem, Hiszpanie nigdy niczego nie wynaleźli i mam wrażenie, że zainteresowani mogli by bez większego trudu wyprowadzić tę formę ze „Złotego Osła" Apulejusza, z „Satyr" Petroniusza i dialogów Lukiana. To jednak nie ma wielkiego znaczenia. Jest to przeciwieństwo romansów rycerskich, które, jak wiemy, przez długi czas cieszyły się w Hiszpanii niebywałym powodzeniem i odpowiada tej drugiej połowie duszy hiszpańskiej, tej połowie drwiąco-realistycznej, która tak dziwnie współżyje ramię przy ramieniu z połową mistyczno-idealistyczną.

Najlepszą z tych powieści, wykreśliwszy „Gil Blasa", którego napisał Francuz, jest pierwsza i najkrótsza. Jej powodzenie zdobyło tej formie stałą pozycję w łaskach publiczności. Jest to nowela „Lazarillo de Tormes". Historycy literatury twierdzą, że stało się to dzięki przemianie stosunków społecznych, ruinie handlu, przemysłu i rolnictwa oraz centralizacji władzy w stolicy, która ściągała ku sobie awanturników wszelkiego pokroju. Teraz jednak nie pisze się powieści z takich powodów. Przynajmniej nie takie, które by się dało czytać i bardzo wątpię, czy się pisało w XVI-tym wieku. Krytykom nigdy na myśl nie przychodzi, że pisarz może pisać dla zabawy. Ja bym zaś sądził, że autor, czy by to był mnich, Juan de Ortega, czy też emerytowany dyplomata, Diego de Mendoza, znając swych klasyków i zaznajomiwszy się dobrze z „Celestyną" arcybiskupa z Hita, pomyślał sobie, że byłoby zabawnie napisać autobiografię młodego gałgana i powziąwszy dobry pomysł,

zrobił to, co pisarze robią w takich okolicznościach, to znaczy — przelał go na papier. Był humorystą i to dało mu możność wypowiedzenia wielu ostrych słów na temat mnichów i księży. Książeczka ta nie jest dłuższa od „Podróży sentymentalnej" Sterne'a. Opisuje w niej narodziny i dzieciństwo *picaroona,* jego służby u różnych panów, takich, jak ślepy żebrak, ksiądz, szlachcic, żebrzący mnich, sprzedawca odpustów, proboszcz i żandarm. Opuszcza go, jako miejskiego obwoływacza i grzecznego męża kochanki archidiakona. Wypadki następują po sobie tak szybko, że czytelnik trwa w nieustannym napięciu. W szlachcicu, któremu Lazarillo służył w Toledo, autor bardzo zręcznie przedstawił po raz pierwszy typ dumnego, przymierającego głodem, pełnego godności i melancholii pana, który swym humorem i patosem trafił do serc rodaków. Trudno byłoby zliczyć, ile razy typ ten pojawia się potem na kartach książek, czy na deskach sceny.

Lazarillo, wędrując o głodzie ulicami Toledo, napotkał możnie wyglądającego pana, który stąpał dumnym krokiem. Pan ten spojrzał na niego.

— Chłopcze, azali poszukujesz służby?

— Chciałbym nade wszystko znaleźć dobrego pana, Wasza Łaskawość.

— Pójdź więc za mną. Bóg zesłał na cię dobry los; dozwolił ci mnie spotkać. Widać modliłeś się dzisiaj pobożnie.

Pan zaprowadził go do domu, ale ściany były tam nagie i nie było ani krzesła, ani stołka, ani stołu, ani nawet skrzyni, tak że można by rzec, iż dom ten nie był zamieszkały. Niebawem pan spytał Lazarilla, czy jadł już obiad.

— Nie, Wasza Łaskawość, bo nie było jeszcze ósmej godziny, kiedym spotkał Waszą Łaskawość dziś rano.

— Chociaż to było tak wcześnie, ja byłem już po śniadaniu, ilekroć zaś zjem rano śniadanie, nie jem już nic aż do nocy, zajmij się przeto czymkolwiek przez ten czas, a wynagrodzimy to sobie przy kolacji.

Lazarillo, zaskoczony, ukrył się za drzwiami, gdzie wyciągnął z zanadrza parę kawałków chleba, które ktoś litościwy dał mu był dwa dni temu. Lecz pan to zobaczył.

— Chodźno tu, chłopcze — rzekł — co masz do jedzenia?

Lazarillo pokazał mu chleb, a pan wziął w rękę kawa-

łek. — Na mą duszę, zdaje się, że ten chleb jest dobry i smakowity! — zawołał.

Kolacja nie pojawiła się wcale, i następnego dnia Lazarillo poszedł po prośbie od drzwi do drzwi. Gdy wrócił do domu ze swą zdobyczą, na którą prócz chleba składały się jeszcze flaki i cielęce nóżki, zastał czekającego nań pana.

— Czekałem na ciebie z obiadem — rzekł łagodnie — a ponieważ nie mogłem się doczekać, zjadłem obiad sam.

Chłopiec zabrał się do swego jedzenia, pan zaś nie spuszczał zeń zgłodniałego wzroku. Wobec tego Lazarillo się odezwał:

— Wasza Łaskawość, to jedzenie jest wyborne; chleb smakuje wyśmienicie, a te cielęce nóżki są tak dobrze uwarzone i tak czysto przyrządzone, że mogłyby każdego zachęcić do jedzenia.

— Co to takiego? Cielęce nóżki?

— Tak jest, Wasza Łaskawość.

— Powiem ci, że jest to najlepszy kęsek na świecie. Żaden bażant tak by mi nie smakował.

— Upraszam więc Waszą Łaskawość, by zechciał tego dowieść i spróbował większy kawałek.

Chłopiec dał mu cielęce nóżki z paroma kawałkami najbielszego chleba, jaki miał, zaczym pan przysiadł się do niego i zaczął jeść, tak jak je ktoś, kto bardzo już tego potrzebuje, gryząc każdą najmniejszą kostkę lepiej, niżby to zrobił jakikolwiek brytan podwórzowy.

Szlachcic ów miał kawał ziemi, który, gdyby na nim stał wielki dwór, byłby wart wiele pieniędzy; miał też gołębnik, który, gdyby nie był w ruinie, przynosiłby mu ponad 200 gołębi rocznie. Porzucił jedno i drugie, jako rzeczy, które urażały jego honor. Czyż razu jednego nie pobił niemal pewnego rzemieślnika, który przy spotkaniu pozdrowił go słowami: „Niech Bóg błogosławi Waszą Miłość"? Człowiek tego stanu winien był pozdrawiać rycerza czy szlachcica, mówiąc: „Całuję ręce Waszej Miłości". On zaś nie zniósłby, żeby ktokolwiek, z wyjątkiem może samego króla mówił mu: „Niech Bóg błogosławi Waszą Miłość". Przybył do Toledo, by zostać dworzaninem któregoś z wielkich magnatów. Przymierał głodem, ale poddany był tylko

Bogu i księciu. Utrzymywał swój honor w stanie nieskalanym, a to wszak było jedyną ostoją szlachetnie urodzonego człowieka.

Zbudziwszy się rano, kazał sobie wyczyścić spodnie, kaftan i płaszcz; Lazarillo podał mu wodę do umycia rąk; pan uczesał się i biorąc szpadę, ucałował jej rękojeść.

— Mój chłopcze — rzekł — gdybyś tylko wiedział, co to jest za ostrze, zdumiałbyś się. Nie sprzedałbym go za żadne złoto, bo Antonio żadnej ze swych szpad, choć robił ich tak wiele, nie potrafił nadać takiego hartu, jaki nadał tej właśnie.

Dobył ją z pochwy i badał palcami jej ostrze.

— Widzisz je? Mógłbym nim pociąć na drobne kawałeczki cały worek wełny.

Potem, schowawszy szpadę, powiesił ją sobie u pasa i niedbałym krokiem wyszedł z domu.

Trzymał się prosto, to zarzucając połę płaszcza przez ramię, to biorąc ją pod rękę, prawą dłonią ciągle wsparty w bok. Poszedł ulicą tak pański w postawie i dostojny w ruchach, że można było mniemać, iż jest to jakiś bliski krewny Wielkiego Władcy Hiszpanii. Kto by przypuścił, że tak możny pan przez cały poprzedni dzień nie jadł nic prócz kawałka chleba, który jego służka, Lazarillo trzymał w zanadrzu przez cały dzień i całą noc? Poszedł do miejskiego ogrodu, nad sadzawkę, gdzie zaczął żartować z pięknymi paniami, zmyślając i wynajdując opowiadania o najrozmaitszych czynach walecznych i deklamując więcej miłych i słodkich słówek, niż kiedykolwiek napisał Owidiusz. A kiedy Lazarillo nic nie mógł użebrać i pan jego nie miał ani kęsa do zjedzenia, i tak przezwyciężał tę przykrość, stąpając swym zwykłym dumnym krokiem, a wróciwszy do domu, stawał we drzwiach i dla honoru czyścił sobie zęby źdźbłem słomy, by wszystkim pokazać, że dopiero co zjadł wystawny obiad.

Chociaż głód szarpał mu wnętrzności, rozpacz nie mogła zgnębić jego odwagi. Szlachcic i człowiek honoru z pogardą stawiał czoło przeciwnościom. Hiszpanie z łezką i uśmiechem rozpoznali w nim prawdziwego Kastylczyka. Takim to, jak on, zawdzięczali swą wielkość i upadek. Kochał go nawet nygus, który mu służył. Czuł dlań litość

za całe jego cierpienie, które dane mu było oglądać i pomimo jego fantastycznej dumy był rad, że go ma za pana.

Tego rodzaju czułości nie spotyka się gdzie indziej w powieściach pikarejskich. Dają one jedynie monotonny pokaz nędznych forteli, drobnych sztuczek złodziejskich i wulgarnych żarcików. Najpopularniejsza z nich nosiła tytuł ,,Guzmán de Alfarache". Krytycy przeważnie mówią o niej jako o dziele nieskończenie nudnym; wiem jednak, że mój ulubiony Harlitt wielce się nim delektował i chwalił je jako piękne pomieszanie żartobliwości z poważnym moralizowaniem. Dowcipny i błyskotliwy Jezuita Baltazar Grazián miał jakoby nosić tę książkę stale przy sobie, zarówno ze względu na jej zabawność, jak i na jej doskonały styl. Zabierałem się do niej z zaciekawieniem. O stylu cudzoziemiec może mówić raczej niepewnie, ale nawet cudzoziemiec spostrzeże, że jest on prosty, niewymuszony i żywy. Ma w sobie chłód i powściągliwość, których się nie znajdzie w literaturze angielskiej, póki się ich wreszcie, o całe stulecie później Dryden nie nauczył od Francuzów. Jeżeli dobre pisanie ma być podobne do wymowy dobrze wychowanego człowieka, dzieło jest rzeczywiście naprawdę świetnie napisane. Jednakowoż żadna akademicka krytyka nie jest w stanie przedstawić dość dosadnie nudy tego tematu. Nie zdaje mi się, by było w ludzkiej mocy przeczytać książkę w całości. Bohater jest kolejno kuchcikiem, tragarzem, galantem żołnierzem, żebrakiem, paziem kardynała i rajfurem ambasadora, kupcem, studentem i wreszcie galernikiem. Po każdej z jego przygód następuje długa rozprawa moralizatorska i dziwna rzecz, tym właśnie nieznośnym homiliom książka zawdzięczała swą olbrzymią sławę wśród ówczesnych czytelników. Pełno w niej osobnych nowelek, a z tych jedna o Dorydzie i Klorynii ma w sobie ponurą brutalność, która jest nawet wcale przejmująca. Oczywiście można opuszczać nowelki i morały i czytać same przygody. Ale są bardzo nudne. Mowa tam tylko o drobnych kradzieżach, oszustwach karcianych, bestialsko realistycznych żartach i ordynarnych podstępach. Wykazują opłakany brak inwencji. Żadna też z licznych występujących postaci nie jest żywa. Tę wadę ,,Guzmán de Alfarache" podziela z wszystkimi powieściami pikarejskimi. Są one pisane, jak to już

mówiłem, w pierwszej osobie, doświadczenie zaś wykazało, że jest prawie niemożliwością uczynić narratora swej własnej historii kimś wyraźnym i namacalnym. Nawet Le Sage, chociaż niemało jego ubocznych postaci jest ostro zarysowanych, z samego Gil Blasa zrobił jakiś twór pozbawiony kręgosłupa. Guzmán nie o wiele przerasta pospolitego złodziejaszka kieszonkowego. Pełen pomysłowości Raffles spojrzałby z pogardą na jego nędzne oszustwa i pokątne rabunki, a Sherlok Holmes nie traciłby nawet cennego czasu, by stawić przed sądem tak marnego łotrzyka. Edgar Wallace jest lepszy od wszystkich pikarejskich pisarzy razem wziętych. Nie tylko dlatego, że się zajmuje zbrodniami o większej skali, ale wykazuje prócz tego żywość inwencji, zdolność wytwarzania niepewności, odczucie malowniczości życia, do których żaden z tamtych nawet się nie zbliżył. Nie było by rzeczą tak bardzo zastanawiającą, gdyby krytycy przyszłości pominęli wszystkie poważne powieści naszej doby na rzecz powieści detektywistycznych i wykazywali w historiach literatury różnorodność postaci u Edgara Wallace i bystrość jego dialogów. To się właśnie przytrafiło tym hiszpańskim pisarzom, bo wtedy, gdy powstawały powieści pikarejskie, pisano również powieści poważniejszej natury z wyraźną pretensją do dzieł sztuki. Takie np. jak „Diana Enamorada" Gil Polo'a, „Galatea" Cervantesa, „Arkadio" Lope de Vegi i Bóg wie, co jeszcze. O jednej z nich wikary w „Don Kiszocie" powiedział, że jest to jedna z najgłupszych książek, jakie kiedykolwiek napisano, a krytycy zgodnym chórem orzekli, że się nie nadaje do czytania.

W ciągu całej hultajskiej kariery Guzmána de Alfarache jest jedno tylko przedsięwzięcie, które mogłoby dać satysfakcję bezinteresownemu miłośnikowi występku. Guzmán był nieślubnym synem pewnego zbankrutowanego Genueńczyka, osiadłego w Sewilli. Przybywszy po raz pierwszy do Genui, obszarpany chłopak zgłosił się jako krewny do brata swego ojca. W prostolinijnym mniemaniu, wspólnym hultajom wszystkich wieków, że chociaż on swych bliźnich traktuje źle, bliźni mają go traktować dobrze, poczuł się wielce obrażony, gdy stryj nie chciał go uznać swym krewnym. 8 lat minęło i młody dopiero postanowił wyrównać z nim rachunek. Stawszy się w Mediolanie właściciel-

lem pokaźnej sumy pieniędzy, wyruszył do Genui. Tam podał się za Don Juana de Guzmán, urodzonego i zamieszkałego w Sewilli. Rodzina jego ojca nie rozpoznawszy w tym pięknym panu obdartusa, którego ongiś wypędziła z miasta, przyjęła go chętnie ze względu na bogactwa, których się po nim spodziewali i na wpływowe znajomości, którymi się chełpił. Czas spędzał na biesiadach w towarzystwie pięknych dam. Był hojny. By utrzymać przy sobie bogatego młodzieńca, posunęli się tak daleko, że zaproponowali mu małżeństwo z panną bez majątku, lecz o wielkich zaletach. Grał w karty ze swymi gośćmi, pozwalając im wygrać, kiedy się mu podobało, utrzymywał jednak przewagę dobrze po swojej stronie; ponieważ talent, za który najbardziej się cenił, pozwalał mu tak zręcznie manipulować kartami, że stać go było na zupełną obojętność dla szczęścia w grze. Zaprzyjaźnił się z kapitanem pewnej galery i nabajdurzywszy mu pięknie o jakimś afroncie, który musiał pomścić, a który narzucał mu konieczność potajemnego wyjazdu z Genui, umówił się z nim na przejazd morzem do Hiszpanii. Gdy ustalono datę wyruszenia na morze, wziął się natychmiast do dzieła. Chyłkiem przeniósł swe własne rzeczy na galerę i kupił kufry, które napełnił kamieniami. Dwa z nich złożył u swego stryja w depozycie pod pozorem, że zawierają wielkiej wartości nakrycia srebrne i klejnoty. Dwa pozostałe pozostawił w zajeździe, by wzbudzić zaufanie w swym gospodarzu. Miał również dwa łańcuchy, jeden złoty, a drugi miedziany, wyglądające identycznie; podszedłszy zręcznie swego stryja zdołał go namówić na pożyczkę sześciu tysięcy dukatów, dając mu w zastaw fałszywy łańcuch, miast prawdziwego. Ogłosił również, że się niezwłocznie żeni z ową biedną, a szlachetnie urodzoną panną, z którą go swatano, wobec czego znajomi obsypali go tak kosztownymi prezentami, że, jak sam wyznaje, niemalże wstyd mu było je przyjmować. Przeniósł je również na galerę. Zaaranżował wreszcie ostatnią partię kart, przy której końcu wszystkie pieniądze przyjaciół znalazły się w jego kieszeni. Poszedł na pokład, a rankiem, z całym swym łupem, był już daleko na morzu.

Ponieważ ludzie, których obrabował, są tam równie nikczemni, jak i oszust, czytelnik doznaje niezamąconej li-

tością satysfakcji, że śmiały podstęp został uwieńczony pełnym sukcesem.

Od tej nudnej książki człowiek z ulgą przechodzi do „Życia Marka de Obregón“ Wincentego Espinela. Była to pewna nowość w powieściach pikarejskich, była to bowiem powieść autobiograficzna. Życie Espinela jest już samo w sobie pikarejską powieścią i napisanie tej książki było właściwie opowiedzeniem własnych swych przeżyć.

Urodził się w omiatanym przez wichry mieście Ronda. Dziadek jego, mieszkaniec Santillany (rodzinnej miejscowości Gil Blasa) brał udział w zdobyciu Grenady i Katoliccy Królowie obdarzyli go za to ziemią. Espinel nauczył się gramatyki łacińskiej i teorii muzyki i w wieku lat dwudziestu wyruszył z domu, by kontynuować studia uniwersyteckie w Salamance. Przebywał tam już dwa lata, gdy uniwersytet zamknięto z powodu zajść związanych z procesem Ludwika de León; wrócił więc z braku pieniędzy wędrując pieszo do swego rodzinnego miasta; tutaj krewni znaleźli mu kapelanię i zrobili go kapelanem. Dostarczyło mu to funduszów, potrzebnych na powrót do Salamanki. Był poetą i muzykiem i to dało mu możność wejścia w towarzystwo ludzi z urodzeniem i literatów tego miasta. Ale pragnienie sławy kazało mu jeszcze raz porzucić studia. Zaciągnął się do floty, którą w tym czasie gromadzono w Santander. Ale wybuchnęła zaraza i flota nie mogła wypłynąć na morze. Espinel dostał się do Velladolid, gdzie wstąpił do służby u Księcia de Lemos. Znużyły go cztery lata tego spokojnego żywota, wyruszył więc do Sewilli, by się przyłączyć do ekspedycji mającej jechać do Afryki, która się skończyła porażką i śmiercią romantycznego króla Sebastiana Portugalskiego. Na szczęście przyjechał za późno.

Przez rok zarabiał w Sewilli na życie pisaniem sprośnych wierszyków i graniem na gitarze po tawernach i domach rozpusty. Potem popłynął do Włoch. Wylądowawszy na wyspie Cabrera, by odnowić zapas wody dla statku, został wraz ze swymi towarzyszami zagarnięty przez piratów, zawieziony do Algieru i sprzedany w niewolę pewnemu renegatowi. Został przykuty do wiosła na galerze, galerę po licznych przygodach pojmali Genueńczycy; zwolniony, wylądował w Genui. Stąd obdarzony pieniędzmi i koniem, wy-

ruszył do Flandrii, gdzie się zaciągnął do armii Aleksandra Farnese i brał udział w oblężeniu Maastrichtu. Zaprzyjaźniwszy się z Don Fernandem de Toledo, wrócił wraz z nim do Włoch. Pod jego protekcją przebywał tam trzy lata, pisząc wiersze i ucząc się muzyki, zwiedzał miasta tego pięknego kraju, a potem, gdy jego zdrowie nie było już w tym stanie, co dawniej, gdy młodość minęła, zaczął myśleć o tym, że teraz przystało by mu żyć jakoś spokojniej; wrócił do Hiszpanii, dostał święcenia kapłańskie i osiadł w Ronda, by spędzić resztę swych lat w statecznej spokojności. Wydał swe wiersze i opracował tłumaczenie „Sztuki rymotwórczej" Horacego. Ale Wincenty Espinel był człowiekiem, którego namiętnością była muzyka i rozkoszna sztuka prowadzenia rozmowy. W Ronda nie było nikogo, do kogo mógłby mówić. Jej mieszkańcy zajęci byli wyłącznie pogodą i zbiorami. Wiersze jego stają się melancholijne. Skarży się, że ludzie źle o nim mówią. Wkrótce przeniósł się do Madrytu. Tutaj, przez znajomość otrzymał dochodową kapelanię przy królewskim szpitalu w Ronda, lecz niewielką miał ochotę wyjeżdżać ze stolicy, mianował więc swego zastępcę, który miał pełnić jego obowiązki kapelańskie. Władze w Ronda wniosły skargę. Nie zważając na jego protesty, rozkaz królewski zmusił go do pełnienia obowiązków osobiście. Spędził w Ronda trzy nieszczęśliwe lata. Mieszkańcy miasta zarzucali mu, zapewne słusznie, złe prowadzenie się i wyuzdane życie; wreszcie wyznaczywszy nowego następcę, powrócił do Madrytu. Ukończył studia humanistyczne w Alcalá i biskup Plasencji mianował go swym kapelanem i kapelmistrzem. Zapłata była hojna, osiadł więc na dobre w stolicy.

Zyskał sobie sławę. Dodał piątą strunę do gitary, a współcześni przypisują mu wynalezienie stancy, która od niego nosi nazwę Espinela. (Dla tych, których interesują te sprawy, mogę nadmienić nawiasem, że wzór jej jest następujący: a, b, b, a, a, c, c, d, d, c). Przyjaźnił się z Cervantesem i Lope de Vegą. Na literackich zebraniach był ważną osobistością. Pisarze przynosili mu swe utwory do oceny. W ten przyjemny sposób spędził ostatnie 25 lat życia. W swej szalonej młodości, jak pisał, miał niewiele cnót, a wiele wad, nie zawsze się trzymał prawideł umiarkowania, zażywał przyjemności stołu i głęboko zaglądał do kieliszka,

wiele też radosnych ofiar złożył na ołtarzu cypryjskiej bogini. Mówiąc po prostu, lubił dobrze zjeść i wypić i kochał, ilekroć mu się trafiła okazja. Wspominając minione rozkosze i żywiąc nadzieję, jak mówi, że jego doświadczenia będą dla innych dobrą nauczką, napisał powieść, którą zatytułował „Vida de Marcós de Obregón". Pierwszy raz wydano ją w 1618 r., gdy jej autor doszedł do szanownego wieku lat sześćdziesięciu sześciu.

Cel jego był dydaktyczny, lecz moralne rozważania są tam na ogół krótkie; karcił też grzech z pobłażliwością kogoś, kto dobrze zna świat. Wady ludzkie przypisywał błędnym sądom. Marcós de Obregón nie jest gałganem, który by swoje łotrostwa opowiadał z lubością, lecz obserwatorem, który bierze życie takim, jakie jest. Nie porusza się wyłącznie wśród mętów społecznych, styka się również ze szlachtą, literatami i muzykami. Nie można się oprzeć wrażeniu, że Wincenty Espinel był czarującym, miłym, odważnym i wrażliwym człowiekiem. Był dowcipny i cieszył się życiem.

Jest w tej książce jeden epizod naprawdę wzruszający. Gdy Espinel (bo wszak o sobie samym pisał, pod imieniem Marca de Obregón) został zagarnięty przez Genueńczyków na algierskiej galerze, wzięli go za renegata, zakuli go w kajdany, obili kijami i powiedzieli, że go powieszą, jak tylko dopłyną do Genui. Gdy go chłostali, zawołał: „I mówią, że w Genui nie ma drzewa! Ale dla mnie go jeszcze starczyło". Dwaj muzycy, którzy stali obok, usłyszeli to powiedzenie i wybuchnęli śmiechem. Jednego z nich znał doskonale, ale się wstydził przyznać, kim jest. Admirał jednak wydał rozkaz, by go źle nie traktowali, póki nie będzie wiadomo, kim jest, gdyż zaprzeczał, by był renegatem, za którego go mieli. Zdjęli z niego kajdany. W cieśninie Lwów złapało ich coś w rodzaju sztormu, a kiedy sztorm minął, admirał Marcello Doria rozkazał, by mu muzycy coś zaśpiewali. Zaczęli od pieśni, którą Espinel sam napisał i skomponował. Refren jej brzmiał:

El ben dudoso, el mal seguro y cierto.
Dobro jest wątpliwe, zło nieuchronne i pewne.

Śpiewali zwrotki, jedną po drugiej, a gdy odśpiewali refren po raz ostatni, Espinel nie mógł się dłużej opanować.

— I tak ten mój ból ciągle trwa! — zawołał.

Śpiewak słysząc to, spojrzał na niego, ale był krótkowzroczny, a Espinel był w łachmanach. Trudy i niedostatek zmieniły go niemalże nie do poznania. Francisco de la Pena, bo takie było nazwisko śpiewaka, wlepił weń wzrok, aż wreszcie, oniemiały, z oczyma pełnymi łez, porwał go w ramiona. Zwrócił się do Admirała:

— Jak Wasza Ekscelencja sądzi?. Kogo mamy wśród nas?

— Kogo?.

— Autora tych wierszy i tych melodii i wielu innych jeszcze, któreśmy Waszej Ekscelencji śpiewali.

— Co mówisz?. Wymień jego imię.

Admirał był wstrząśnięty, widząc człowieka, o którym tyle słyszał, w takim położeniu. Dał mu więc przyzwoite odzienie i okazywał mu względy. Jest to miły przykład tej „peripatei" i „anagnorisis", którą Arystoteles uważał za najbardziej wzruszającą rzecz w tragedii.

Jest coś, co uderza pilnego czytelnika powieści pikarejskich, jest to mianowicie dziwny sposób, w jaki autorzy lekceważyli sposobności, które im czasy nasuwały. Był to bowiem okres wielkich wydarzeń. Cervantes był ranny w bitwie pod Le Panto, uwieńczonej największym zwycięstwem za drugiego panowania Filipa. Niderlandy się zbuntowały i wysłano Księcia Alby, by zgniótł powstanie. Przyłączono Portugalię do Imperium hiszpańskiego, dołączyły się do tego nowe krainy w Ameryce. Drake osmalił brodę hiszpańskiego króla w Kadyksie i Wielka Armada wypłynęła z Lizbony, by osadzić Infantkę Izabellę na tronie angielskim. Nie przypominam sobie, by którekolwiek z tych zdarzeń zostało tam wymienione, chociażby epizodycznie. Jeśli jest mowa o Indiach, to jedynie w tym sensie, że któryś z poszukiwaczy przygód wrócił stamtąd z majątkiem i jest okazja, by go ograbić. Niektóre postaci albo wzięły udział w wojnach flandryjskich, albo wyruszały na nie. Nie zdarzyło mi się przeczytać opowiadania, w którym by była mowa o tym, co oni tam robili. Można by mniemać, że wypędzenie Maurów z towarzyszącym temu okrucieństwem i nadużyciami nastręczało takiemu na przykład Solorzanowi, jednemu z ostatnich pikarejskich pisarzy tematu, z którego zrobi dobry użytek. Można powiedzieć tylko tyle, że żaden z nich nie zaintereso-

wał się w najmniejszym stopniu wydarzeniami swoich czasów. Opowiadali bez końca o łotrostwach oberżystów, podstępach żebraków i złodziejstwach kuchcików. Wszystko to wydaje się bardzo dziwne, póki sobie nie uprzytomnimy, że Jane Austen w czasie wojen napoleońskich zadawalała się opiewaniem (Bóg świadkiem, że z wybornym humorem!) sentymentalnych igraszek ludzi szlachetnie urodzonych, i że Henryk James, który widział, jak Stany Zjednoczone przeobraziły się z prowincjonalnego państewka w potęgę światową, wyładowywał swą niezwykłą subtelność w opisywaniu anemicznych namiętności eleganckiego świata. Nie mam im tego za złe; zaledwie zwracam na to uwagę; być może, że to właśnie jakiś zdrowy instynkt każe powieściopisarzowi odwrócić się od zdarzeń, które wpływają na szczęście jego kraju i postęp cywilizacji i parać się powszednimi sprawami życia codziennego. Jeden był tylko Sir Walter Scott i jeden był Tołstoj. To prawda, że maurytańscy piraci pustoszyli wybrzeża Hiszpanii i że kraj był zniszczony i uciśniony; zajazdy były kompromitujące, oberżyści dopuszczali się zdzierstw, a gdy zażądałeś zająca, mogli ci równie dobrze podać na obiad kota.

Nowoczesnego czytelnika tych powieści zaskoczy też niewątpliwie znikoma rola, jaką odgrywa w nich płeć. Nie wiem, czy sprawiała to obawa przed Inkwizycją (która surowym okiem śledziła twory literackie), czy też naturalne zdrowie Hiszpanów, którzy uważali akt płciowy za normalną funkcję ludzkiego zwierzęcia, o konsekwencjach nie większych (ale też i nie mniejszych), niż jedzenie i picie. Fakt jest faktem, że pikarejskie powieści są niezwykle czyste. Od czasu do czasu swawolny bohater rzuca miłosne spojrzenie na którąś z pań z miasta, ale zostaje obskubany z pieniędzy i odesłany precz bez zadośćuczynienia. Zresztą i to trafia się rzadko. Częściej myśli młodego człowieka zwracają się ku posażnej pannie lub bogatej wdówce. Jego uniesienia mają podłoże natury materialnej. W takich powieściach, w których występuje bohaterka jako protagonistka, liczne szturmy przypiera się do jej cnoty (gdyż Hiszpan tak samo, jak i dziś, był zdania, że przystojną dziewoję należy przede wszystkim położyć do łóżka), lecz ona chytrze unika napaści, wykorzystuje wywoływane przez siebie wrażenie, by ograbić z pie-

nędzy wielbicieli, lecz cennego klejnotu swego dziewictwa nie oddaje nikomu, dopiero chyba za błogosławieństwem Kościoła. Jest więc pewna, niezbyt pokaźna ilość rzetelnej sprośności, ale miłości tam nie ma. Wkrótce powiem coś więcej na ten temat.

Przełożyła *Małgorzata Stanisławska*

UWAGA. Przekład rozdziału 6 „Don Fernanda“ spotyka się szczęśliwie w druku z piękną publikacją „Wiedzy“: ŻYCIE ŁAZIKA Z TORMESU. Tłumaczył i wstępem opatrzył Maurycy Mann. Zdobił Mieczysław Jurgielewicz. Warszawa 1948. W ten sposób komentarz literacki W. S. Maughama może służyć do lektury najstarszej powieści pikarejskiej „Lazarillo z Tormesu“ (1554), którą czytelnik polski otrzymał po raz pierwszy w całości. Termin: powieść pikarejska, n o v e l a p i c a r e s c a (od hiszp. p i c a r o, hultaj, łotrzyk). M. Mann zastępuje określeniem: powieść filucka.

CO O TYM MYŚLICIE?[1]

POWIASTKA

Pewnego razu jakiś człowiek wyrzucony został na brzeg nieznanej ziemi. Była ona zamieszkała przez mężczyzn i kobiety wszelkiego wieku i postaci. Kiedy człowiek ten przyjrzał się rozmaitym przedmiotom, które obudziły jego ciekawość, zaczął szukać w otaczającej go ciżbie ludzi kogoś, kto mógłby go nauczyć praw i zwyczajów, ponieważ podobało mu się to miejsce i pragnął tu się osiedlić. Zobaczył trzech starców z długą brodą, którzy rozmawiali na uboczu. Podszedł do nich.

— Czy zechcecie, panowie — zagadnął ich — powiedzieć mi, gdzie jestem i do kogo należą te strony?. Jeżeli obyczaje mieszkańców odpowiadają umiejętnościom i porządkowi, które zauważyłem w uprawie przez was ziemi, musicie być rządzeni przez najlepszego i największego z książąt.

— Nie trudno przyjdzie nam zaspokoić twoją ciekawość, cudzoziemcze — odpowiedział jeden ze starców. — Jest pan w krainie dobroczynnego geniusza, który mieszka na przeciwległym brzegu; zostałeś wyrzucony tutaj bez twojej wiedzy i na jego rozkaz: ma on manię uszczęśliwiania ludzi i w tym celu zatapia okręty cudzoziemców. Tych, którzy nie zatoną, bierze pod swoją opiekę i zamyka na pewien czas w tym kraju, który słusznie podziwiasz. Ci oto panowie i ja, jesteśmy jego ministrami i polecił nam obja-

[1] Powiastka „Co o tym myślicie?" powstała prawdopodobnie w latach 1747—1748. Ogłoszona została po raz pierwszy dopiero w roku 1821 (wyd. Brière'a).

wiać swoją wolę poddanym, dbać o przestrzeganie praw, które przepisał i przyrzekać karę lub nagrodę.

— Ależ panowie, skoro kraj ten jest tak piękny, czemuż nie mieszka on pomiędzy swoimi protegowanymi i co porabia na tamtym brzegu?

— Nasze starania — odpowiedział starzec — uwalniają go od pokazywania się, ponieważ natchnieni jesteśmy przez niego samego... Ale trzeba, abyś zapoznał się z warunkami, które przepisał, aby żyć szczęśliwie w jego Państwie...

— Warunkami? — przerwał cudzoziemiec. — Czyż nie powiedzieliście mi sami, że jestem tutaj z woli geniusza, i nie było w mojej mocy, aby się tutaj nie znaleźć.

— To prawda — rzekł starzec.

— A więc jest absurdem stawiać mi warunki — odpowiedział cudzoziemiec — skoro nie będąc wolny, nie mogę ich ani przyjąć, ani odrzucić.

— Nie będąc wolny? — podjął starzec. — Co za bluźnierstwo, zapomnij natychmiast o tym błędzie...

— Posłuchaj go — dodał po cichu drugi starzec — i strzeż się, aby nie wierzyć w wolność, ponieważ obrażasz wielką dobroć geniusza.

— Ponadto, mości panie — ciągnął pierwszy z miną skromną i pieszczotliwą — zanim pójdziemy dalej, musisz wiedzieć, że mówi się do mnie Jego Wysokość; tak ustanowił dobroczynny geniusz, który zlecił mi wykonywanie swoich rozkazów. W całym kraju jest tylko jeden człowiek, który stoi ponad nami trzema: toteż panujący nam geniusz nazwał go sługą sług, ponieważ panujący nam geniusz jest pełen rozwagi i sprawiedliwości i nigdy nie błądzi w swoich sądach.

Cudzoziemiec nie wiedział, co ma myśleć, widząc, że ludzie poważni, jak mógł sądzić z ich postawy, wieku i zaszczytów, jakie im świadczono, z zimną krwią wypowiadają podobne niedorzeczności.

Kiedy tak rozmawiali, usłyszeli gwałtowne i zmieszane krzyki, jedne bólu, drugie radości. Cudzoziemiec, ciągle równie ciekawy jak zdziwiony, spytał o ich przyczynę.

— Oto — rzekł trzeci starzec — zdarza się co czas pewien, że geniusz, aby wypróbować cierpliwość swoich poddanych i ich ufność, pozwala, aby zostali zabici w chwili,

kiedy głoszą jego dobroć, miłosierdzie i sprawiedliwość. Zaszczyt ten spotyka tylko wybranych, ale nie znaczy to wcale, aby inni poddani nie musieli tak samo wierzyć w jego doskonałość, ponieważ zobowiązali się do tego przez przysięgę podczas swego pierwszego snu.

— Jakto, Wasza Wysokość, czyż w tym kraju przysięga się w czasie snu? — wykrzyknął cudzoziemiec.

— Taka jest reguła — odpowiedział starzec — i pan uczyniłeś tak samo, skoro zostałeś wyrzucony na ten brzeg.

— Ja, ja przysięgałem? — krzyczał cudzoziemiec. — Niech padnę trupem, jeżeli wiem o tym cokolwiek.

— Niemniej jesteś związany przysięgą — mówił dalej minister — a oto jak się odbyła ta ceremonia, bez której nie mógłbyś zostać uznany za obywatela tej wyspy. Jak tylko nas zawiadomią, że cudzoziemiec przybył w naszą okolicę, idziemy go przyjąć; potem wybiera się na los szczęścia dwóch obywateli, o których można mniemać, że znają gruntownie nasze prawa, zwyczaje i obyczaje. Każe im się stanąć po bokach cudzoziemca. Podczas kiedy leży on na ziemi i śpi, zadaje mu się pytania i naucza, na jakich warunkach może zostać obywatelem naszej wyspy. Dwaj poręczyciele wypowiadają za niego przysięgę, w której zobowiązuje się przez całe życie przestrzegać wiary i praw kraju.

— Panowie kpią sobie ze mnie — odpowiedział cudzoziemiec ze złością. — Do czego, jeśli łaska, uważacie, że mnie zobowiązano?

— Oto — powiedział starzec — do wiary pomiędzy innymi, że geniusz ma trzy głowy i że wszystkie trzy jeden duch ożywia; że geniusz jest dobry i sprawiedliwy, ponieważ kocha swoich poddanych i czyni ich nieszczęśliwymi tylko dla ich dobra itd., albo z ich własnej winy, albo z winy drugich, że serce jego nie zna namiętności; że nie ma w nim gniewu, który okazuje, troski, której doświadcza, radości, której doznaje, ponieważ dusza jego osiągnęła ten stopień doskonałości, iż twierdzenie, że ją cokolwiek dotyka, jest tylko pozorem i sposobem mówienia. Reszta twoich zobowiązań zawarta jest w tych oto dwunastu tomach in folio, których będziesz mógł dowoli uczyć się na pamięć; ale musisz wiedzieć, że jeśli choćby jedno

słowo będziesz tłumaczył nieściśle, zgubiony zostaniesz bez miłosierdzia.

Absurdy te głoszono z taką powagą, że cudzoziemiec uwierzył przez chwilę, że mózg jego albo starców został naruszony; opuścił ich, przebiegł całe miasto i od różnych osób otrzymał te same wskazówki.

Ponieważ nie było sposobu, aby wyspę tę opuścić, postanowił postępować tak prawie jak drudzy, choć w głębi serca nie mógł się zmusić do uwierzenia choćby w jedno słowo z tego, co mu podawano do wierzenia. Pewnego dnia, kiedy był zmęczony długą przechadzką, usiadł na desce na wybrzeżu i zaczął marzyć. Nie spostrzegł, że deska przeniosła go nieznacznie na przeciwległy brzeg od tego, na który przybył.

— Dalipan! — wykrzyknął — a więc wreszcie zobaczę tego dziwnego geniusza — i postanowił, że będzie go szukał. Przebiegł wyspę we wszystkich kierunkach i w końcu znalazł go, albo też i nie znalazł; muszę bowiem przyznać, że mimo mojej głębokiej znajomości historii podróży, nie mogę nic o tym powiedzieć pewnego. Ale gdyby go znalazł, bez wątpienia tak by powiedział:

— Panie geniuszu, gdybyś wiedział, co opowiadają o tobie po tamtej stronie, pewien jestem, że śmiałbyś się do rozpuku. Nie moja wina, że nie uwierzyłem nawet w jedno słowo z tego, co jak powiadają, uczyniłeś dla mnie, i wątpiłem nawet w twoje istnienie; opowiadano mi to wszystko w sposób tak zabawny, że naprawdę nie można było dać temu wiary.

Geniusz uśmiechnąłby się zapewne ze szczerości cudzoziemca i powiedziałby tonem majestatycznym i drwiącym:

— Bardzo mi mało na tym zależy, czy ty i tobie podobni wierzą, czy też zaprzeczają mojemu istnieniu. Uspokój się zresztą. Mieszkałeś i przebiegałeś te okolice nie dla twojego dobra czy zła. Kiedy raz znalazłeś się na tej drodze, było konieczne, abyś dostał się do tego kraju, ponieważ nigdzie indziej droga ta nie prowadzi. Tak samo było konieczne, aby prąd wody zaniósł cię tutaj. Mógłbym ci o tym wszystkim — dodałby zapewne — wiele pięknych rzeczy opowiedzieć; ale rozumiesz dobrze, moje dziecko,

że mam co innego do roboty, niż uczyć takiego hultaja jak ty. Umieść się tutaj w jakimś kącie i zostaw mnie w spokoju, dopóki czas i konieczność nie zadecydują o tobie. Dobranoc!

Cudzoziemiec odchodząc, powiedziałby do siebie:

— Wiedziałem dobrze, że jeśli jest geniusz na tym brzegu, będzie on dobry i wyrozumiały i nie będziemy mieli żadnych ze sobą zatargów. W każdym razie najlepszą metodą, aby się nie łudzić, jest być szczerym ze sobą samym.

CO O TYM MYŚLICIE?

Przełożył *Jan Kott*

OJCZYZNA

Oczywiście, pomyślałem, gdybym nie ja, zapuchłby z głodu na komandzie. Ci z powstania byli nawet inteligentni i zasadniczo zupełnie zaradni, ale zbyt łatwo przyzwyczajali się do śmierci; nauczono ich, że pięknie jest umierać za Ojczyznę. Wśród nas, w małym i twardym obozie, byli oni zastraszeni jak króliki, przy Niemcach obleśnie usłużni jak sedesy, między sobą łakomi na każdą padlinę jak robaki, a kiedy zostawali sami, nie wiedzieli zupełnie, w co wierzyć, ogłupiali jak dziecko na karuzeli. Gdy nasi chłopcy ściągali im skórzane buty z nóg i wypędzali ich boso na błoto i śnieg, wydawało się im, że zaraz zawali się niebo. Przestawali rozumieć uśmiechniętą logikę świata, mogli więc spokojnie umierać. Kiedy chwalili się swoją ignoracją, myślałem wtedy o komorach gazowych.

— Miałam zawsze przysłowiowo kobiece szczęście (pan naturalnie nie uwierzy), ale przecież raz jeden potknęłam się w życiu. Cały ten głupi reżym przeżyłam zagranicą, przed samą wojną jednak, sama nie wiem czemu, postanowiłam wrócić z Turcji do męża — odpowiedziała uprzejmie kobieta, wtulona w kąt siedzenia, obitego purpurowym pluszem.

— Co ona teraz powiedziała? — zapytał z zainteresowaniem młody żołnierz o włosach białych jak u albinosa i czerwonych, piegowatych policzkach. Nogi w starannie zaprasowanych spodniach trzymał wyciągnięte na pluszu. Z nudów czesał się po włosach grubymi dłońmi, zarośniętymi aż po napięstek bezbarwną sierścią.

— Żałuje, że wróciła do Niemiec — przetłumaczyłem żołnierzowi. Kobieta patrzyła na albinosa spoza długich

rzęs i marszczyła w uśmiechu okrągły nos, którego cień wędrował po jej policzku; pociąg zwolnił na zakręcie, przystanął na chwilę pod semaforem i wjechał brzęcząc na peron.

— Ja nie żałuję, że tu przyjechałem, wojna to bardzo ciekawa rzecz — powiedział albinos w mundurze amerykańskim. Rozłożył ilustrowany tygodnik na kolanach i obejrzawszy nogi, uda i piersi dziewczyny, wylegującej się w niedwuznacznej pozie na dwu kredowych kartach, zwinął go i podał kobiecie. Podziękowała i poczęła bezmyślnie oglądać obrazki.

— Naprawdę, nie chciałbyś wracać do domu? — zapytałem żołnierza. Peron był teraz prawie pusty; ewakuanci, odpędzeni od ekspresu przez milicję wojskową w białych kaskach, powlekli się do towarówki, stojącej bez lokomotywy na ślepym torze. Przez żebra wypalonego dachu hali dworcowej prześwitywało ciemniejące niebo bez chmur.

— Rozumiesz, w Europie są białe dziewczęta, mnóstwo białych dziewcząt — powiedział albinos i wyciągnął muskularną, spoconą dłoń: — Zobacz, jakie sine mam paznokcie.

— Co on znowu mówi? — zapytała z niepokojem kobieta, splatając i rozplatając na brzuszku smukłe i opalone palce z jaśniejszymi smugami po pierścionkach.

— Mówi, że jest Murzynem i że lubi bardzo białe dziewczęta — przetłumaczyłem kobiecie. Nie trzeba było wyżywać się w marzeniach, pomyślałem, trzeba było zaufać instynktowi stadnemu. Trzeba było iść razem z całym obozem, wille niemieckie stały wtedy otworem przed wyzwolonymi, kobiety myły im ze strachu nogi i szły na żądanie do łóżka. Głupcy i rozsądni byli jednakowo wygłodniali. Ale głupcy gwałcili napotkane chłopki i znosili do obozu cebulę i mięso. Rozsądni rabowali ubrania, zegarki i złoto, kochanki znajdowały się same. Czemuż włóczyłem się wtedy bezmyślnie po obozie, wyśmiewając jednych i drugich? Jakiej moralności oczekiwałem? Gdybym się wtedy wzbogacił, mógłbym teraz obracać kapitałem, należę przecież do rozsądnych. Całymi latami marzyłem o wyzwoleniu, a kiedy nadeszło, byłem spłoszony jak impotent. Gdybym chociaż umiał to opisać!

— Powiedz, żeby ci zapłacili za pośrednictwo w erotycz-

nej transakcji — powiedział po polsku warszawiak. Siedział wygodnie w drugim kącie przedziału i rozkraczywszy leniwie nogi, wyglądał na pusty korytarz. Ziewnął z nudów, wyjął papieros z pudełka i podsunął je kobiecie. Pogrzebała palcami w papierośnicy i wybrawszy odpowiednią sztukę, niezbyt twardą, ale i niezbyt wykruszoną, poprosiła o ogień. Wagon zakołysał się i pociąg, wysunąwszy się wreszcie z rozbitej hali dworca, przejechał powoli obok spalonych warsztatów kolejowych. Między na wpół rozwalonymi murami sterczały wykrzywione i zardzewiałe szyny kolejowe, leżała na kupach pogięta i przeżarta blacha i piętrzyły się kadłuby parowozów, rozdętych przez bomby. Naokoło murów i wzdłuż toru kolejowego zielona łąka poryta była lejami po wybuchach, w których zbierała się mętna i brudna woda. Pociąg przejechał po wysokim wiadukcie, z którego było widać czerwone, jakby odarte ze skóry miasto, i nabierając szybkości wyszedł za przedmieściami na nasyp kolejowy.

Albinos z sinymi paznokciami wyjął z kieszeni paczkę papierosów w celofanie, zerwał opaskę, popukał palcem w dno paczki, wygrzebał jednego papierosa, a resztę podał kobiecie.

— Ona mi się podoba, nie jest tak natrętna jak we Francji — rzekł żołnierz i zachęcił ją gestem, żeby wzięła. Kobieta schowała papierosy do torebki i wzruszyła z bezradną sympatią ramionami. Jej stopy opierały się o rury kaloryfera, nogi były zgrabne i w cienkich pończochach, przyciemniających skórę, jak gdyby była opalona.

— Piękne, naprawdę piękne — powiedziałem poważnie do kobiety, czyniąc gest objaśniający. Miała szerokie, uczerwienione po amerykańsku wargi i szare, drobne, przytulne zmarszczki pod oczyma, które przy uśmiechu skupiały się koło nosa. Jasne jej włosy łagodnymi falami opadały na ramiona. Ubrana była bez gustu i wyzywająco: miała na sobie niebieski włochaty płaszcz, pod nim przejrzystą bladoróżową sukienkę w hafty bez dekoltu, modną podczas wojny w Niemczech, spod której przeświecał się granatowy jedwab, mocno opinający ciało.

— Ty lepiej zostaw tę kobietę — powiedział niecierpliwie albinos z sinymi paznokciami, który zrozumiał moje ge-

sty. W przedziale stawało się coraz goręcej od nagrzanych rur. Albinos rozpiął wełnianą koszulę i ukazywał spod niej uwłosioną i piegowatą pierś, białą jak u kobiety spod stanika.

— Naturalnie, że się podobają panu — stwierdziła wyrozumiale kobieta. — Przed wojną byłam klasyczną tancerką, no, a teraz... Może będę występowała w oficerskich kasynach u Amerykanów. Ale wie pan, mój mąż...

Urodziłem się po raz drugi, pomyślałem, mogę znowu zaczynać żyć. Z dawnego mojego życia pozostało mi nazwisko, numer na lewym przedramieniu, mundur niemiecki i doświadczenie. Mógłbym teraz zebrać trochę pieniędzy, jeżeli mnie naprawdę tamten dopuści do spółki. Pomieszkam parę miesięcy u niego, a potem przejdę przez granicę do Francji albo pojadę do Włoch do wojska, transporty ciągle odchodzą samochodami przez Brenner. Mógłbym wstąpić na uniwersytet w Paryżu, Bolonii albo w Rzymie. Ale poco w takim razie siedziałem tu tyle miesięcy? Trzeba było jechać odrazu, kiedy jeszcze nas przyjmowano z otwartymi ramionami i z otwartą kieszenią. I czy poznałem już tak dobrze ten kraj i tych ludzi, że mogę już ich opuścić? Nie potrafię ich wiernie opisać, układam postacie i krajobrazy zawsze z tych samych elementów; mógłbym ułożyć ich niedługi i nieskomplikowany spis. Co prawda, mógłbym również kłamać, używając odwiecznych sposobów, które literatura przyzwyczaiła się stosować, aby udać, że wyraża prawdę, ale na to nie mam wyobraźni. Poza tym, pomyślałem jeszcze, nie znam ani włoskiego ani francuskiego.

— Będziesz ją brał? — zapytałem albinosa w rozchełstanej koszuli.

— Oh, nie wiem jeszcze, mam tylko dwa dni urlopu i chciałbym, ale nie znam żadnego prywatnego pokoju w mieście, rozumiesz, Zimmer — odpowiedział albinos i powrócił do tygodnika. Prawy policzek nabiegł mu krwią, na skórze znać było odciśnięty biały deseń pluszowego oparcia.

— Żołnierzu, ja mam pokój — rzekł niezdarną angielszczyzną warszawiak i zastawił nogami przejście. Chudy i przygarbiony mężczyzna w złotych binoklach ubrany po tyrolsku, otworzył drzwi przedziału i powiedział:

— Ależ tu jest miejsce u państwa.

— You, go out — rzekł albinos, patrząc obojętnie na mężczyznę w złotych binoklach.

— Der Herr mówi, że nie ma miejsca w przedziale — przełożyłem chudemu mężczyźnie. Spojrzał na mój niemiecki mundur i powiedział bez zniecierpliwienia cichym głosem:

— Rozumie pan, tu siedzi w przedziale moja żona.

— Dopiero teraz ją pan znalazł? — zapytałem ironicznie.

— Ach, co pan może wiedzieć. Szukałem jej po całym pociągu — rzekł mężczyzna.

— Dlaczego on stąd nie idzie? — zapytał żołnierz amerykański i włożywszy dwa palce w usta, zagwizdał przeciągle i przeraźliwie jak lokomotywa na zakręcie. Z sąsiednich przedziałów odpowiedziały mu równie przeraźliwe gwizdy.

— Błagam pana, niech mu pan nic nie mówi — rzekła kobieta ze wzruszeniem. Wydobyła z torebki papierosy, które dostała od albinosa i podała je mężczyźnie. Powiedziała błagalnie: — Peter, idź stąd, naprawdę idź. Myślisz, że to mnie... Mężczyzna wyciągnął rękę, ale żołnierz amerykański wyjął kobiecie papierosy z dłoni i powiedział stanowczo: — No!

— Widzi pan, że zajęte — odezwał się obojętnie warszawiak i zatrzasnął drzwi przedziału. Pociąg przejechał przez zniszczoną bombami stację, minął długie łańcuchy spalonych wagonów i tłumy ludzi z tłumokami, czekających na peronie i znów wyjechał na nasyp, który przecinał dolinę. W dolinie zapadał coraz gęstszy mrok i trawa ciemniała pasami jak od wędrującej chmury. Szczyty górskie paliły się zachodnim, metalicznym blaskiem, w zagłębieniach leżały kamienne, chropowate fiolety i błyszczał rudawy śnieg, a niżej na łagodniejszych zboczach czerwieniły się winnice i matowo świeciły się w zapadającym za górami słońcu maleńkie domki, osnuwane łagodną mgłą wieczorną.

Powinna była przeżyć, pomyślałem, jeżeli wysłali ją tylko na roboty do baora. Wieś niemiecka nie zabijała odrazu, ale wysysała i pożerała człowieka żywcem jak pająk. Jeśli trafiła do głupiego albo chciwego gospodarza, mogła nabawić się gruźlicy, syfilisu albo dziecka. A fabryka? Nigdy nie miała zbyt określonego pojęcia o pracy fizycznej, a noszenie niemieckich szyn i cementu zabiło już nie jeden milion lu-

dzi, nawet znających pracę. Najpewniej zginęła w mieście, ale jeśli przeżyła, to pojechała prawdopodobnie do lagru; transporty kobiece szły po powstaniu przez Oświęcim i Ravensbrück.

— Zapytaj ją, poco mu dawała papierosy — powiedział gniewnie żołnierz. Wstał i zdjął z półki lśniącą teczkę z gotyckim monogramem. Wyjął z niej grubą tabliczkę czekolady, przełamał, poczęstował kobietę i schował czekoladę do kieszeni. Teczka wypchana była konserwami, biszkoptami w przeźroczystych opakowaniach i dwiema butelkami francuskiego wina.

— Ten obcy mężczyzna prosił mnie o papierosy — skłamała kobieta i popatrzyła badawczo na mnie. Przetłumaczyłem wiernie żołnierzowi jej słowa i dodałem: — Czy masz dużo papierosów? A może znasz wśród swoich kogoś, kto by chciał sprzedać trochę towaru?

Albinos pogrzebał w teczce i wydobył z niej zgniecioną paczkę w celofanie. Rozpakował i poczęstował. Powiedziałem, że nie palę. Warszawiak wziął z mrugnięciem oka dwa papierosy, jeden wsunął w kieszonkę marynarki, a drugi miął niezdecydowanie w palcach. Pociąg przejeżdżał koło lotniska, położonego na równinie pod zboczem, zarośniętym rzadkim lasem. Na polu ciągnęły się nieskończonymi rzędami czteromotorowe samoloty, których silniki były przykryte pokrowcami. W drewnianych budach, wzniesionych na wysokich palach, chodzili monotonnie wartownicy. Pociąg minął namioty i zabudowania, rozłożone na skraju lotniska i wjechał na teren mokradeł, porosłych trzciną.

— Powiedz mu, że kupię każdą ilość papierosów, złota, aparatów fotograficznych, znaczków pocztowych i w ogóle, wiesz — powiedział warszawiak. Żołnierz słuchał uważnie, marszcząc białe brwi.

— Szedłem tuż za liniowym wojskiem, więc mam trochę rzeczy — odpowiedział. — Znajdziecie mi pokój w mieście?

Warszawiak uśmiechnął się szeroko i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i wieczne pióro. Zaczął tłumaczyć żołnierzowi drogę, posługując się kilkunastoma wyrazami angielskimi, które poznał handlując z wojskiem. Kobieta i żołnierz pochylili się uważnie nad kartką. Wyszedłem na korytarz, zatrzaskując za sobą drzwi przedziału. Pociąg dudnił

i kołysał się miarowo. Tylko przebiegające słupy telegraficzne i obracający się na niewidocznej osi krajobraz wskazywały, że jedzie on z ogromną szybkością. W przedziale warszawiak rozparł się wygodniej na pluszu i okrywszy głowę płaszczem, zaczął drzemać. Albinos z sinymi paznokciami usiadł obok kobiety i położył jej rękę na kolanie. Kobieta pokręciła z niezadowoleniem głową, ale żywiej nie zaprotestowała. Spuściłem na dół okno. Poczułem na twarzy wilgotny i chłodny wiatr, zmieszany z dławiącym, rozmazanym dymem lokomotywy, ścielącym się po polu jak kleisty puch.

Ciekawym, pomyślałem, czy wszystkie kobiety pachną jednakowo. Używają one różnych perfum i noszą rozmaitego kroju suknie, ale czy zwykłe ciało kobiece, umyte w gorącej wodzie, pachnie zawsze jednakowo? Żydówki latem pachniały stęchłą krwią, chodziły w watowanych mundurach sowieckich, a potem szły do gazu i pachniały spalonym tłuszczem. Jeżeli pojechała do obozu, myślałem dalej, to na pewno nie przeżyła ewakuacji. Naturalnie, mogli nie odkryć, że była Żydówką, na szczęście Talmud nie nakazywał obrzezywać kobiet, bo zresztą jak? Ale w Ravensbrück przed samym końcem wojny aryjki też szły do gazu. Mogła mieć opuchnięte nogi albo dostać świerzbu, mogła się przeziębić albo nabawić się biegunki, mogła wreszcie po prostu schudnąć, zawsze bardzo troskliwie dbała o linię.

Z sąsiedniego przedziału wyszedł Niemiec w złotych binoklach i utykając nieco, przechadzał się przygarbiony po korytarzu.

— Czy nie ma pan przypadkiem papierosa, kolego? — zapytał, przystając przy oknie, odwrócony plecami do przedziału.

— Jestem z obozu — powiedziałem do Niemca. Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie i poklepałem się po pustych kieszeniach.

— Tak, teraz my wszyscy mamy dobrze — powiedział Niemiec. Powiedział, że jest z zawodu technikiem i że teraz musi pracować fizycznie, zapisano go podczas wojny do partii. Teraz nie pomaga to ani jemu ani jego żonie. Był trzy

lata na Zachodzie, budował fortyfikacje, aż dostał odłamkiem bomby; musiano mu operować nogę i podbrzusze.

— To także nam nie pomaga — dodał z niewyraźnym uśmiechem.

Muszę czekać i bogacić się, pomyślałem. Chciałbym opisać to, co przeżyłem, ale kto na świecie uwierzy pisarzowi, który posługuje się nieznanym językiem? To tak, jakbym chciał przekonywać drzewa albo kamienie. Zresztą, nie pisałbym przez miłość świata, pisałbym przez nienawiść, a to nie jest popularne. Ciekawym, co zrobiłbym, gdybym się dowiedział, że ona jednak żyje? Nie wiem, pomyślałem ostrożnie, zbyt często w myślach rozbieram do naga napotykane na ulicy kobiety.

Było już zupełnie ciemno, kiedy pociąg wjechał na naszą stację. Rzadkie latarnie świeciły żółtawym blaskiem na wysokich słupach i zupełnie nie rozjaśniały drogi. Budynki stacyjne pokrywały peron jeszcze ciemniejszym cieniem.

Na peronie słychać było nawoływania ludzi, kroki i szurgot pakunków po betonie i gwizdki kolejarzy. Z ekspresu amerykańskiego wyskakiwali z hałasem żołnierze, zarzucali na plecy wojskowe worki i pięli się po schodkach na wał, oddzielający dworzec od wysoko położonego miasta, wyłaniali się na chwilę u szczytu wału, oświetleni jaskrawo latarnią, i zaraz znikali w ciemnościach. Z daleka dochodziły ich młodzieńcze śmiechy, pokrzykiwania i świsty. Warszawiak zeskoczył z wagonu wprost na ziemię i wziął ode mnie walizeczkę. Żołnierz amerykański z sinymi paznokciami uważnie zsadził kobietę z wysokiego stopnia i odebrał od niej swoją teczkę. Wsunęła mu rękę pod ramię i krzyknąwszy nam dobranoc, przeszli z tupotem po drewnianych schodach i zniknęli za wałem wraz z innymi.

— Nie mamy gdzie spać dzisiaj — powiedział z zadowoleniem warszawiak — pójdziemy do takiego jednego kolegi, tylko że u niego trochę śmierdzi babami, wiesz?

— Uhandlowałeś co z kowbojem za pokój? — zapytałem, gdy przechodziliśmy przez peron. Oddaliśmy bilety kontrolerowi w czapce z lampasami i skierowaliśmy się ku schodkom.

— Grunt to kontakt nawiązać i spoufalić się z człowiekiem — rzekł powściągliwie warszawiak.

— Pocoś dawał za darmo? — powiedziałem z gniewem. — Trzeba już nam było ją brać, zupełnie świeża kobieta, może tylko trochę przytęga.

— Nie widziałeś, że była starsza?

— Właśnie, że lubię starsze!

— Skądże ja mogłem wiedzieć, mój drogi, zawsze twierdziłeś inaczej — powiedział zdziwiony warszawiak.

— Zawsze wiesz tylko o tym, co ci wygodne — powiedziałem napastliwie. Lokomotywa zagwizdała i ekspres ruszył dalej. Oświetlone okna wagonów przesunęły się po peronie, po spalonych budynkach i wagonach i zniknęły w wykopie.

— Człowieku, żebyś zebrał tyle dolarów, ile ich będziesz miał tutaj! Życia i ochoty ci nie starczy! — rzekł warszawiak, wzruszając lekceważąco ramionami. Szliśmy powoli po żwirze. Przy samych schodkach minęliśmy kulawego, który dźwigał wielki plecak i walizkę i podpierał się tyrolską laską. Przeskakiwał niezgrabnie stopnie, podnosząc sztywną nogę.

— Nie widzieliście przypadkiem panowie, dokąd poszła moja żona? — zapytał, gdy wyszliśmy na ciemną ulicę, biegnącą między ruinami.

— Nie, nie widzieliśmy przypadkiem — odpowiedziałem. Pomyślałem: Bardzo lubię te opuszczone niemieckie miasta, gnijące zwolna na deszczu i słońcu jak padlina. Kto wąchał dym krematoryjny, ten umie ocenić piękno piwnicznego zapachu niemieckich ruin, których nikt nie rusza. Lubię tych ludzi, którzy czekając na to, co się zdarzy jak na pociągi, które ich omijają, donaszają stare ubrania, idee, kobiety. Bez odpoczynku mógłbym błądzić po wypalonych ulicach tych miast i wciąż od nowa przeżywać godziny szczęścia. Czyż jest jeszcze na świecie inny kraj, który bardziej byłby moją ojczyzną?

— Owszem, ja miałem widzieć twoją żonę — powiedział warszawiak łamanym językiem. Uszedł parę kroków w milczeniu, po czym dodał: — Ona poszła z Murzynem. So eine Frau!

Uśmiechnął się złośliwie i zgiął łokieć, aby wyrazić w ten sposób podziw dla kobiety.

— Szkoda — rzekł kulawy. Przeszedł razem z nami przez

jezdnię i kroczył ciężko pod drzewami, włócząc nogą po zwiędłych, szeleszczących liściach.

— Szkoda — odpowiedziałem.

— Nie ma pan przypadkiem papierosa? — zapytał kulawy warszawiaka.

— Nie mam przypadkiem papierosa — odpowiedział cierpliwie warszawiak.

— Dobranoc, moi panowie — rzekł kulawy, dotykając dłonią, w której trzymał laskę, ronda tyrolskiego kapelusika z białą szarotką.

— Dobranoc — rzekł warszawiak.

Niemiec w złotych binoklach odwrócił się i pociągając nogą, przechodził przez ulicę. Zawołałem za nim śpiewnie:

— Dobranoc, dobranoc!

Warszawiak parsknął cienkim chichotem. Zagwizdałem fałszywie i głośno, aż się echo rozniosło po pustej ulicy, zatarłem rubasznie ręce i uderzyłem go płaską dłonią z rozmachem po łopatkach.

POGRZEB

KAZIMIERZOWI WYCE

— No, popuszczaj! — powiedział wąsaty, nachylając się nad dołem.

— Tylko równo! Razem... — stęknął niski i zaparł się mocniej nogą w kupę żółtego piachu, dobytego z samego dna. Stojący naprzeciw mnie, młody chłopak uniósł brodę, dawał mi znak, żebym zluźnił sznur. Byłem za czwartego, którego przed chwilą odwołano na bramę.

Ksiądz przytulił biret do wydatnego brzucha, zawodził pienia nosowo. W brwiach ściągniętych i uniesionej grymasem wardze znać było zniecierpliwienie. Obok stał kościelny fioletowy z zimna, dalej kładły się na zdeptany, zeszklony śnieg długie cienie junaków wyprostowanych w dwuszeregu. Stali z odkrytymi głowami, drobinki śniegu osiadały im na włosach. Patrzyli zaciekawieni, ale chyba się nie modlili, bo dopiero na wyraźne wezwanie księdza uklękli i z warg zadymiło im „wieczne odpoczywanie"... Słońce rozlewało się czerwoną plamą tuż nad murem cmentarnym, po niebie mrugały ruchliwe gałązki starych brzóz. Czasami wiatr zaciągnął dotkliwiej i dmuchnął w twarze niedawnym śniegiem.

Sznur tarł się o brzegi dołu, syczały garści obsuwającego się piasku. Nagle trumna zazgrzytała o ścianę, zadudniła i stanęła twardo.

— Nie idzie dalej!

— Zaparła się!

— Unieście jedną stroną! Tu trzeba ulżyć — skinął na mnie — dół jest dobry, musi zejść!

— Skosem ją! — syknął młody i targnął sznurem.

Trumna zagadała głucho, warknęły grudy po wieku i uwięzła ostatecznie.

— Nie idzie niżej! — powtórzyłem przekornie.

Popatrzyli na mnie tak, jakby to była wyłącznie moja wina.

— Co jest u pioruna? Drugi raz nam bryka!

— Nie spieszno mu do doła!

— Cicho! — mruknąłem, mimo że mówili zawodowym szeptem, a na twarzach mieli obrzędową drętwotę. Tylko młody poczerwieniał ze złości i wysiłku.

— Do góry z nim! — zakomenderował stary.

— Balonem jedzie — westchnął niski.

— Pasował przecie — użalał się młody — dobrześmy namierzyli...

— Dół za krótki, trzeba podłużyć — upierałem się.

— Spuszczaj drabinę! — skinął wąsaty grabarz na młodego, który utarł soczyście nos.

Ksiądz skończył modlitwę. Cisnął dwie szczypty piasku, a wiatr je zaraz zdmuchnął z wieka. Kościelny uniósł skraj fałdzistej komży, wygrzebał zegarek i podsunął księdzu.

— Musimy odprowadzić następnego — szepnął mi na usprawiedliwienie. — Czekają już na nas w kaplicy! Pan tu zostanie do końca?

Skinąłem głową. Popatrzyłem na trumnę, zwięzłym kształtem grożącą na zaśnieżonym placu. Metalowe wieńce na sąsiednim krzyżu bzykały złośliwie.

Podziękowałem księdzu i kościelnemu w imieniu Dyrekcji, odprowadziłem ich parę kroków ku wylotowi alei.

— Ten kopidół musiał być pijany jak mierzył, grób jest za krótki — powiedział kościelny, ujmując księdza pod ramię.

— Będzie pan musiał dobrze wymarznąć, nim go poszerzą! — dodał ksiądz. Ruszyli drobnym kroczkiem w stronę kaplicy. Na ich widok ministrant zaczął dzwonić. Jękliwy głos cmentarnego dzwonka unoszony wiatrem zmusił mnie do zacierania zmarzniętych rąk. Brzęk metalu wibrował w uchu, aż się robiło jeszcze mroźniej.

— A my jesteśmy jeszcze potrzebni? — zapytywali junacy.

Odprawiłem ich. Odeszli gromadą, skrzypieli po grudzie nowymi zelówkami. Ukryci za dużym murowanym grobem na końcu alei, odsłonięci od wiatru, wypalili na spółkę kilka papierosów.

Zostałem sam z grabarzami. Musiałem ich dopilnować, by wszystko odbyło się „przyzwoicie“, a nie za szumnie, jak mi powiedziano w Dyrekcji, bo szkoda każdego grosza na paradę wyrzucać.

W trzecim roku wojny przydzielono nam do czyszczenia odkrywki batalion junaków. Gdy już odwalili wierzchnią warstwę ziemi, nawiercałem caliznę i wysadzałem pokład. Potem rozbierali rumowisko, drągami zwalali głazy ku stanowiskom, gdzie starzy kamieniarze tłukli wapień i ładowali na lory.

Dwa dni temu zdarzył się u nas wypadek. Jeden z junaków pośliznął się i zleciał z wysokości trzech pięter. Mimo, że nie znać było na ciele obrażeń, gdyśmy go ponieśli na płaszczu do szopy, nie żył już.

Robotnicy z namysłem omawiali przyczynę katastrofy, a kierownik tymczasem dzwonił na fabrykę i za cenę tej śmierci — całą winę zwalił na drewniaki — wytargował dla nas skórzane obuwie. Po raz pierwszy włożyliśmy je idąc na pogrzeb.

Wprawdzie powiadomiono rodzinę, chłopiec pochodził z Korczyna, ale nikt się w porę na cmentarzu nie zjawił.

Trumna leżała na piasku, pachniała lekko acetonowym lakierem. Zachodzące słońce błyskało na wieku różowo, czasami blask przygasał i wiatr zakurzył śnieżną kaszą.

Z dołu wylatywała ziemia. Niski kuł kilofem.

Wąsaty wpatrzony w bladnące niebo, skręcał grubego papierosa. Był tu już kraniec cmentarza, kwatery dla ubogich, niezabudowane jeszcze familijnymi grobowcami. Parę kroków dalej nudnym trójszeregiem ciemniały ponumerowane krzyże na grobach Niemców, zmarłych w transportach.

— Będzie chyba miał już dość! — powiedział młody, bo uderzenia ustały.

— Hę? — przytrzymał zwilżoną bibułkę przyklejoną do wargi.

— Mówię, że starczy, ścianka dobrze podcięta! — krzyknął młody i popatrzył chciwie, czy go nie poczęstuje nakrajanym tytoniem. Ale stary przycisnął wieczko palcami i odwracając się od wiatru zapalił skręta.

Niebo wygasało. Chłód i smutek był w szeleście suchych gałązek brzozowych.

— No, popróbujemy — powiedział niski. Wylazł z dołu i strzepnął ziemię z kapelusza.

Zatarłem skostniałe dłonie i pochwyciłem za sznur.

Kołysaliśmy trumną nad dołem, w którym jeszcze świecił jasny piasek.

— No właź, właź — powiedział stary łagodnie i poklepał trumnę zachęcająco. — Nie bój się, każdego z nas to czeka...

Ale jeszcze i metr w dół nie zeszła, jak zapiszczały deski, zacierała o ścianę coraz twardziej.

— Dość! Pozór!

— Jedziemy do góry!

Młody tak się nachylił nad dołem, że aż się zachwiał.

— Ciemno już, ale wiem mniej więcej gdzie trzeba podrąbać!

— Nie będziemy go na stojąco chować!

— Żebyśmy popili, to bym rozumiał, ale tak o suchym pysku, pierwszy raz taką sprawę widzę.

— Młodyś jeszcze, wyrobisz tyle lat co ja, to się na niejedno napatrzysz — uciszył go wąsaty.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, czułem lęk, mimo że w ich uwagach był gniewny upór, żarliwa chęć przełamania trudności, na jakie natknęli się przy wykonywaniu czynności zawodowych.

— Idź pan do dom, co pan tu sterczy nad nami i marznie! My już swoje zrobiem, wiemy co się komu należy — wskazał ręką na trumnę wspartą o wał ziemi wyrzuconej z dołu. — Pan przecie nie familia?

— Nie, ja tylko z firmy, pracowaliśmy razem.

— Zimno, co? Marzec za pasem, a mróz ani myśli zelżeć!

— Jak się rąbie kilofem, to się łatwo rozgrzać, tylko teraz niedobrze przestudzić się na wietrze — powiedział niski, zabijając ręce.

— To może skoczę po ćwiartuchnę — zgłosił się młody ochoczo.

— Nie wiem, czy mi wystarczy — odezwał się wąsaty i popatrzył na mnie zachęcająco.

— No, to ściepka! — podstawił czapkę młody i przetarł palcem wilgotny koniec nosa. — Ile pan deklarujesz?

Wygrzebałem kilkanaście złotych, majster też dorzucił swoje.

— Będzie! Starczy na łyk, nim się do roboty weźmiemy!

Niebo fioletowiało, górą ponad brzozami pełnymi czarnych gniazd jemioły spóźnione obłoki wałęsały się po wystygłej zieleni. Słaniała się pierwsza, biała jeszcze gwiazda. Mróz był silniejszy, bo zapachniał mi wilgotny piasek z dołu rzeczną wonią zbutwiałego drzewa.

— Przetrącimy coś i zakopiemy go w try miga!

— Czemu nie włazi? Przecieśmy go nie kolebali!

— Trzeba jeszcze poszerzyć — powiedziałem — wyraźnie w nogach dociera!

— A czemu przed chwilą zeszedł niżej, a teraz go pod samym wierzchem chyciło?

— Licho go wi, może mróz ściska?

— Ale zaś mróz... Czy to pierwszy tej zimy?

Młody właśnie nadbiegał. Siedliśmy na płycie sąsiedniego grobowca. Młody wyłożył zmiękłe bułki, salceson w plastrach i odbiwszy korek o kolano, podał butelkę majstrowi.

Wąsaty powąchał wódkę w skupieniu, potem pokręcił głową.

— Trąci naftą — zamruczał melancholijnie i przytrzymawszy palcem miarę dla pamięci, łyknął tęgo. Flaszka krążyła między nami. Wzdrygałem się za każdym łykiem, ale czułem, jak mnie alkohol rozgrzewa. Młodemu oczy zaczęły się świecić.

Stary grabarz jadł powoli, podsuwał językiem kęsy pod resztkę zębów. W pewnej chwili wstał i nabiwszy na kozik plaster salcesonu przesiadł się na trumnę.

— Ciągnie cholera od kamienia, można wilka złapać — usprawiedliwił się, rzucając skórki na dno dołu.

Powietrze zmętniało. Przeleciały nisko gawrony, szeleściły na wietrze ich lotki. Z daleka zabrzęczała trąbka.

— Zamykają, już po piątej.

— Kończmy panowie, bo stróż nadchodzi — powiedział poważnie wąsaty — nie ma się czym dzielić.

Wypiliśmy, na stojący dogryzaliśmy pospiesznie gąbczastą bułkę.

— Beczy jak koza — zaśmiał się młody. — No dajcie kilof, idę odrąbać jeszcze ze trzy cale!

Gdy opuszczał drabinę, pośliznął się, rozbierała go wódka.

Aleją ku nam biegła kobieta, za nią szedł stróż i raz po raz przechylając głowę beczał na trąbce.

Kobieta była w chustce zsuniętej na ramiona, twarz miała ciemną i czerstwą. Nie dał bym jej nawet i czterdziestki. Dojrzawszy nas przystanęła, zawołała z daleka:

— Panowie, gdzie tu chowali baudysta?

— Spóźniliście się, matko — powiedział poważnie wąsaty — już z pogrzebami skończone.

— Dziś mieli mi syna chować, zabiło go we skale. Musi tu gdzieś być! — Twarz miała spokojną, lekki rumieniec zmęczenia na policzkach.

— No, to pani zdążyła na ostatnią chwilę — powiedziałem — właśnie dół poszerzamy! Marian Motyka, co?

— Tak, panie, tak! — Na klęczkach podczołgała się do trumny, objęła ramionami i zapłakała nagle. — Maniuś, Maniuś, synaczku — nawoływała go cicho.

— Teraz widzicie na co czekał — powiedział wąsaty grabarz i podsunął nam swoje pudełko z nakrajanym cienko bakunem. Zakurzyliśmy. Dymu już nie było widać w powietrzu.

Gdy skończyliśmy, podszedł do kobiety i dotknął jej ramienia.

— Dosyć już matko, dajcie mu spokój, bo mu ciężko będzie...

Podniosła się od razu uspokojona, prawie uśmiechała się przez łzy. — To mój najmłodszy, dobre takie dziecko. Leciałam ze stacji i modliłam się, żeby zdążyć. — Maniuś, mówiłam, zaczekaj na matkę, jakże byś poszedł do Chrystusa, tak zanim cię matula uściska, ucałuje...

— No panowie, trzeba kopać — poganiał młody — idzie już noc!

— Poczekaj, co ci tak pilno — powiedział nagle wąsaty — przymierzymy jeszcze.

— Przecie pamiętam dobrze, gdzie trza poszerzyć.

— Nie gadaj dużo, tylko bierz za sznur.

Przydeptał koniec nogą i stanął, czekając na nas. Gdyśmy się ustawili, skinął głową — popuszczać!

Trumna zagłębiała się w mrok powoli, choć zakołysaliśmy, nie zgrzytnęła ani razu, wreszcie przestała nam ciążyć i lekko stuknęła stając na dnie. Gdy przyświeciliśmy zrzuconą zapałką, było pół metra luzu.

Bez słowa zaczęliśmy pospiesznie dół zawalać. Zahurgotała kaskada ziemi rozpryskując się na wieku.

Wrocław 48

NA WIDOKÓWCE

„— Poślij
...choć widokówkę, jak lek daleki na oczy!"

(Rumieńczyk mgły jasnomodrej: czerwony liść winorośli
u okna otwartego na Jungfrau...
Szwajcaria — jak pięknie obca!)

Lecz ja, jakbym odumarł
tę piękność kolorową,
(a więc ja i zarazem nie ja)
żyję tym: milionotonnowa
góra węgla się toczy
śród gór w lodowcach.
Czy widzisz ją, czarną na białem, w moich listach?

Sygnalizuję ją, jak kolejarz,
wspinam się na nią, jak alpinista.

NA PRZEŁĘCZY

W chmurach poruszono różową chorągwią?

Orzeł przeciągnął nad przełęczą skrzydłem.

Zwinąłem na zakręcie cień góry i skryłem,
frunął u wozu proporczyk.
W widoku tak nadmiernym, że — odlatującym
poza przepełnione oczy,
tam wracam,
gdzie cię zobaczyłem: nad słońcem.
Zatrzymała cię na niebie praca.

O zachodzie, w blasku,
z motyką podniesioną w ręku,
widzisz mnie tak jasno,
tak dalece jasno, że dalej
jakby słońce nie zapadło prostopadle,
lecz dotknąwszy widnokręgu
przewróciło się na nizinę płasko.

Z „PIEŚNI O ZLE KOCHANYM"

MOTTO I CZĘŚĆ OSTATNIA

Romancę oną ułożyłem
W dziewięćset trzecim Anim przeczuł
Cierpiący że jest moja miłość
Jak Feniks skoro umrze wieczór
Świt go z popiołów wskrzesza siłą

— — — — — — — —

O drogo mleczna Rzek Chananu
Miodowo białych siostro jasna
I bielszych jeszcze ciał kochanic
Topielcy bladzi czyż po gwiazdach
Do dalszych mgławic płynąć mamy

Nas wszystkich złe demony Losu
W rytm niebiańskiego wodzą pienia
Ich skrzypiec zatracone głosy
Tańcować każą pokoleniom
W otchłań schodzącym wstecz i boso

O losy złe nieprzeniknięte
Króle szaleńcy dieląc z gwiazdą
Łoże miłosne drżą w obłędzie
Myślą że tulą znów niewiastę
I was historia chce potępiać

Luitpold siwy kneź germański
Piastun królewiąt czy też nocą
Szlocha samotnik w ludnym państwie
Wokół świetliki w mrok migocą
Złote robaczki świętojańskie

Bez kasztelanki stał tam pałac
Łódź przy wioślarzy cichej gędźbie
Sunęła w dal jeziora białą
I w lot zefirów mknąc łabędziem
Syreną w końcu umierała

Wiec w głębi król grążeli chłonnej
Utonął Z otwartymi usty
Wychynął kiedyś nieruchomy
By lec na brzegu plaży pustej
Z twarzą w mijanie chmur wpatrzoną

Czerwcu twe słońce lirą wrącą
Zgrabiałe palce aż mi parzy
Tak w bólu zaśpiewany błądzę
Przez mój wieczorny cudny Paryż
I nie mam sił ze sobą skończyć

Niedziele dłużą się jak tydzień
Gdy po podwórkach katarynki
Zawodzą w dole chmur nie widząc
Geranie z balkonowych skrzynek
Chylą się niby wieża w Pizie

Paryskie zmierzchy pijane dżynem
Płomieniem z gron elektryczności
Tramwaje w ogniu żółtosinym
Pieśń wygrywają wbrew ludzkości
Maszynny szał szyjąc na szynach

Kawiarnie dymem wzdęte bary
Cygańską gęślą miłość krzyczą
Schrypłych syfonów swych katarem
Garsonów fartuchową ciżbą
Ku Tobie którą tak kochałem

Ja co znam strofy dla księżniczek
Kantyczkę moich lat steranych
Hymny męczonych niewolników
Romancę złą o niekochanym
I pieśń dla syren śpiewnolicych

Przełożył *ALLAN KOSKO*

JAN PIERZCHAŁA

WROCŁAW W LECIE 1948 R.

Nocą tu można Słowackiego spotkać.
W dzień, aż serce drży...
ziele przy drogach czerwieniutko kwitnie
jak krew,
albo jak ta POLSKA.

Miasto o ciszę twardo stoi.
Bramami już nie pójdzie wojna;
czas się tak, jak w pacierzu ziścił.
Dzieci wrocławskie nawet wiedzą,
że praca decyduje o wszystkim.

Tu się z kamienia robi polskich świętych
w zbrojach. Twarzami będą stać na zachód.
Robotnik nad kamieniem zgięty klęczy,
— mówią, że zwyczajne kamieniarskie dniówki —
a to co od wiosny słychać pod katedrą
to jest historia.

Plac Nankiera, jak jarmark w galicyjskim mieście.
Kosz przy koszu baba z Równego i autochtonka
sprzedają na miarki czereśnie.

POST SCRIPTUM

Z zielonych brzegów Odry
pozdrawiam miasto na szczęście.
Ziemi najciszej ufam.
Przyjdą ludzie z Katowic i Krakowa.
Przystaną.
Ci będą patrzeć i słuchać.

MARIAN WÓJCIAK

PLASTYKA WROCŁAWSKA

O plastyce wrocławskiej nie pisało się dotąd zbyt wiele, a nieliczne artykuły w prasie musiały siłą faktu ograniczać się do omawiania głównie organizacyjnych osiągnięć w tej dziedzinie.

Znikoma na początku okresu repolonizacyjnego we Wrocławiu grupa plastyków zanadto zajęta była sprawami budowania szkolnictwa artystycznego, czy życia związkowego, by dla pracy twórczej starczyło jej dość czasu i spokoju. A wiadomo, że te dwa czynniki są warunkami zasadniczymi twórczości.

Szczupła garstka malarzy, rzeźbiarzy i grafików rozrosła się jednak ilościowo w tym bardzo krótkim okresie, jaki nas dzieli od zakończenia wojny — do poważnego środowiska.

I jakkolwiek rozrost ten jest zjawiskiem pozytywnym, to bardziej pocieszającym objawem są osiągnięcia plastyków wrocławskich na terenie pracy artystycznej.

Jest to bowiem wynik indywidualnego i zbiorowego wysiłku ludzi, którzy wyrzekając się nieomal wszelkich życiowych ułatwień i świadomie narażając się na niewygody i trudy pionierskiego życia, maksimum energii włożyli w twórcze dzieło.

Można by więc postawić pytanie, czy w plastyce ma już Wrocław jakieś własne, odrębne oblicze?

Aby na nie odpowiedzieć, musielibyśmy się wpierw zastanowić nad ogólną sytuacją sztuki w Polsce.

Wojna sprawiła tutaj szkody bardzo dotkliwe i bolesne.

Nic też dziwnego, że w ciągu trzech lat czyniono wszystko, aby rany zabliźnić i nawiązać do przedwojennych osiągnięć, ożywić kontakty z życiem artystycznym innych naro-

dów, a także odbudować zniszczone polskie szkolnictwo artystyczne.

Ponieważ w rozwoju kultury nie ma sportowego tempa, a każde nawet minimalne osiągnięcie uwarunkowane jest szeregiem skomplikowanych przyczyn, rozwój i następstwo faktów musi konsekwentnie następować po sobie bez przerw i zahamowań, nie powinno nikogo dziwić, że w sztuce polskiej dopiero teraz zaczynają się pojawiać pewne ideologiczne różnice.

Nie można jednak powiedzieć, aby proces ten zachodził w jakichś ściśle określonych granicach.

W obliczu tych faktów — kiedy sztuka polska zaledwie otrząsnęła się z wojennego zastoju, pytanie o wyraz artystyczny plastyki wrocławskiej jest przedwczesne.

Do Wrocławia przybywali plastycy z różnych stron, różnych środowisk. Zjeżdżali tu z bagażem różnych ideowych wyznań. W bagażu tym k o l o r zajmował miejsce najważniejsze. Taki był niejako „zakładowy kapitał" wrocławskiej plastyki. Toteż pierwsze wystawy charakterem swym nie odbiegały zbytnio od tego, co oglądało się przed wojną. Zarówno dla starszej, jak i młodszej generacji artystów, był kolor tworzywem zasadniczym.

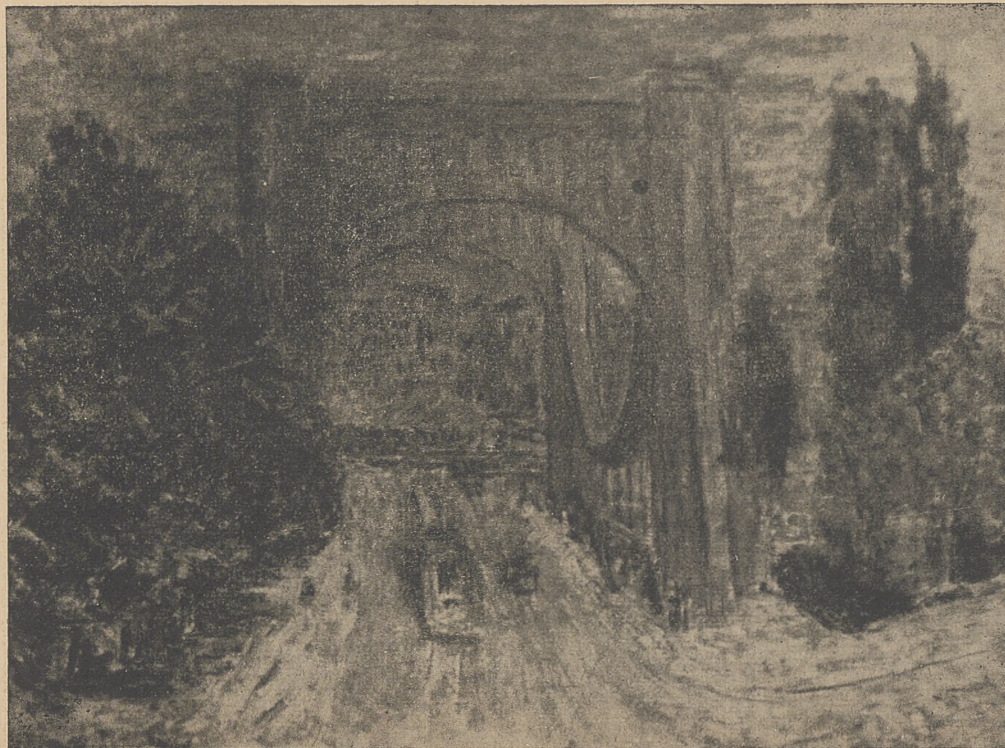
Dookoła zagadnień kolorystycznych, w takim mniej więcej sensię jak je sprecyzował postimpresjonizm, obracała się działalność Dołżyckiego, Gepperta, Krchy, czy Dawskich, Krzetuskiej i wielu innych.

Powoli jednak zaczęła zaznaczać się zmiana.

Urządzona z okazji WZO Wystawa Plastyki Okręgów Ziem Odzyskanych nie jest jeszcze wystarczającym tych zmian przeglądem. Plastycy Wrocławia musieli bowiem wiele z szczupłego i tak miejsca w lokalu przy ul. Ofiar Oświęcimskich odstąpić kolegom z Sopot, Szczecina, czy Ziemi Lubuskiej.

Komu jednak jest bliżej znana praca Wrocławian, dostrzeże, że niepokój poszukiwań, jaki nurtuje całą polską plastykę, i tu zaczyna zaznaczać się coraz wyraziściej.

Przegląd środowiska dał w poprzednim numerze „Zeszytów Wrocławskich" Henryk Krzyżanowski. Jest jasne, że reprodukcje dołączone do obecnego numeru ilustrują zaledwie cząstkę tego, co dzieje się we Wrocławiu.



Leon Dołżycki, Most Grunwaldzki (olej)



Maria Dawska, Kolarze (olej)



Stanisław Dawski, Martwa natura (olej)



Eugeniusz Geppert, Wrocław — Most Uniwersytecki (olej)



Emil Krcha, Wrocław — ul. Oławska (akwarela)



Hanna Krzetuska, Martwa natura (olej)



Andrzej Will, Martwa natura (olej)



Antoni Mehl, Głowa (gips)

„Most Grunwaldzki" Leona Dołżyckiego malowany z bardzo dużą wrażliwością i subtelnością kolorystyczną, a zarazem rozwagą i spokojem, zdradza drogę, jaką odbył ten znany działacz i twórca z okresu polskiego formizmu. Obraz Marii Dawskiej przedstawiający ten sam most, tylko ożywiony grupą cyklistów, malowany z dużą świeżością i bezpośredniością odczucia, a także odwagą w zestawianiu intensywnych barw, dobrze charakteryzuje obecne artystyczne „credo" artystki.

„Martwa natura" Stanisława Dawskiego wiąże w sposób bardzo szczęśliwy bogactwo koloru z prostym rysunkiem. Przez akcentowanie doniosłości formy w obrazie oraz dekoracyjności wizji oznacza zerwanie z wcześniejszymi poglądami autora na korzyść aktualnych zagadnień.

Eugeniusz Geppert, zasłużony organizator szkolnictwa plastycznego i życia artystycznego na Śląsku, kontynuator szlachetnie i po malarsku pojętych tradycji polskiego malarstwa batalistycznego, występując z pięknym wrocławskim pejzażem dowodzi wzbogacenia swych zainteresowań. Jasna jest jego dążność do uwypuklenia konstrukcyjności form dostrzeganych w naturze.

Wrocław jest również tematem artystycznych przeżyć Emila Krchy. Artysta dostrzega w pejzażu wrocławskim więcej niż oko przechodnia. Widzi tragiczność ruin i realizuje wizję umęczonego wojną miasta w ciemnych, pełnych ekspresji barwach.

Twórczość Hanny Krzetuskiej cechuje duża świadomość malarska, poczucie ładu kompozycyjnego, szacunek dla piękna otaczającej nas rzeczywistości. W obrazach Krzetuskiej widać stałą dążność do pogłębiania malarskich zagadnień.

Patrząc na „Martwą naturę" Andrzeja Willa, dostrzegamy, że nie idzie on na łatwe efekty, stawia sobie zadanie sumiennego i rzetelnego budowania obrazu.

Reprodukowana rzeźba Antoniego Mehla uzewnętrznia wierność dla ideałów artystycznych wszczepionych przez Dunikowskiego licznej grupie uczniów.

K R O N I K A

OSKARŻENIE I OBRONA KULTURY NA WZO

Wystawa Ziem Odzyskanych dobiegła już kresu swych dni. Wypada bez cienia przesady napisać: swych dni pełnych chwały. Mimo to jeszcze przez długi czas będzie i być powinna przedmiotem szeregu rozważań coraz mniej reportersko-dziennikarskich, coraz bardziej zasadniczych i fachowych. Dyskutować się będzie nie tylko nad treścią przez nią ujawnioną, ale i nad formą plastyczną, jakiej użyto, a jaka, dzięki nowości, śmiałości i oryginalności, niewątpliwie stanie się przykładem wielu następnych wystaw tego i innego rodzaju. Stworzy zapewne jakąś „szkołę wystawową". W kręgach fachowców teraz właśnie — gdy wszyscy wystawę obejrzeli — rozpoczną się zasadnicze debaty nad treścią i formą wystawy, rozpocznie się nad nią sąd już nie tłumu laików, ale szczupłego grona zawodowców. Będą wytaczane oskarżenia, formułowane obrony, ferowane wyroki. Dlatego też chyba w piśmie typu „Zeszytów Wrocławskich" warto zastanowić się pokrótce nad tym, czy specyficzna kultura Ziem Odzyskanych znalazła na WZO swój szczęśliwy i pełny wyraz; jakie w tym względzie były mankamenty i czego należałoby w przyszłości przy podobnej okazji unikać.

Kultura nie była na WZO szczęśliwie przedstawiona, a raczej precyzując zarzut: jej osiągnięcia na Ziemiach Odzyskanych nie były dostatecznie wyraziście i plastycznie przedstawione zwiedzającemu. Zarzut ten wytaczam z tym większym moralnym prawem, iż sam w znacznym stopniu odpowiedzialny jestem za przedstawienie „kultury" na WZO, a całkowicie za specjalny dział właśnie tytułem „Kultura" zaopatrzony.

W obszernej wnęce kuluarów Hali Ludowej, wnęce wyróżniającej się pomarańczowo-czarną plamą przede wszystkim rzucającą się w oczy zwiedzającym, kultura Ziem Odzyskanych potraktowana była niesłychanie schematycznie, bardzo powierzchownie, nazbyt popularnie. Pismo fachowe Zw. Zaw. Dziennikarzy skarżyło się, że prasa nie znalazła na wystawie należytego uwzględnienia. Sprawozdawca nie zauważył podanej w tym dziale dość wyraźnie globalnej cyfry nakładu pism wychodzących na ZO, połączonej z wyłożonymi egzemplarzami tych wydawnictw. Brakowało jednak danych o etapach rozwoju prasy, brakowało jakiejś mapy orientującej w nasi-

leniu czytelnictwa gazet w terenie, czy choćby tylko informacji geograficznych co do miejsc redagowania i drukowania poszczególnych pism. Na podobną powierzchowność mogą się skarżyć przedstawiciele innych działów. Skargi takie słyszałem. Interesujący się teatrem nie znaleźli nic prócz reprodukcji z przedstawień i ogólnej cyfry teatrów czynnych na ZO. Tak samo w innych wypadkach ograniczono się wyłącznie do podania zasadniczych całościowych cyfr orientacyjnych. Umieszczono liczbę naukowców — zaniedbano podania spisu towarzystw naukowych. W mapie literatów ograniczono się nader starannie — wyłącznie do pisarzy zamieszkałych w granicach administracyjnych Ziem Odzyskanych (umieszczono pisarzy zamieszkałych w Sopocie czy Gdańsku, pominięto tych z Gdyni — przykład drastyczny!). Muzyka nie została prawie wspomniana; plastyka wprawdzie zaprezentowała dwie tablice statystyczne swego dorobku, ale prócz obrazów Cybisa nie urządzono choćby niewielkiego przeglądu obrazów tutaj namalowanych. Będąc jednym z twórców tego działu, dziwię się bardzo, iż żadne z pism literackich czy kulturalnych nie wytoczyło zasadniczego aktu oskarżenia przeciwko temu stoisku. Tu i ówdzie ktoś zawiedziony osobiście — dziedzina jego pracy została potraktowana tak pobieżnie! — westchnął z żalem niejakim, ale nikt jeszcze nie wydał ogólnego surowego wyroku.

Tak powinno wyglądać w skrócie oskarżenie, któremu nie podobna odmówić słuszności. Wypada może tylko omówić w kilku słowach problem, jakim w ogóle było urządzenie działu „Kultury".

Kultura w szerokim znaczeniu tego słowa — to charakter całokształtu życia danego społeczeństwa. Zaliczają się do kultury po równi wrzeciona kobiet wiejskich, co obrabiarki w fabrykach; elementarz, z którego uczy się dziecko w pierwszej klasie, jak i dzieła literatury pięknej czy wydawnictwa naukowe; język, w jakim redagowane są drogowskazy i sposób przyrządzania potraw. Dlatego też każda wystawa ilustrująca całokształt życia jakiegoś społeczeństwa na jakimś terenie jest automatycznie świadectwem osiągnięć kulturalnych. Kulturą w węższym znaczeniu zwać zwykliśmy oświatę i sztukę. Kulturę polską w szerokim znaczeniu słowa dokumentował każdy zakątek WZO, każda plansza, obraz, rzeźba, maszyna, stoisko. W węższym — uczyniono to w kuluarach Hali Ludowej oraz w pawilonie Instytutu Zachodniego i Wydawnictwa Zachodniego, niestety, zbudowanym tak bardzo nieporęcznie, że prawie niedostępnym dla zwiedzających. Kulturę w pierwszym znaczeniu przedstawiono świetnie i przekonywająco. W drugim — sprecyzowano stosunkowo ubogo.

Trzy się na to złożyły przyczyny. Dwie natury technicznej, organizacyjnej, wystawowej i jedna przyczyna najbardziej zasadnicza, merytoryczna. Wypada się przyznać do wszystkich. Zacznijmy od organizacyjnych.

Dział „Kultura" znalazł się na terenach „A", na samym końcu kuluarów Hali Ludowej, która w koncepcji twórców Wystawy

miała być zwiedzana po przejściu Pawilonu Czterech Kopuł. W tych kuluarach miał się mieścić wszechobejmujący, trudny do sprecyzowania dział „Człowiek", nie jako jednostka demograficzna, ale jako istota społeczna i intelektualna. W miarę realizowania się praktycznego koncepcji Wystawy okazywało się, że ów „człowiek" winien wchłonąć coraz więcej dziedzin życia społecznego — to wszystko, co nie nadawało się do działów demograficznych i gospodarczych zajmujących — słusznie zresztą! — na Wystawie miejsce czołowe, choćby dlatego, iż wartość ZO dla Polaków mierzy się dziś przede wszystkim w wykazach korzyści gospodarczych. W tym stanie rzeczy (i to ważne, i to ważne, i tamto ważne nie mniej!) ilość metrów kwadratowych poświęconych kulturze, w wąskim tego słowa znaczeniu, malała w zastraszający sposób, tym bardziej, iż wystawą rządzą podobne reguły, jak magazynem ilustrowanym. Wystawę się przede wszystkim ogląda, a więc musi przemawiać ona swym wyrazem plastycznym, bardziej aniżeli treściowym. A ten znowu postulat nie pozwala na zatłoczenie, domaga się miejsca szerokiego, wreszcie wszelkie przedstawienie uwarunkowane jest ściśle granicami, poza które wyjść nie wolno. Żaden fragment stoiska nie może być przecież przerzucony poza załom wnęki, tak jak w dobrze redagowanym magazynie artykuły przerabia się i skraca, póki nie zmieszczą się one w układzie graficznym podyktowanym względami nie treściowymi, lecz plastycznymi, graficznymi.

A miejsce stoiska, to jest posiadana ilość metrów kwadratowych oraz oddalenie od początku wystawy, wywołujące duże zmęczenie u zwiedzającego — bezapelacyjnie dyktuje treść stoiska. Na małej przestrzeni nie wolno stłaczać nadmiaru informacji, należy ograniczać się do jednej, zasadniczej. Równocześnie trzeba było pamiętać, że zwiedzający, który dotrze do końca Hali Ludowej, będzie już solidnie zmęczony, co praktyka w pełni potwierdziła, a więc należy doń przemawiać bardziej zrozumiale.

Te przesłanki zadecydowały o bardzo hasłowym i mało szczegółowym ujęciu „kultury". Być może, było błędem, że już to samej „kultury" już to całego „człowieka" nie umieszczono gdzieś bliżej czoła Wystawy? Ale nie należy zapominać, że pierwszej wagi były i są fakty gospodarcze, obserwowane na ZO.

Drugą przyczyną, której pierwsza przyszła z mimowolnym sukursem wybawiając reżysera działu od nadmiernego, a dla wystawy zawsze niekorzystnego, komentowania podawanych cyfr — była nieuchwytność szczegółowych danych statystycznych świadczących o kulturze polskiej demokratyczno-ludowej na ZO. Ktoś może uśmiechnąć się z niedowierzaniem, a jednak tak jest. W ministerstwach gospodarczych istnieją duże sztaby urzędników prowadzących bardzo szczegółowe statystyki dla każdej niemal piędzi ziemi w naszym kraju, tak na ziemiach centralnych jak zachodnich. Już jednak w roczniku statystycznym województwa mieszane (o ziemiach starych i odzyskanych) potraktowane są su-

marycznie, bez żadnego rozgraniczenia, co jest państwowo słuszne, ale diablo utrudnia pracę nad ustaleniem stanu faktycznego tylko na ZO. Natomiast w wszelakiego rodzaju resortach kulturalnych sprawa przedstawia się wręcz tragicznie. Na przykład odpowiednie resorty KCZZ nie były w ogóle w stanie dostarczyć żadnych danych o rozwoju świetlic zawodowych i fabrycznych na ZO! Departament muzyki w Min. Kultury i Sztuki bezradnie rozkładał ręce, gdy żądano od niego wiadomości o życiu muzycznym szczegółowszych, aniżeli spis szkół umuzykalniających, trzech orkiestr symfonicznych i lakonicznej informacji o festiwalu w Dusznikach. Po prostu zjawiska kulturalne są u nas znacznie mniej obserwowane i rejestrowane niż gospodarcze. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe, naturalne — ale też, gdy przychodzi konieczność, znacznie trudniejsze są one do szczegółowego ujęcia w jakieś sprawozdanie. Dane o kulturze — w węższym znaczeniu tego słowa — polskiej na ZO ciągle jeszcze są w pewnej ogólnej skali bardzo niepełne i niepewne. Ale to dopiero można sobie uświadomić, gdy się te sprawy zacznie badać.

A teraz przyczyna merytoryczna, zasadnicza.

Kultura — w węższym znaczeniu — wymyka się jakiemuś mniejszemu aniżeli całość granic Polski, wyodrębnieniu. Nasilenie szkolnictwa można dokładnie określić w granicach ZO ilością czynnych szkół i uczelni, uczniów i studentów, nauczycieli i profesorów. Kultury — tak twórczej jak odbiorczej — bodaj nie sposób. Czy do kultury ZO bardziej należy pisarz mieszkający w Olsztynie, który żadnej książki o tym rejonie nie napisał, czy autor „Ziemi odnalezionych przeznaczeń" przebywający stale w Krakowie? Czy bardziej na kulturę tych terenów oddziaływują pisarze zamieszkali w Katowicach lub w Poznaniu czy w Warszawie — określić nie można. Na pewno Gołubiew i Grabski bardziej związani są z kulturą Ziem Staropolskich niż — na przykład — German mieszkający w Katowicach czy Bąk w Poznaniu. Czy książka napisana we Wrocławiu, a wydana w Krakowie, bardziej zalicza się do kultury specyficznej ZO, niż książka napisana w Warszawie, a wydrukowana w Zielonej Górze? Czy profesor, który w Wrocławskim Towarzystwie Naukowym wydaje owoc swych wieloletnich naukowych badań — np. matematycznych czy przyrodniczych — bardziej jest reprezentantem kultury Ziem Odzyskanych, niż demograf badający ruchy ludnościowe między Wartą a Odrą, pracujący nad tym w Toruniu? Tyle wątpliwości jedynie z jednej dziedziny kultury.

Chcąc dać rzetelny i pełny obraz kultury polskiej na ZO — należałoby dać pełny obraz kultury polskiej w o g ó l e, bez sztucznego przedziału granicy historycznej i sentymentalnej, granicy przyjętej dla Wystawy. Granicy dziś już praktycznie zupełnie nieistotnej. A ponieważ na to nie było miejsca, ani też nie leżało to w założeniach Wystawy — trzeba było bardzo ściśle ograniczyć się tylko do pewnych symbolów, zaznaczeń, iż dany dział kultury

jest uprawiany na tym określonym ściśle terenie geograficznym. Stąd i ubogość tego działu. Jednak ciągle jeszcze — i to jest prawda może smutna, ale zgodna z rozwojem naturalnym zjawisk tego typu — główne źródła kultury polskiej biją na ziemiach centralnych, a Ziemie Odzyskane kulturalnie — w węższym znaczeniu tego słowa — są jeszcze „niedopełnione". I pod tym względem porównanie wyglądu stoiska „Kultury" ze stoiskami gospodarczymi na WZO dawało (może niechcący) rzetelne świadectwo istniejącego i w rzeczywistości stanu rzeczy.

Kazimierz Koźniewski

WROCŁAW W ŚWIATOWYM KONGRESIE INTELEKTUALISTÓW W OBRONIE POKOJU

Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu. Nie! Wrocław w Kongresie Intelektualistów. Właśnie tak; Wrocław na pierwszym miejscu. Bo zacznijmy od rzeczy bezspornej i ważnej, choć nie najważniejszej. Po raz pierwszy setki pism na całym świecie, nawet najbardziej nam wrogich, nawet najcyniczniej uprawiających propagandę rewizjonizmu niemieckiego, pisały WROCŁAW, a nie Breslau. Było to pierwsze i nie najmniejsze zwycięstwo w obronie pokoju.

Pod deklaracją, której pierwsze zdanie zawiera słowa: W POLSKIM WROCŁAWIU, widnieją podpisy najszczytniejszych przedstawicieli wszystkich narodów świata. I to jest drugie, i nie najmniejsze zwycięstwo kongresu w obronie pokoju. Dodajmy od razu, jest to również i nasze zwycięstwo. Na konferencji warszawskiej wypowiedziano historyczne słowa o Odrze — granicy pokoju. W parę miesięcy później, w ostatnich dniach sierpnia Wrocław stał się nie tylko miastem pokoju, stał się czymś dużo więcej, stał się miastem walki o pokój. Można widzieć w tym jedynie piękny symbol, ale myślę, że w tym wypadku symbol ten jest czymś głęboko prawdziwym i rzeczywistym.

Co innego jest bowiem uznać, że Odra jest granicą pokoju, a co innego zobaczyć tę granicę pokoju na własne oczy. A w tym wypadku można ją zobaczyć. Powtarzam: zobaczyć nie tylko szarą rzekę, mosty i zburzone miasto, ale zobaczyć właśnie — granicę pokoju.

Dla nas, nie tylko Wrocławian, ale wszystkich Polaków, sytuacja społeczna i historyczna Wrocławia jest czymś dość zwykłym. Jesteśmy zbyt oswojeni z patetycznością historii, aby cokolwiek nas miało zdumiewać. Nie przerażają nas ruiny, nie widzimy w tym nic dziwnego, że powraca do nich życie. Życie nauczyło

nas spokojnie przystępować do odbudowy zniszczonych domów i miast, a historia — powracać na ziemie spustoszone przez Niemców. „Miejsce na ziemi“ Wrocławia nie jest dla nas czymś tak bardzo różnym od „miejsca na ziemi“ Warszawy czy Poznania. W jednym mieście jest łatwiej, w drugim trudniej, ale właściwie wszędzie zaczyna się od początku. Wywożenie gruzu, budowa domów, praca fabryk, otwieranie szkół jest dla nas czymś tak naturalnym, jak śmierć, małżeństwo i poród.

Inaczej patrzą na to cudzoziemcy. I różnicę tę najjaskrawiej zobaczyliśmy w reakcjach delegatów na Kongres. Dla nich we Wrocławiu zdumiewające było wszystko. Dawali temu wyraz często naiwnie; mówili, że jeszcze nigdzie nie widzieli tak wielkich zniszczeń i tak wielkiej pasji w kształtowaniu nowego życia. Mówili prawdę; oni nigdzie nie widzieli tych dwu rzeczy razem. Podziwiali Wystawę, ale dlatego podziwiali Wystawę, że jest ona w zburzonym mieście; przerażały ich wypalone dzielnice, ale przerażały ich dlatego, że obok widzieli wielkie pracujące fabryki; zdumiewała ich polskość Wrocławia, ale zdumiewała dlatego, że przed czterema laty na wszystkich mapach świata miasto to nazywało się Breslau. I dlatego właśnie delegaci na Kongres Intelektualistów zobaczyli we Wrocławiu nie tylko szarą rzekę, most i zburzone miasto, ale Odrę — granicę pokoju.

I myślę, że z historycznego dramatu tego miasta, z jego społecznej sytuacji i z jego m i e j s c a n a z i e m i przeniknęło wiele do auli Politechniki, gdzie Światowy Kongres Intelektualistów zaprotestował najmocniej, jak umiał, przeciwko zamachowi na kulturę europejską. Wrocław był nie tylko gospodarzem Kongresu, był również argumentem w walce o pokój. W mieście tym, wyzwolonym przez Czerwoną Armię, zabrzmiały pełnią prawdy słowa Bernarda Shaw, zacytowane przez Aleksandra Fadiejewa:

> Gdy Rosja rozbije Hitlera, stanie się ona ośrodkiem duchowym świata. A więc Rosjo, naprzód! Walcz o kierownictwo świata, o sierp i młot, o miecz sprawiedliwości.

We Wrocławiu, który w ciągu trzech lat stał się miastem na nowo polskim, trudno jest kłamać. Z wielkich okien Politechniki widać było miasto. I dlatego może wielcy przedstawiciele nauki, kultury i sztuki całego świata nie zawahali się w swoich przemówieniach jasno, uczciwie i wyraźnie oskarżyć imperializm amerykański o podżeganie do nowej wojny.

Dwukrotnie w ciągu każdego dnia delegaci na Kongres Intelektualistów patrzyli na Odrę. Myślę, że Wrocław dobrze zasłużył się Kongresowi. I nie tylko Kongresowi, również i sprawie pokoju.

Jan Kott

REDAGUJEMY GAZETĘ KONGRESU

Kongres Intelektualistów obradował we Wrocławiu cztery dni; przygotowania do Kongresu wypełniły dziesiątkom ludzi parę miesięcy ich życia. Ponieważ jednak przygotowania te osłaniano tajemnicą, trochę ze snobizmu, a trochę po to, żeby nie utrudniać delegatom wyjazdu z krajów tzw. demokracji zachodnich (zwłaszcza z krajów kolonialnych) — o Kongresie zaczęło być głośno dopiero w sierpniu, na dwa tygodnie przed jego otwarciem, kiedy większość delegatów znajdowała się już w drodze do Wrocławia.

Gdzieś w początkach sierpnia założyliśmy w Warszawie Biuro Prasowe SKI. Nieszczęściem, żaden z jego pracowników nie był dziennikarzem (prócz pewnej pani z „Ekspressu Wieczornego"), więc nie mieliśmy zielonego pojęcia, co trzeba robić, aby zająć prasę polską Kongresem. Obradowaliśmy kilka godzin, pracowaliśmy kilka dni, poczem zredagowaliśmy pierwszy Biuletyn Prasowy, mieszaninę słownika biograficznego, gazety popołudniowej i antologii głosów o pokoju. Biuletynów wydaliśmy pięć, razem około 120 stron maszynopisu; zawierały one kilka artykułów „zasadniczych", ponad 70 sylwetek delegatów; spisy delegacji itd.

Wykazaliśmy nawet pewną ruchliwość. Artykuł kongresowy min. Sokorskiego napisany i wręczony „Kuźnicy" — ukazał się przed tym u nas i został przedrukowany przez całą prasę. Odkryliśmy, jak ma na imię p. Stiernstedt i kto to jest Bontempelli; bez nas prasa polska, która „nie cierpi" nauki, nie pisałaby ani o prof. Sierpińskim, ani o prof. Huberze, ani o prof. Steinhausie, ani o prof. Pieńkowskim... Uzyskaliśmy nawet pewne zaufanie u prasy: kiedy nagrodziliśmy prof. Tarlé nieistniejącym orderem Stalina, cała prasa powtórzyła nasz gest.

Jeśli w Warszawie Biuro Prasowe, przeistoczywszy się w małą fabryczkę życiorysów, pracowało po szesnaście godzin, to we Wrocławiu, dokąd pojechało wygodnymi, ale flegmatycznymi Fiatami włoskimi 20 sierpnia, Biuro zaczęło stosować system pracy ciągłej przez całą dobę. Zaczęliśmy bowiem wydawać gazetę Kongresu pt. „W obronie pokoju".

Gazety konkresowe weszły w tradycję europejską podobnie jak i same Kongresy. Jednakże Francuzi czy Anglicy mieli zawsze ułatwione zadanie, korzystali z tego, że ich język był językiem świata. Ale dziś, gdy oficjalnie mamy trzy języki światowe (angielski, francuski i rosyjski) — problem gazety międzynarodowej jest trochę trudniejszy. Musieliśmy redagować ją w czterech językach, ze względów technicznych składać w trzech drukarniach, a łamać w czwartej; tekst rosyjski był składany w Legnicy. Można sobie wyobrazić nasze gorączkowe rozjazdy wrocławskie: rozwożenie korektorów (to znaczy nas), pogoń za składami i kliszami, pertraktacje z zecerami. Można sobie wyobrazić, jak zaorywali się tłumacze, maszynistki, rysownicy, szoferzy. Po raz pierwszy w ży-

ciu widziałem szofera, który spał, prowadząc auto po krętych uliczkach Wrocławia; przejechaliśmy dobre dwadzieścia kilometrów, zanim zdołałem go obudzić.

Wydaliśmy trzy numery gazety kongresowej, tłoczone wszystkie w drukarni „Wiedzy“: N. 1 — 25. VIII., N. 2 — 27. VIII., N. 3 — 28. VIII. 1948. Zawierały one przemówienia powitalne w dniu otwarcia Kongresu, listy Einsteina i Wallace'a, depesze i pozdrowienia z całego świata, fragmenty przemówień min. Modzelewskiego, Fadiejewa, Chałasińskiego, Stapledona, Prenanta, Erenburga, wyjątki z dyskusji, artykuły Needhama i V. Toledano, etc. Numer opracowywał graficznie i łamał (zarówno w Legnicy, jak i we Wrocławiu) Marian Bogusz, rysowali: Jan Lenica, Marek Rudnicki i — Pablo Picasso, który pozwolił nam umieścić w naszym piśmie swój piękny rysunek „Polonaise“, wykonany we Wrocławiu (N. 3). Paul Eluard napisał dla nas wiersz „Un compte á régler“), ładnie przełożony przez Witolda Wirpszę. Reprodukowaliśmy w gazecie facsimile tego wiersza (N. 3). Obaj Francuzi okazali się bardzo praktyczni i zażądali zwrotu oryginałów swych dzieł. Ale było to niemożliwe: rysunek Picassa obiecaliśmy dyr. Lorenzowi dla Muzeum Narodowego w Warszawie; rękopis Eluarda zarzucili w drukarni zecerzy przy składaniu numeru.

Powróciwszy do Warszawy Biuro Prasowe (teraz już mocno uszczuplone) zaczęło pracę nad czwartym numerem gazety „W Obronie Pokoju“, który ukazał się już z wrześniową datą. Dwudziestostronicowy numer pomieścił w sobie spis delegatów, przebieg całej dyskusji, wiersze o Warszawie, niektóre przemówienia i artykuły oraz ocenę osiągnięć Kongresu, napisaną przez jego sekretarza generalnego Jerzego Borejszę; pomieścił także ponad pięćdziesiąt fotografii.

Gazeta Kongresu Wrocławskiego napewno była mniej ciekawa niż sam Kongres; ale trzeba przeczytać gazety, które wydawano podczas innych kongresów pokoju (w Paryżu, w Brukseli...), aby ocenić pobłażliwiej nasze osiągnięcia. Jak na ludzi, którzy nigdy nic nie redagowali, którzy nie spali po parę dni i poza redagowaniem gazety zajmowali się jeszcze tysiącem innych spraw — to nie jest jeszcze tak źle.

Tadeusz Borowski

PRZEDSTAWIENIE „FIRCYKA W ZALOTACH" WE WROCŁAWIU

Historię teatru dość długo pisali w Polsce — historycy literatury. Konsekwencje tego stanu rzeczy nie zawsze były szczęśliwe. Historyka literatury interesował w sztuce przede wszystkim autor tekstu. W ten sposób historia teatru stała się dość nieoczekiwanie

historią dramatu lub komedii. Teatrologia, budowana późno jako samodzielna nauka o teatrze, usunęła te dysproporcje. Autorowi oddano to, co autorskie, to znaczy tekst dzieła. Ale o przedstawieniu zaczął decydować nie pisarz, lecz reżyser. Historia teatru — w tej nowoczesnej interpretacji — zerwała z przewagą tekstu na rzecz innych, lekceważonych poprzednio elementów przedstawienia, jakie wnoszą reżyser, aktorzy, realizacje sceniczne.

Ich udział w widowisku spostrzec najłatwiej, gdy autor sztuki kryje się już dawno za sygnaturą biblioteczną. Żeromski towarzyszył próbom teatralnym „Przepióreczki" i zapewne wiele z jego rozumienia tekstu ocaliła premiera sztuki w Reducie. Ale Franciszek Zabłocki? Gdy na obiedzie czwartkowym na zamku królewskim w Warszawie autor czytał tekst sztuki, nie przeniesiono nic z jego interpretacji dzieła do teatru. O premierze widowiska w Warszawie r. 1781, które autor mógł oceniać i korygować, nie wiedzą wiele najbardziej skrzętni badacze dokumentów teatralnych. Kiedy dzisiaj — jak niejednokrotnie w przeszłości — „Fircyk w zalotach", arcykomedia Zabłockiego, pojawia się na deskach teatralnych, buduje przedstawienie nie pisarz, lecz reżyser.

Myślało się o tych rzeczach na „Fircyku w zalotach" w Teatrze Popularnym we Wrocławiu przez cały czerwiec 1948 r. Stara komedia, nad którą poziewali nieraz uczniowie, gdy im zlecono czytać „jedno z dzieł Zabłockiego", okazała się żywa niemal w tym samym stopniu, co współcześnie, kiedy podawano ją na wety po obiedzie czwartkowym króla Stanisława. Czarodziejstwo sztuki spoczywa nie w martwych rękach autora, wyciągniętego pod kamieniem na cmentarzu w Końskowoli, ale w sprawnych i czułych narzędziach pracy reżyserskiej.

Maria Leonia Jabłonkówna, reżyserka przedstawienia, pojęła swoje zadanie ambitnie: zapragnęła dać widowisko stylowe. „Fircyk w zalotach" został przywrócony życiu. Maria Jabłonkówna rozłamała tekst, tak bliski antykwarycznej martwoty, na szereg wartkich scenek, przez które toczy się humor, wesołe słowo, zabawna seria zdarzeń i charakterystyka postaci. Wystarczyło tu i ówdzie przestawić składnię i uzyskać czystość interpunkcji w wierszu mówionym, by stał się on chyży, zrozumiały, dowcipny. Z tekstu komedii szkolnej, odczytywanej biernie po gimnazjach, trysnęła vis comica, ukryta w dialogu, cechach języka, wesołości sytuacyj. Doświadczyliśmy tego ze zdumieniem: można śmiać się na starej komedii, nie tylko poddawać ją — badaniu.

Elementy stylu rokoka Maria Jabłonkówna umiała narzucić wszelkim szczegółom przedstawienia. Amanci wieku XVIII krygowali się i mówili do siebie anno 1948, jak niegdyś. Trzeba przywołać na ten raz historyka literatury, by odczuć smak i trafność podobnej rekonstrukcji. Swoisty styl postaci Fircyka, pełen obcej galanterii, ale także polskiego gestu, umiał trafnie pokazać Jerzy Pietraszkiewicz, którego junactwo strofowali niepotrzebnie krytycy i recenzenci wrocławscy. Halina Świątek-Dzieduszycka musiała

przełamać nowoczesność swego typu scenicznego, by przedzierzgnąć się w Podstolinę. Uczyniła to na drodze wysiłku artystycznego. Trudny wiersz Zabłockiego, pełen przerzutów i inwersyj, rozlegał się z wnętrza, urządzonego skromnymi środkami, ale w sposób tak pieczołowity, że wrażenie epoki pozostało zupełne. Biały amor, który do wtóru zalotom napina łuczek z alabastru, kolor sukien i peruk, pióra w wachlarzu — wszystkie te akcesoria intrygi służyły umiejętnie charakterowi upłynionego dawno czasu. Przedstawienie zespołu Marii Jabłonkówny stanowi w naszych oczach popis stylu wieku XVIII, który smakowaliśmy długo, wyzwolony ze źródeł i dokumentów.

Tadeusz Mikulski

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Spółdzielnia Wydawnicza WIEDZA

Witold Kula — Historia gospodarcza Polski 1864—1918.
Wanda Melcer — Wyspa szczęścia.
Ignazio Silone — Chleb i wino.
Stefan Surzycki — Spółdzielczość w nowym ustroju gospodarczym Polski.
Tadeusz Manteufel — Średniowiecze.
Henryk Jabłoński — U źródeł teraźniejszości.
Jerzy Żuławski — Stara ziemia.
Andrzej Strug — Pisma. Ludzie podziemni.
Charles Kingsley — Na podbój świata.
Anatol Winogradow — Potępienie Paganiniego.
Karin Michaelis — Dzieci z Nyhaun.
Honoré Balzac — Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau.
Rudyard Kipling — Księga dżungli.
Emil Zola — Germinal. T. 1—2.
Pola Gojawiczyńska — Ziemia Elżbiety.
Mieczysław Zawadka — Stefan Okrzeja 1886—1905.
Adam Mickiewicz — Dziady wileńsko-kowieńskie.
Olga Kuźniecowa — Wróg pod mikroskopem.
Margaret Storm Jameson — Po drugiej stronie.
Max Daireux — Kulisy zacnego żywota.
Karol Čapek — Hordubal.
Roman Brandstetter — Powrót syna marnotrawnego.
J. B. Rychliński — Kulawy bosman.
Stefan Arski — Cień nad ojczyzną Roosevelta.
Halina Górska — O księciu Gotfrydzie, rycerzu gwiazdy wigilijnej.
Victor Hugo — Rok 1793.
Stefan Zweig — Gwiazdy ludzkości.
Żywot łazika z Tormesu.
Walery Przyborowski — Myszy króla Popiela.
Stanisław Posner (Henryk Bezmaski) — Z bliska i z daleka.
Jan Parandowski — Dafnis i Chloe.
Fryderyk Engels — Rozwój socjalizmu od utopii do nauki.
Stanisław Krasowski — Watykan a Polska.
Władysław Szafer — Marian Raciborski. Obraz życia i twórczości naukowej i społecznej.
Stanisław Kalinowski i Zofia Kalinowska — Magnetyzm ziemski.
Lao Sze — Niezrównany pan Czao Tsyjue.
Hovard Fast — Obywatel Tom Paine.
Jean Henri Fabre — Z życia owadów.
Michał Rusinek — Człowiek z bramy.
J. Brończyk — Grecja walczy 1944—1948. (W świetle dokumentów).
Andrzej Nowicki — Włochy 1943—1948.
Dwaj lekarze, dwaj społecznicy (H. Kłuszyński — S. Kopciński).

Spółdzielnia Wydawnicza CZYTELNIK

Gustaw Daniłowski — Z minionych dni.
Janusz Meissner — Wyspa ostatniej nadziei.
Michał Priszwin — Korzeń życia.
Józef Ignacy Kraszewski — Hrabina Cosel. T. 1—2.
Kornel Filipowicz — Krajobraz niewzruszony.
Pola Gojawiczyńska — Rajska Jabłoń. T. 1—2.
Mirosław Żuławski — Ostatnia Europa.
Jarosław Iwaszkiewicz — Czerwone tarcze.
Adam Ważyk — Mity rodzinne.
Henryk Szyper — Adam Mickiewicz. Poeta i człowiek czynu.
Stanisław Słoński — Słownik polskich błędów językowych.
Michał Szołochow — Cichy Don.
Władysław Tatarkiewicz — Historia Filozofii. Filozofia nowożytna do roku 1830. T. 2.
Teodor Tomasz Jeż — Ci i tamci.
Józef Ignacy Kraszewski — Starosta warszawski.
Teodor Tomasz Jeż — Szandor Kowacz.
Roger Vailland — Dziwna zabawa.
Pola Gojawiczyńska — Stolica.
Kazimierz Brandys — Samson.
Stefan Żeromski — Zamieć.
Witold Niekrasow — W okopach Stalingradu.
Victor Hugo — Dzwonnik z Notre Dame T. I—III.
Teodor Tomasz Jeż — Uskoki.
Effendi Kapijew — Poeta.
Charles Dickens — Opowieść wigilijna.

New York E. P. Dutton and Company I. N. C.

Antoni Gurowicz — Sergei Rachmaninoff.

Wydawnictwo EXPRESSU WIECZORNEGO

Jerzy Piórkowski — Niepodlegli.
Władysław Kisielewski — Dywizjon Lancasterów.
Robert L. Stevenson — Wyspa Skarbów.
Franciszek Trembalski, Roman Motyka — Pół wieku socjalizmu polskiego na Śląsku.

SPIS TABLIC

ANDRZEJ JOCHELSON, PLAC NANKIERA

1. Św. Jadwiga. Narożnik Placu Nankiera i ul. Pokutniczej.
2. Godło domu „Złoty Kosz" przy Placu Nankiera 7.
3. Ozdobnik z kutego żelaza nad bramą domu przy Placu Nankiera 7.

PLASTYKA WROCŁAWSKA

1. Leon Dołżycki, Most Grunwaldzki (olej).
2. Maria Dawska, Kolarze (olej).
3. Stanisław Dawski, Martwa natura (olej).
4. Eugeniusz Geppert, Wrocław — Most Uniwersytecki (olej).
5. Emil Krcha, Wrocław — ul. Oławska (akwarela).
6. Hanna Krzetuska, Martwa natura (olej).
7. Andrzej Will, Martwa natura (olej).
8. Antoni Mehl, Głowa (gips).

TREŚĆ ZESZYTU

Str.

MARIAN JAKÓBIEC: Radziecka nauka o literaturze . . 3— 17
ANDRZEJ JOCHELSON: Plac Nankiera . . . . . . 18— 29
JULIUSZ KLEINER: Z autografów Słowackiego . . . 30— 33
RYSZARD SKULSKI: „Dźwięki minionych dni" . . . 34— 40
ZDZISŁAW HIEROWSKI: Wiosna ludów w literaturze czeskiej . . . . 41— 54
HELENA SŁONIEWSKA: Filozofia i pogląd na świat. Śladami myśli Kazimierza Twardowskiego. W 10-tą rocznicę śmierci, 11 lutego 1938 . . . . 55— 63
ZOFIA SZMYDTOWA: Zagadka „Don Kiszota" . . . 64— 82
MARIAN ŁODYŃSKI: Stanisław Polak w Hiszpanii . . 83— 89
AZORIN: Na śladach Don Kiszota. La Mancza. Przełożyła Anna Nikliborcowa . . . . 90— 93
W. SOMERSET MAUGHAM: Don Fernando czyli wariacje na tematy hiszpańskie. Rozdział 6. Przełożyła Małgorzata Stanisławska . . . . . . 94—115
DIDEROT: Co o tym myślicie? Powiastka. Przełożył Jan Kott . . . . 116—120
TADEUSZ BOROWSKI: Ojczyzna . . . . 121—130
WOJCIECH ŻUKROWSKI: Pogrzeb . . . . . . 131—137
JULIAN PRZYBOŚ: Na widokówce. — Na przełęczy . . 138—139
GUILLAUME APOLLINAIRE: Z „Pieśni o źle kochanym". Motto i część ostatnia. Przełożył Allan Kosko . 140—141
JAN PIERZCHAŁA: Wrocław w lecie 1948 r. 142
MARIAN WÓJCIAK: Plastyka wrocławska . . . . 143—145

KRONIKA

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: Oskarżenie i obrona kultury na WZO . . . . 146—150
JAN KOTT: Wrocław w Światowym Kongresie Intelektualistów w obronie pokoju . . . . 150—151
TADEUSZ BOROWSKI: Redagujemy Gazetę Kongresu . 152—153
TADEUSZ MIKULSKI: Przedstawienie „Fircyka w zalotach" we Wrocławiu . . . . 153—155
Książki nadesłane do redakcji . . . . 156—157
Spis tablic 158